



Amor
do wynajęcia

MAGDALENA
KORDEL

znak

MAGDALENA
KORDEL

Aniol
do wynajęcia

Wydawnictwo Znak
Kraków 2016

Maryjo czysta, błogosław tej,
Co w miłosierdzie nie wierzy.
Niech jasna twoja strudzona dłoń
Smutki jej wszystkie uśmierzy.
Pod twoją ręką niechaj płacze lżej.

Na wigilijny ześlij jej stół
Zielone drzewko magiczne,
Niech, gdy go dotknie, słyszy gwar pszczół,
Niech jabłka sypią się śliczne.
A zamiast świec daj gwiazdę mroźnych pól.
(...)

CZESŁAW MIŁOSZ, *MODLITWA WIGILIJNA* (FRAGMENT)

OSTATNI DZIEŃ LISTOPADA



Był zimny listopadowy wieczór. W powietrzu czuć było zadziwiającą mieszankę zapachów konającej jesieni i nadchodzącej zimy. W mokry chłód wkradła się charakterystyczna nutka, która sprawiała, że wciągając głębiej powietrze, mimowolnie zaczynało się myśleć o pierwszym śniegu, skrzypieniu mrozu pod butami i Bożym Narodzeniu. O tym ostatnim trudno byłoby zapomnieć, nawet gdyby człowiek nie wiem jak się starał. Już paręnaście dni temu, tuż po pierwszym listopada, nie bacząc na to, że na cmentarzach nie wypaliły się jeszcze znicze poustawiane na grobach z okazji Wszystkich Świętych, niemal w każdej witrynie sklepowej pojawiła się bogato udekorowana choinka, a z głośników popłynęły dźwięki kolęd.

Michalina, starając się nie patrzeć na świątecznie przyozdobione wystawy, wlokła się jedną z głównych ulic Warszawy. Na ramionach dźwigała ciężki plecak, a w zgrabiających dłoniach trzymała duży, niekształtny pakunek. Zatrzymała się na przystanku autobusowym i z westchnieniem usiadła na drewnianej mokrej ławce. Tobołek ułożyła obok siebie, plecak zsunęła z ramion, aby dać wytchnienie zmęczonemu plecom. Niestety, tylko przez moment czuła ulgę. Plecak co prawda ciążył, ale w zamian osłaniał ją przed wiatrem. Teraz, pozbawiona tej ochrony, poczuła, jak pod cienką kurtkę wdiera się przenikliwy listopadowy chłód. Stopy, obute w rozdeptane i uwalane błotem trampki, też zaczęły jej drętwieć z zimna. A przecież w tym roku listopad był bardzo łaskawy...

Co będzie, gdy wyczuwalna w powietrzu zapowiedź mrozu i śniegu stanie się faktem? – pomyślała z przestrachem dziewczyna, zarzucając z powrotem plecak na ramiona i biorąc tobołek pod pachę. Teraz ostatecznie mogła się jeszcze przespać w jakiejś zacisznej bramie, ale potem?

– Czas pokaże... – mruknęła, usiłując wykrzesać w sobie choć odrobinę optymizmu. – Tak czy siak teraz trzeba iść...

Nie mogła zostać na nieosłoniętej, smaganej lodowatym wiatrem ławce. Ruszając, przygarbiła się, spuściła nisko głowę i poczuła wzbierające pod powiekami łzy.

No nie, nie teraz. Nie wolno mi się rozklejać – skarciła się w duchu.

Babcia uparcie powtarzała, że nadzieja umiera ostatnia. Ale mówiła też, że Michalina zawsze

może na nią liczyć, że przenigdy nie będzie sama. Odkąd pamiętała, to babcia była jej opoką. Dziewczyna pociągnęła nosem i mocniej przytuliła do siebie pakunek.

I co ja mam teraz zrobić z tymi wszystkimi zapewnieniami?

– Babciu jesteś mi cholernie potrzebna – wyszeptała, wznosząc oczy w kierunku ciemnego, zasnutego ciężkimi chmurami nieba. – Obiecałaś, że nigdy mnie nie zostawisz! Daj mi jakiś znak!

W tym samym momencie poczuła na twarzy zmrożone krople. Zaczął padać śnieg z deszczem.

– Jeżeli to jest twoja odpowiedź, to dziękuję ci bardzo! – krzyknęła i dwie ciepłe strużki popłynęły po jej zmarzniętych, zaczerwienionych od zimna policzkach.

Nie mogła już ani powstrzymać, ani opanować łez. Michalina stała na środku chodnika, płacząc rozpaczliwie. Obok niej przechodzili ludzie. Tylko niektórzy popatrywali na nią z zaciekawieniem, być może byli nawet i tacy, którzy poczuli coś na kształt współczucia, widząc wstrząsaną szlochom drobną postać. Ale większość spieszących do swoich pilnych spraw w ogóle nie zwracała na nią uwagi. Mijana, potrącana i przesuwana przez zniecierpliwionych, zabieganych przechodniów poczuła się nieomal niewidzialna i potwornie samotna – tak jak jeszcze nigdy w całym swoim osiemnastoletnim życiu.

Po co ja się tak męczę? – pomyślała z rezygnacją. – Może lepiej by było, gdybym po prostu usiadła tu pod murem kamienicy, zamknęła oczy i zwyczajnie poczekała. Może zdarzyłby się jakiś cud? A jeżeli nie, to może udałoby się po prostu usnąć i mieć wszystko z głowy...

I prawdopodobnie by tak zrobiła, gdyby nie to, że w tym samym momencie jej zamglony łzami wzrok wychwycił majaczący w oddali błysk ognia. Jakaś niewidzialna siła popchnęła ją w tamtym kierunku i już po chwili stała przy piecyku, w którym pełgały żółte płomyczki. Z mimowolnym westchnieniem ulgi położyła paczkę na ziemi i wyciągnęła zziębnięte ręce do buzującego, obeszwanego ciepła. Z miejsca zrobiło się jej lepiej. Przybrudzonym rękawem kurtki wytarła mokre oczy.

– No już, daj spokój, nie możesz się teraz poddać – szepnęła. – Jeśli wiara czyni cuda... – Skrzywiła się, czując, że tu jednak przesadziła.

Jaka wiara? Jakie cuda? Wszystko to bajki dla naiwnych.

A to, że jakieś uczynne ręce akurat w tym momencie wystawiły przed budkę – tu rozejrzała się wokół siebie i stwierdziła, że stoi przed malutką kwaciarnią – piecyk, to tylko przypadek i nic więcej. Pewnie gdyby nie była tak zmęczona, przypomniałaby sobie, co w takich sytuacjach mówiła babcia Hela. Że w życiu nic nie dzieje się przypadkiem. Wszystko jest po coś. I to coś, gdy przyjdzie czas, się objawi.

A początek cudu nie musi być spektakularny. Czasem przyjmuje postać ciepłego gazowego pieca i płonącego w nim ognia.

Gabrysia już od jakiegoś czasu ukradkiem obserwowała stojącą przed kwiaciarnią dziewczynę. Musiała być bardzo zziębnięta, przechylała się w stronę ognia w taki sposób, jakby całym ciałem chciała przytulić się do płomieni.

I ubrana jest wyjątkowo nieodpowiednio – pomyślała kobieta, otulając się szczelniej chustą zarzuconą na ramiona, jakby ten gest mógł sprawić, że dziewczynie stojącej na zewnątrz zrobi się cieplej. – Wygląda, jak gdyby wyszła prosto z ciepłej jesieni i zniecka trafiła w koniec cholernego, paskudnego listopada. Kto to widział, żeby przymrozki witać w trampkach...

– Dzień dobry, kochanieńka – przerwał jej rozmyślenia tubalny męski głos. – Dałoby się załatwić jakiś skromny i gustowny bukiet?

– Oczywiście – odpowiedziała machinalnie, usiłując nie pokazać po sobie zdziwienia nietypowym powitaniem.

Obrzuciła stojącego przed nią mężczyznę uważnym spojrzeniem. Miał pucołowatą twarz i niebieskie oczka, które ginęły w fałdkach okrągłych i rumianych policzków. Ubrany był w wyglądający na drogi płaszcz, szyję osłaniał mu fantazyjnie zawiązany szalik, na palcach błyszcząły złote sygnety.

Typ ostentacyjny – zakwalifikowała go błyskawicznie. – Obawiam się, że skromny i gustowny bukiet w jego wyobrazeniach będzie dokładnie czymś odwrotnym, niż jest w rzeczywistości...

– To jak, działamy? Czas to pieniądz, więc sama, kochanieńka, rozumiesz... – chrząknął znacząco.

– Oczywiście – pokiwała głową z udawaną powagą. – Jak to mówią: klient nasz pan. Więc co przygotowujemy? Frezje, goździki... Mam też konwalie. Przyjechały na specjalne zamówienie z Holandii, ale klient nie odebrał. To co sobie kochanieńki życzy? – tu zawiesiła głos i z rozbawieniem spostrzegła, że na pucołowatej twarzy stojącego przed nią mężczyzny zagościł wyraz konsternacji.

– E nie... Kochanień... To znaczy, pani kochana, skromnie to jedno, ale nie ubogo! – przemówił w końcu z lekką przyganą w głosie, potwierdzając tym samym przypuszczenia Gabrysi. – Te kwiatuszki takie mikre... Dużo bardziej podobają mi się o, tamte. – Wskazał na wielkie czerwone róże. – Niech pani da je wszystkie...

– Wszystkie? – zdumiała się Gabrysia. – To będzie ponad siedemdziesiąt sztuk...

– A co tam, stać mnie. – Machnął lekceważąco ręką. – I niech pani dorzuci jeszcze tamto małe, drobne, białe... I jeszcze trochę tych farbowanych niebieskich... A, i te konwalie... Skoro specjalnie sprowadzane, to chyba warto. Niech też będą.

– Dużo tego – mruknęła. – Nie wiem, czy nie będzie się ze sobą gryzło... – zasugerowała

delikatnie.

– Na pewno da się z tego zrobić naprawdę uroczą kompozycję – w jego głosie zabrzmiała pewność wskazująca na to, że nie przywykł do krytyki. – Karola, moja narzeczona, twierdzi, że mam doskonały gust – dodał z wyraźnym zadowoleniem. – To dla niej ten bukiet... Mówię ci, Kochanieńka, dobraliśmy się jak w korcu maku... Lubimy te same rzeczy... A nawet jeżeli moja niunia za czymś na początku nie przepada, to i tak potem przyznaje, że się myliła. Złota z niej dziewczyna! Tylko co do świąt nie możemy się jakoś dogadać... Ona chce zostać w domu, choinkę ubierać, dom przystrajając jakimiś badziewiami... A ja się pytam: po co? Skoro proponuję jej wyjazd, najlepiej gdzieś, gdzie jest ciepło, palmy, słońce... A prezenty można przecież wręczać wszędzie... A może to właśnie o to chodzi i moja buziunia, niunia kochana, boi się, że nic nie dostanie... Jak, Kochanieńka, myślisz?

Szczerze mówiąc, Gabrysia nic na ten temat nie myślała. Słuchała wynurzeń Kochanieńskiego jednym uchem i co chwila zerknęła za okno, chcąc sprawdzić, czy dziewczyna nadal stoi przy piecyku. Teraz jednak poczuła się zobowiązana do udzielenia odpowiedzi. Z lekką niechęcią oderwała spojrzenie od szyby i skupiła uwagę na rumianym obliczu klienta.

– A może pana narzeczona po prostu chce mieć prawdziwe święta? Ze stołem wigilijnym, opłatkami, śniegiem? Za nic nie wymieniałabym choinki na palmę... – Zamilkła i znów spojrzała za okno. – Martwi mnie ta dziewczyna – dodała i dopiero po niewczasie zorientowała się, że wypowiedziała na głos dręczącą ją od jakiegoś czasu myśl.

Natychmiast tego pożałowała, bo pan Kochanieński podążył spojrzeniem za jej wzrokiem i na jego pucołowatej twarzy odbił się wyraz obrzydzenia.

– A czym tu się martwić? Kolejny nierób i włóczyki! Zalega toto na ulicach i psuje powietrze! – stwierdził wyniośle. – A uczciwy człowiek musi na nich pracować! Zamiast jej żałować, niech się pani lepiej skupi na tym, co robi – doradził, przybierając ton dobrotliwego wujaszka, bo Gabrysia właśnie ukłuła się różanym kolcem i syknęła z bólu. – A ta szopka na wystawie to za ile? – płynnie zmienił temat, podchodząc do szerokiego parapetu, na którym właścicielka kwaciarni ustawiła stare gipsowe figurki. – Moja Karola lubi takie starocie...

– Szopka nie jest na sprzedaż – odpowiedziała krótko, a jej głos był tak lodowaty, że każdy, kto posiadałby choć odrobinę ludzkich uczuć, z miejsca zamieniłby się w sopel.

Jednak Kochanieńkiemu to nie groziło.

– Pani kochana, gada pani, jakby się wczoraj urodziła! Wszystko jest na sprzedaż, pozostaje tylko kwestia ceny – pouczył ją, wyjmując z drewnianego żłóbka małego Jezuska.

Widząc to, Gabrysia poczuła, jak zalewa ją fala wściekłości. Niewiele myśląc, porzuciła trzymane w rękach kwiaty, wyszła zza lady, bezceremonialnie odebrała mu figurkę i z troską z powrotem ułożyła ją w wymoszczonym siankiem żłóbku. Zanim odeszła, pieszczotliwie pogładziła gipsową buzię. Tak jak lata temu robiła to jej babcia Małgosia. Ledwo o niej pomyślała, przed oczami pojawiła jej się pomarszczona twarz, siwe włosy zwinięte z tyłu głowy w zgrabny koczek oraz uśmiech, który

potrafił rozproszyć wszystkie dziecięce troski i smutki. Gabrysia bezwiednie przymknęła powieki, a w uszach zadźwięczała jej dobrze znana opowieść snuta przez babcię rok w rok, zawsze o tej samej porze. Ale zanim popłynęła, musiało wydarzyć się jeszcze kilka rzeczy...

Zaczynało się od głośnego tupania w sieni. To był znak, że dziadek wrócił z lasu i otrząsa buty ze śniegu. I było wiadomo, że już za chwilę, już za momencik wejdzie do domu, przesiąknięty ostrym zapachem mroźnego powietrza, niosąc przed sobą choinkę. Na środku dokładnie wysprzątanego pokoju stały przygotowane dwie skrzynki. Jedna z nich kryła w swoim ciepłym, wyłożonym słomą wnętrzu bombki, papierowe łańcuchy, delikatne, obsypane lśniącym brokatem sople. Druga zaś musiała poczekać dłużej, otwierano ją dopiero wtedy, gdy drzewko umocowane przez dziadka w starym, mosiężnym i bogato zdobionym stojaku zostało obwieszone lukrowanymi pierniczkami, lśniącymi bombkami i rumianymi jabłuszkami, otulone puszystymi łańcuchami i anielskim włosem. Wtedy dziadek z dobrodusznym uśmiechem wyłaniającym się spod sumiastego wąsa pochylał się nad drugą skrzynką i wydobywał z niej po kolei wszystkie figurki. Zazwyczaj pierwsza pojawiała się Maria. Nieznacznie pochylona, z uśmiechem na twarzy. Gabrysia, gdy była malutka, widziała tylko ten uśmiech, lecz potem, wraz z upływem lat, zaczęła dostrzegać też inne szczegóły. Na przykład wyraz szczęścia, ale i zmęczenia na twarzy mamy Jezusa. Lekko podkrążone oczy, dołeczek w policzku... Miało się wrażenie, że ten, kto malował tę gipsową twarz, dokładnie wiedział, jakie uczucia targają świeżo upieczoną matką. Wielkie szczęście i miłość, zmęczenie, nieprzespane noce, niepewność jutra, a jednocześnie ogromna ufność i nadzieja. Żeby to oddać tak precyzyjnie, trzeba było mieć niesamowity talent i doskonale znać ludzką duszę. A żeby to wszystko dostrzec, trzeba było dorosnąć. I tak z każdym rokiem Gabrysia odkrywała na twarzy Marii coś nowego. Zresztą matka Jezusa nie była wyjątkiem. Tak samo było z pozostałymi figurkami. Na twarzy Józefa widać było determinację i wolę walki o rodzinę. Ale też w jego oczach odbijał się wyraz jakiejś tłumionej bezradności. Dziadek, gdy na niego spoglądał, kiwał ze zrozumieniem głową i głęboko wzdychał. I zawsze gdy stawiał Józefa pod choinką, mruczał pod nosem:

– Ale ci, chłopie, musiało być ciężko. Nie zazdrozczę ci ani trochę. Patrzeć na swoją zziębniętą żonę, na dziecko, którego nikt nie chciał przygarnąć pod ciepły dach, i nie móc nic zrobić...

– Daj spokój, Stefan, on przecież miał najcenniejszy i najtwardszy oręż na świecie, niczym niewzruszoną wiarę – burczała z przyganą babcia, spoglądając z niepokojem, czy Gabrysia przypadkiem nie słucha. – Dziecku tylko w głowie namącisz! Zresztą co to za pomysły! W Biblii nie czytałam ani słowa o tym, żeby Józef miał jakieś wątpliwości...

– A bo to trzeba o tym pisać, Małgosiu? – Dziadek Stefan wzruszał ramionami. – Wystarczy, że się jest mężczyzną i ma się rodzinę i wszystko jest wiadome. Już ja tam wiem, co on czuł w głębi serca. Nie ma nic gorszego dla męża i ojca niż poczucie bezsilności. A mała i tak nic nie słyszy, bo zajęta jest układaniem sianka w żłóbku – dodawał ugodowo i ukradkiem puszczał do wnuczki oko.

Oboje doskonale wiedzieli, że Gabrysia słyszała każde jego słowo. Zresztą czekała na nie z niecierpliwością co roku. Była to nieodłączna część nadchodzących świąt. Niezbędna tak samo jak zapach zielonego igliwia, migotanie świeczek choinkowych i woń pierników roznosząca się po całym domu. Od tego wszystko się zaczynało. Za każdym razem niezmiennie: ustawianie choinki, rozpakowywanie i rozwieszanie świątecznych ozdób i pojawienie się Świętej Rodziny. A potem babcia cichym głosem zaczynała snuć historię związaną z szopką.

– To były czasy, kiedy zima nadchodziła powoli – zaczynała tonem, który działał na słuchaczy jak magnes. – Najpierw pojawiał się pierwszy szron, który niczym welon panny młodej rozsnuwał się na pożółkłej trawie i zeschniętych liściach, powietrze nabierało ostrości, do okien zaczynał dobijać się natarczywy wicher. A dopiero potem spadał pierwszy śnieg. Delikatny, nieśmiały. Kładł się cieniutką puchową warstwą na ogołoconych gałęziach, otulał zielone igliwie na świerkach i sosnach. Dużo ich było koło naszego domu, bo mieszkaliśmy, ja i twoi pradziadkowie, a moi rodzice, Gabrysiu, w chacie na skraju lasu. Pierwszy śnieg był zapowiedzią tego, co za chwilę nadejdzie. Zadymek, śnieżyc, siarczystego mrozu. Ale przede wszystkim przynosił ze sobą zapach nadchodzących świąt. Od momentu gdy się pojawił, nam, dzieciom, wydawało się, że wokół zaczyna działać magia. Pisało się listy do Świętego Mikołaja, zaczynały się gruntowne porządki i uzupełnianie zapasów. Mój tato, tak samo jak teraz twój dziadek, znosił ze strychu dwie skrzynki. Jedną z ozdobami choinkowymi, drugą, większą, z szopką. Stroiliśmy drzewko, a potem można było, przyklejając nos do wymalowanej mrozem szyby, wypatrywać pierwszych śladów Mikołaja. Bo skoro w pokoju już stała choinka, to i on mógł się pojawić w każdym momencie, żeby zobaczyć, czy godnie przygotowaliśmy drzewko na jego przybycie. A potem nadchodził ten dzień: Wigilia.

Tego wigilijnego wieczoru, a właściwie nocy, o której mówię, nie pamiętam. Miałam wtedy zaledwie dwa latka. Natomiast opowiadano mi o tym tyle razy, że wręcz widzę to wszystko, co się wtedy wydarzyło.

Noc była śnieżna i mroźna. Uroczysta kolacja wigilijna już się skończyła i dzieci, czyli ja, trzy lata starsza ode mnie Natalia i najstarszy z nas wszystkich Leszek zostaliśmy położeni do łóżek. Nasi rodzice wybierali się saniami na pasterkę. A nad nami miała czuwać Tekla. Mieszkała u nas na stałe, jej rodzice zmarli, a jej nikt nie chciał i mama dała jej ciepły kąt i utrzymanie. Tak kiedyś bywało. Dziecko można było porzucić, przygarnąć... – Babcia na moment milkła i dopiero wymowne chrząknięcie dziadka powodowało, że wracała do opowieści. – Tekla dobrze trafiła, bo mama traktowała ją jak swoją przybraną córkę – ciągnęła. – Ale że była najstarsza z nas wszystkich, to i największa odpowiedzialność na niej ciążyła. I tamtego wigilijnego wieczoru Tekla została z nami, a rodzice wsiedli do sań. Zdążyli odjechać już spory kawałek, gdy mama nagle kazała ojcu zawrócić konie.

„Gdy spojrzałam w niebo, zobaczyłam na nim gwiazdę, taką, jaka wiodła trzech króli do stajenki, i nie wiem dlaczego, ale z miejsca wiedziałam, że powinniśmy wrócić...” – opowiadała potem.

Oczywiście tatuś żadnej gwiazdy nie widział, podobno wściekł się niemożebnie, wyrzekał na babskie przecucia, ale tym razem upór mamy był nie do złamania. Ponoć nawet zagroziła ojcu, że jeżeli jej nie posłucha, to ona wysiadzie z sań i wróci do domu na piechotę. Była to raczej groźba bez pokrycia, bo śniegu było tyle, że w długiej sukni prawdopodobnie nie zrobiłaby ani kroku, ale tata w końcu ustąpił. Gryzło go wprawdzie sumienie, że przez babskie fanaberie opuszczą pasterkę, ale cóż miał biedak robić, skoro żona uciekła się do szantażu i zagroziła samotnym brnięciem przez przeogromne zasy? Poza tym była Wigilia, nie chciał tego wieczoru kończyć awanturą... W każdym razie stanęło na tym, że wrócili. Zanim jeszcze zajechali na podwórze, poczuli zapach dymu i zobaczyli płomienie. Dom się palił. Część, w której były rozlokowane pokoje dziecinne, już stała w płomieniach. Twoja prababcia, Gabrysiu, mówiła, że jeden rzut oka wystarczył, aby zyskać pewność, że tam nikt nie miał szans przetrwać. Mówiła też, że właśnie wtedy poczuła, jak to jest, gdy serce pęka na miliony kawałeczków. Mimo że sytuacja wyglądała beznadziejnie, mój tato wyłamał drzwi i wpadł do części domu, której ogień jeszcze nie objął w posiadanie. Mama kierowana resztką zdrowego rozsądku, jaka przedarła się przez panikę, wrzuciła w śnieg koc, którym na saniach otulała nogi, i przykrywszy się nim, pobiegła za mężem. Jakież było ich zdumienie i radość, gdy pierwsze, co zobaczyli, to była nasza trójka siedząca pod choinką i tuląca się do siebie. Ojciec opowiadał potem, że nigdy w życiu nie widział bardziej surrealistycznego obrazka. Z jednej strony szalejący, bezwzględny żywioł, z drugiej sielski widok obejmujących się dzieci ukrytych pod bożonarodzeniowym drzewkiem. Ale, jak się domyślasz, wtedy nie mieli czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Było jasne, że ogień zaraz i tutaj się przedostanie i przede wszystkim trzeba było wydostać się na zewnątrz. Wyniesiono nas, a razem z nami szopkę. Nikt do końca nie wiedział, jak to się stało, że wszystkie jej fragmenty znalazły się razem z nami na saniach. A trzeba ci wiedzieć, Gabrysiu, że było tego więcej. Teraz został wół, osioł, anioł, mały aniołek i Święta Rodzina. A wtedy były jeszcze inne zwierzęta i trzej królowie... Poginęły w czasie wojennej zawieruchy. Ojciec najpierw zajął się nami, a potem rzucił się do pomieszczeń gospodarczych ratować zwierzęta. Konie na całe szczęście były zaprzężone do sań, w stajni został tylko kucyk Miluś, nasz ulubieniec, z obory trzeba było wyprowadzić opierające się i przerażone dwie krowy. Ale się udało. Tej nocy nikt nie zginął, choć na początku nie było wiadomo, co się stało z Teklą. Potem dopiero okazało się, że w ogóle jej nie było w domu, bo wymknęła się na schadzkę z synem sąsiada... I tak była zaaferowana i otumaniona pierwszą miłością, że nie zauważyła, że zostawiła lampę naftową na oknie, tuż pod zwiewnymi koronkowymi firankami, które niemal natychmiast zajęły się ogniem. Z miejsca orzeknięto, że to cud, że wszyscy ocaleli. Gdy później zaczęto wypytywać Leszka, jak to się stało, że zamiast leżeć w łóżkach i głęboko spać, znajdowaliśmy się w zupełnie innej części domu, siedząc pod choinką, mój brat najpierw nie chciał nic powiedzieć. Sznurował usta i twierdził, że niczego nie pamięta. Dopiero jakiś czas potem mama wydobyła z niego poczynione z wyraźnym oporem wyznanie.

„Już prawie usypiałem, gdy przed moimi oczami pojawiła się postać tego naszego anioła z szopki”

– mówił zakłopotany. „To było trochę tak, jakby mi się śnił, ale to nie był sen... I kazał mi natychmiast zabrać Małgosię i Natkę i iść tam, gdzie stała reszta figurek z szopki, pod choinkę. Nie wiem, dlaczego go posłuchałem, ale gdzieś w środku, o tutaj – Leszek położył dłoń na sercu – czułem, że jeżeli tego nie zrobię, to wydarzy się coś strasznego. Wstałem z łóżka i najpierw zabrałem Natalię. Była rozespana, nie chciała iść, w końcu wymyśliłem bajeczkę, że być może Mikołaj zapomniał i nie dał nam wszystkich prezentów, więc trzeba pójść sprawdzić... A Małgosię po prostu przeniosłem, bo spała. Musiałem się przemykać, bo Tekla cały czas się kręciła po swoim pokoiku... Podśpiewywała i stroiła się, i wyginała przed lusterkiem. Gdyby mnie zobaczyła, natychmiast kazałaby mi wracać do łóżka... I tak to prawdziwy cud, że jak wychodziła, to nie zobaczyła nas pod tą choinką...”

„Masz rację synku, to prawdziwy cud” – wyszeptwała moja mama.

I od tej pory wszyscy w rodzinie wierzymy, że ta szopka ma szczególną moc i że figurki nas strzegą. Kiedyś, Gabusiu, gdy ją odziedziczysz, to właśnie ty będziesz musiała o nią zadbać. I o to, by twoje dzieci zrozumiały, jaki skarb mają w rękach, i o to, by wiara w cud wigilijny przetrwała w ich serduszkach. To duża odpowiedzialność, ale też niebywałe wyróżnienie. Jeżeli ten sam anioł, który opiekował się malutkim Jezusem, czuwał wtedy nad naszą rodziną...

– Pani kochana, z panią to w ogóle nie można się dogadać – wyrwał ją z zadumy zniecierpliwiony głos Kochanieńkiego. – Usnęła pani czy co?

Gabrysia kilka razy szybko zamrugała i z niechęcią spojrzała na gburowatego klienta.

– Zamyśliłam się – odpowiedziała krótko i wróciła do układania bukietu.

– A z tą szopką to ja jeszcze nie powiedziałem ostatniego słowa – zakomunikował stanowczym tonem. – Widzę, że mam do czynienia z niezłą zawodniczką, co to na handlu zęby zjadła. Nic nie mówi, a i tak się targuje! To milczenie to był znak, żebym coś konkretnego zaproponował, znam te sztuczki. A te figurki to bym zabrał ze sobą i dał Karoli w prezencie, już na wyjeździe. Taki trochę żart, Jezus pod palmą... Rozumiesz, kochanieńka. A, i jeszcze bym dokupił Świętego Mikołaja i bałwana... – A po co drugi, jeden nie wystarczy? – mruknęła Gabrysia, myśląc, że większego bałwana i bufona niż pan Kochanieńki to już dawno nie widziała.

– Słucham? – Miłośnik świąt pod palmami pochylił się w stronę kwiaciarki.

– Nic, zupełnie nic... Proszę bardzo, bukiet gotowy – podała mu pokaźnych rozmiarów wiecheć, który pomimo jej usilnych starań wyglądał, jakby robił go totalny amator, na dodatek kompletnie pozbawiony dobrego smaku.

– Bukiet jak marzenie – mruknął Kochanieńki z zachwytem. – Mówiłem, że gust mam jak mało kto.

– O tak, trudno się nie zgodzić – przytaknęła skwapliwie kwiaciarka. – Jak mało kto.

– To jak będzie z szopką?

– Zostaje tu, gdzie jej miejsce. – W głosie Gabrysi zabrzmiały ostre tony.

– Dobra, dobra! Wrócę tu jutro albo pojutrze i pogadamy. A tę żebraczkę sprzed kwiaciarni to

powinnaś, Kochanieńka, z miejsca przegonić. Ani się obejrzysz, a będziesz miała całe stado śmierdzieli przy tym swoim ogniu. Skończy się tym, że kwiaty ci pokradną i klientów odstraszą. Z nimi tak to już jest, jak pojawi się jeden, to za nim za chwilę przyleci cała chmara. I po co toto w ogóle żyje? Powinno być tak jak w przyrodzie, słabe osobniki są eliminowane. Natura wie, co robi, i powinniśmy brać z niej przykład. To ile za kwiatuszki?

Gabrysia, która zniesmaczona marzyła tylko o tym, by pan Kochanieńki zniknął sprzed jej oczu, i już otwierała usta, żeby podać kwotę, nagle je zamknęła i głośno przełknęła ślinę.

– Ile... Zaraz policzę – powiedziała, odchrząkując, żeby zamaskować drżenie głosu. – Wychodzi tyle. – Podsunęła Kochanieńkiemu kalkulator z wybitą kwotą.

– No, najtańsza to ta kwaciarnia nie jest... Ale co tam. – Kochanieńki machnął lekceważąco ręką i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza plik banknotów, po czym ostentacyjnie odliczył żadaną sumę. – Wrócę tu jeszcze – zapowiedział już spod drzwi.

Gdy je za sobą zamknął, Gabrysia odetchnęła z ulgą i drżącymi palcami przeliczyła pieniądze rzucone niedbale na ladę.

Na zewnątrz zaś wzmógł się wiatr i z coraz większą zaciętością szarpał znoszoną kurtką grzejącej się przy ogniu dziewczyny.

– I po co tak opętańczo wyjesz – mruknęła znużona. – Jeszcze zdążysz mnie załatwić... Poczekaj, przyjdzie twój kumpel mróz i razem się mną zajmiecie...

Zajęta gadaniem do wiatru i przysuwaniem nogą odłożonego na ziemię tobołka, tak by znalazł się bliżej ognia, tylko kątem oka zobaczyła wychodzącego z kwaciarni zamożnie ubranego mężczyznę. Nie zwróciła na niego większej uwagi, choć zdawało jej się, że coś do niej krzyknął i agresywnie zamachał rękami. Jednak przybierający wciąż na sile wiatr zagłuszył jego słowa.

I dobrze, bo gdyby Michalina usłyszała, co wykrzykiwał mężczyzna, z pewnością natychmiast by odeszła tam, gdzie ją oczy i nogi poniosą. Byleby dalej od raniących słów, które potokiem popłynęły z ust Kochanieńskiego.

A tak mogła trwać w nieświadomości. Tego, co właśnie zostało powiedziane, i tego, że lodowaty wiatr czasem się przydaje. I może być częścią jakiegoś wielkiego, całkowicie niezrozumiałego dla ludzi planu.

Gabrysia poczekała, aż Kochanieńki zniknie jej z pola widzenia, i wyszła na zewnątrz. Z miejsca wokół jej postaci owinał się lodowaty podmuch listopadowego wiatru. Dziewczyna wciąż stała przy ogniu. Oczy miała przymknięte i cichutko nuciła jakąś melodię. Kwiaciarka przystanęła za jej plecami i przez moment słuchała. Zdawało jej się, że zna tę piosenkę. Na pewno było to coś świątecznego, wzruszającego i smutnego zarazem. Kolęda? Pastorałka? I gdy już miała wrażenie, że rozpoznaje utwór, dziewczyna wyczuła jej obecność i gwałtownie się obróciła. Znienacka urwana melodia zawisła pomiędzy nimi: starszą, ciepło ubraną, z siateczką drobnych zmarszczek wokół oczu, i młodszą, bladą, przemarzniętą i zrezygnowaną.

Gabrysia, widząc tę wychudzoną buzię, z której patrzyły ogromne szaroświatliste oczy, poczuła na plecach dreszcz niepokoju. Nie wiedzieć czemu, spojrzenie przepełnione smutkiem, cienie pod oczami, opuszczone kąciki ust z miejsca skojarzyły jej się z szopkową figurką Marii. Tak jakby gipsowa postać postanowiła objawić się w twarzy stojącej przed kwiaciarnią dziewczyny. Gabrysia wstrząśnięta tym skojarzeniem nie mogła wydobyć głosu z zaciśniętego gardła.

Michalina zrozumiała jej milczenie na swój sposób.

– Już sobie idę – powiedziała schrypniętym głosem. – Chciałam tylko trochę się ogrzać. Ale pewnie odstraszałam pani klientów – dodała z westchnieniem. – Ten pan, który wychodził z takim wielkim bukietem, coś do mnie krzyczał, ale nie słyszałam co. Teraz już wiem i znikam...

– Właśnie między innymi dlatego tu jestem. – Gabrysia w końcu odzyskała głos. – Ten pan prosił, żebym ci to od niego dała. – Wyciągnęła rękę i wsunęła w drobną i chłodną dłoń dziewczyny kilka banknotów. – Spieszył się i nie mógł sam podejść... Pewnie krzyczał, żebyś nigdzie nie odchodziła – skłamała gładko i ku swojemu zaskoczeniu poczuła ogromną satysfakcję.

Prawda była taka, że Kochanieńki zapłacił za bukiet więcej, niż wyszło z początkowych obliczeń kwiaciarki. Słyszając ten cały bezduszny wykład o mądrości natury i o eliminacji słabszych osobników, Gabrysia nie mogła się powstrzymać i doliczyła do rachunku okrągłą sumkę za straty moralne. W końcu nikt jej nie pytał, czy chce tego wszystkiego słuchać. A Bóg jej świadkiem, że nie chciała. Na samą myśl o tym, jaką minę zrobiłby mężczyzna, gdyby się dowiedział, że zostawił pieniądze dla tej dziewczyny, uśmiechnęła się z zadowoleniem.

Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – pomyślała.

Pan Kochanieńki nawet nie ma pojęcia, że dziś na jego konto zapisano dobry uczynek. Bo jeżeli chodzi o nią, Gabrysię, to niestety nie miała wątpliwości, że jej sumienie zostało właśnie poważnie obciążone. Po pierwsze, okłamała i ograbiła własnego klienta. Po drugie – wprowadziła w dobrą wiarę, ale jednak – okłamała stojącą przed kwiaciarnią dziewczynę. Po trzecie, o dziwo, nie żałowała tego

ani odrobinę.

– Ale jak to? To dla mnie? – Dziewczyna z niedowierzaniem patrzyła na pieniądze. – Ten pan wyglądał na zagniewanego... Jakby mnie nie lubił.

– Nie każdy może wyglądać dobrodusznie, nawet gdy serce ma ze złota – obłudnie stwierdziła Gabrysia. – A ty z kolei wyglądasz na przemarznąętą. Posłuchaj... Właściwie jak masz na imię?

– Michalina – powiedziała, spuszczać oczy i wbijając wzrok w czubki brudnych, rozdeptanych trampek.

– W takim razie, Michalino, chcesz wejść do mnie na herbatę? Właśnie zagotowałam wodę...

I nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po tobołek leżący na ziemi. Coś jej mówiło, że nawet jeżeli dziewczyna nie będzie chciała pójść za nią, to z całą pewnością nie zostawi swojego pakunku. Trudno było nie dostrzec, że cały czas ma go na oku. Widać miała tam coś ważnego.

Idąc w kierunku uchylonych drzwi kwaciarni ukradkiem zerknęła przez ramię i zobaczyła, że w ogromnych szarych oczach Michaliny lśni niedowierzanie. Gabrysia pomyślała, że gdyby mogła przejrzeć się w lustrze, we własnym spojrzeniu zapewne zobaczyłaby to samo. Bo wprawdzie nie zgadzała się z Kochanieńkim i całym sercem żałowała ludzi, których życie sprowadziło na manowce i tam porzuciło na pastwę losu, ale nawet przez moment nie planowała zapraszania tej małej do siebie. Chciała jej po prostu dać pieniądze, te podstępem zdobyte od Kochanieńskiego i te od siebie, i w ten sposób zagłuszyć wyrzuty sumienia. Tymczasem wyszło, jak wyszło. Może tak zadziałała nucona przez Michalinę melodia? A może to zadziwiające podobieństwo do gipsowej Marii? Tak czy siak, Gabrysia, wchodząc do kwaciarni i kładąc na stole zabłocony tobołek, czuła, że robi wszystko, co w jej mocy, by dowiedzieć się o swoim zabiedzonym gościu jak najwięcej. Nie miała pojęcia, skąd wzięła się u niej ta ciekawość. Do tej pory hołdowała zasadzie, że nikogo nie należy skłaniać do zwierzeń.

Cóż, od każdej reguły zdarzają się wyjątki – pomyślała, stawiając przed sobą dwa błękitne kubki ozdobione podobizną rozkosznie roześmianych dzieci siedzących na kolanach równie szczęśliwych rodziców. Po chwili jednak ukradkiem wymieniła je na inny zestaw. Czerwonych w kropki. Zerkając bowiem na przycupniętą na brzegu krzesła drobną postać, doszła do wniosku, że sielankowe, rodzinne obrazki nijak tutaj nie pasują. Nie trzeba było być jasnowidzem, żeby wiedzieć, że cokolwiek wydarzyło się w życiu tej dziewczyny, to z całą pewnością dalekie to było od ciepła i beztrioski. A Gabrysia w żaden sposób nie chciała kłuć jej w oczy czymś, za czym być może tęskniła. Nawet jeżeli to coś było tylko obrazkiem namalowanym na kubeczku.

– Przepraszam, nie zapytałam, czy przypadkiem nie masz ochoty na kawę, i z rozpędu zrobiłam ci to samo, co sobie – powiedziała, postawiwszy przed Michaliną parujący kubek i talerz z kruchymi ciasteczkami. – Mam nadzieję, że lubisz cynamonową herbatę – dodała, żałując, że nie ma niczego konkretniejszego do jedzenia.

Mogła wprawdzie wyskoczyć do pobliskiej cukierenki, sprzedawali tam pyszne drożdżówki, ale nie chciała zostawiać dziewczyny samej. Po pierwsze, istniała realna możliwość, że mała po prostu, korzystając z okazji, zabierze swój tobołek i zniknie, po drugie, Gabrysia za nic nie zostawiłaby jej sam na sam z otwartą kasą. A przecież nie mogła przy niej wyjąć pieniędzy i zabrać ich ze sobą. Byłoby to ostentacyjnie niegrzeczne. Michalina nie wyglądała na złodziejkę, lecz Gabrysia żyła już na tym świecie wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że pozory mylą, a ludzie są mistrzami kamuflażu. Wolała nie ryzykować.

Przynajmniej się zagrzeje, a coś konkretniejszego kupi sobie za pieniądze, które jej dałam – pomyślała.

– No to co, lubisz ten cynamon czy raczej nie przepadasz? A może wolałabyś kawę? – uśmiechnęła się, sięgając na górną półkę, gdzie trzymała cukiernicę z obtłuczonym uchem.

– Lubię. A kawy ostatnimi czasy nie pijam – odpowiedziała krótko dziewczyna i rzuciła Gabrysi nieufne spojrzenie. – Czemu pani to robi? – zapytała po chwili. – Jeszcze trochę i zacznę wierzyć, że ta kwiaciarnia to taka odmiana złotej rybki albo stoliczka nakryj się... Najpierw ten gość, który – mogłabym przysiąc – najchętniej przegoniłby mnie na cztery wiatry, zostawia mi pieniądze, potem pani zabiera mnie do środka, ogrzewa i częstuje herbatą... Podaje cukier w porcelanie... I to komu? Brudnej, oberwanej żebraczce?

– A rzeczywiście czujesz się brudną, oberwaną żebraczką? – odpowiedziała pytaniem.

– Nie... – Michalina pokręciła głową po chwili zastanowienia. – Nie czuję się. Ale nią jestem. Myślę, że gdy zacznę się nią czuć, tak na sto procent, wie pani, gdy nie będę miała wątpliwości, że to już tak na zawsze, to wtedy będzie znaczyło, że nie ma dla mnie ratunku. Że dłużej nie będę walczyć. Ani o siebie, ani o nas. – Tu bezwiednie pogładziła leżący na stole zabłocony pakunek, a Gabrysia poczuła przebiegający jej po plecach dreszcz niepokoju.

Co ona, na litość boską, tam ma? – pomyślała, czując narastający strach. Mówi o tym, jak o czymś żywym, ale to niemożliwe, bo zapakowane jest szczelnie i jakieś takie to ciężkie i nieporęczne... A jeżeli to wariatka? Psychopatka, która niesie tam rozczłonkowane ciała swojej rodziny? I za chwilę i moje szczątki do nich dołączy?

– Dzisiaj było już bardzo blisko tego, żebym się poddała – wdarł się w jej spanikowane myśli spokojny głos Michaliny. – Ale ten ogień przed kwiaciarnią i pani mnie uratowaliście. Dawno temu znałam kogoś, kto wierzył, że każdy ma swojego anioła i ten anioł dba o to, żeby w odpowiednim czasie na drodze człowieka, którym się opiekuje, stawali właściwi ludzie. Tacy ziemscy, nieświadomi niczego anielscy wysłannicy. Można by rzec, taki ziemski anioł sezonowy. Bo za każdym razem mógł to być ktoś inny. I jeżeli to jest prawda, to pani właśnie stała się pierwszym aniołem, którego spotkałam w tym roku.

Uśmiechnęła się blado, a Gabrysia zaczerwieniła się zawstydzona swoimi wcześniejszymi

podejrzeniami.

Ktoś, kto tak ładnie mówi i wierzy w anioły, chyba nie może być psychopatyczną morderczynią – pomyślała.

– No wiesz, biorąc pod uwagę twój wiek, to chyba nie mogłaś tego kogoś znać aż tak bardzo dawno temu – powiedziała i zachęcająco przesunęła talerzyk z ciasteczkami w stronę dziewczyny. – Ile ty masz lat? Szesnaście, siedemnaście? – zagadnęła niby lekko, ale w środku aż cała zastygła w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie jest pani stworzona na szpiega. Agent zero zero siedem nieźle by się ubawił, widząc takie nieudolne podchody – roześmiała się dziewczyna i ten śmiech nieoczekiwanie sprawił, że w oczach zamigotały jej świetliste iskierki, a cała buzia wygładziła się i złagodniała.

Na moment znikły czujność i napięcie, które było widać w całej drobnej postaci. Gdyby nie brudna i cienka kurtka Michaliny, Gabrysia mogłaby uznać, że to jedna z tych beztroskich dziewcząt, które często widywała przez okna swojej kwiaciarni, wpadła do niej na herbatę. Ale trwało to zaledwie ułamek sekundy. I Michalina znów spoważniała.

– Nie musi się pani obawiać, skończyłam już osiemnaście lat – powiedziała, sięgając po ciastko. – W marcu, w przyszłym roku skończę dziewiętnaście, więc jestem pełnoletnia i mogę robić to, co chcę. A zatem nie pakuje się pani w kłopoty, wchodząc w konszachty z nieletnią pannicą, która uciekła z domu... A jeżeli chodzi o to, o czym wspomniałam... Że to było dawno temu. To proszę mi uwierzyć, że tak właśnie jest. To było tak dawno, że aż wydaje się nieprawdziwe. W zupełnie innym życiu, za siedmioma górami, za siedmioma rzekami... – Zamilkła i przymknąwszy oczy, oplotła dłońmi gorący kubek.

Gabrysia, patrząc na nią, poczuła napływające ogromnymi falami współczucie. W geście dziewczyny było tyle bezradności i tęsknoty, że serce kobiety ścisnęło się z bólu. A opuszczone powieki miały ukryć łzy, które zaczęły napływać do oczu skulonej dziewczyny.

Kwiaciarka taktownie odwróciła się, udając, że poprawia bukiety w stojących na podłodze kubekach. Może i nie była wykwalifikowanym szpiegiem i nie nadawała się na Jamesa Bonda, ale i bez tego dowiedziała się całkiem sporo. Na przykład stało się dla niej jasne, że Michalina, bez względu na to, czy mówiła prawdę o swoim wieku, uciekła z domu. I była też pewna, że dziewczyna bardzo tęskni. Za tym innym życiem, o którym wspomniała.

Jaką krzywdę musiano wyrządzić temu dziecku, że lepsze wydają jej się zimno, brud, chłód i samotność? – zapytała się w duchu.

I szczerze mówiąc, nie bardzo wiedziała, czy jest gotowa poznać szczegółową odpowiedź na to pytanie. Ale zanim się zdecydowała, czy i jak ma ewentualnie pociągnąć dziewczynę za język, ta wstała, podeszła do parapetu i pochyliła się nad stojącą na nim szopką. Wnikliwie przyglądała się każdej figurce i w pewnym momencie pieszczotliwie pogłaskała obtłuczone skrzydła anioła. Tym

razem Gabrysi to nie przeszkadzało. Czym innym były pulchne i niemające krzty wycucia łapy Kochanieńskiego, a czym innym drobne dłonie Michaliny.

– Piękna rzecz – powiedziała dziewczyna z błyskiem w oku. – Taki zupełny brak kiczu. Prawdziwa świąteczność. Patrząc na te figurki, można naprawdę zacząć tęsknić za Bożym Narodzeniem. Nawet jeżeli się tego nie chce... – urwała w połowie zdania, jakby zdając sobie sprawę z tego, że już powiedziała stanowczo za dużo. – Te uszkodzone skrzydła... Można by było je naprawić – szybko zmieniła temat. – Jakby pani znalazła dobrego fachowca, to nie byłoby nawet śladu.

– Znasz się na tym?

– Ciągłe się jeszcze uczę – odpowiedziała z uśmiechem. – Tak ponoć zawsze mówił Michał Anioł – dodała wyjaśniająco. – A że mam imię właśnie po nim, to uważam, że mogę podeprzeć się jego słowami... A skrzydła naprawdę można naprawić. Niech pani o tym pomyśli.

– Pomyślę – obiecała, coraz uważniej przyglądając się dziewczynie. – Zrobię ci jeszcze jedną herbatę. I wiesz co? Do zamknięcia zostało jeszcze trochę czasu. Może tu ze mną zostań?

– Nie chciałabym przeszkadzać – w głosie dziewczyny nie było słyhać przekonania.

– Nie przeszkadzasz. Zresztą widzisz, że ruch u mnie raczej niewielki. Ale żebyśmy były kwita, to mam taką propozycję... – Gabrysia zerknęła na nią spod oka. – Najgorsze, co może być, to czuć się skrępowanym w czyjejś obecności. My się jeszcze zbyt dobrze nie znamy, więc pewnie będzie nam się trudno razem milczało, choć mam nadzieję, że dojdziemy i do tego etapu, że brak rozmowy nie będzie nam przeszkadzał. Ale teraz... Co powiesz na opowieść za opowieść? Ja ci opowiem historię tej szopki, a potem ty mi się czymś zrewanżujesz. Zgoda?

– Czemu nie. – Michalina wzruszyła ramionami. – Ale nie obiecuję, że będę mówiła prawdę...

– Nikt od ciebie tego nie wymaga – powiedziała Gabrysia zadowolona, że dziewczyna połknęła haczyk.

Była dobrym obserwatorem i wiedziała, że cokolwiek usłyszy od Michaliny, to w dużej części będzie to prawdziwa historia dziewczyny. Kwiaciarka miała świadomość, że niektóre rzeczy, te najtrudniejsze i najbardziej niewygodne, najłatwiej i najchętniej opowiada się zupełnie obcym osobom. A skoro została mianowana na jej pierwszego sezonowego anioła, chciała wypełnić swoją misję najlepiej, jak potrafiła. Lecz żeby móc się do tego zabrać, musiała dowiedzieć się czegoś o dziewczynie noszącej imię po Michale Aniele, która pomimo tego, że dopiero wkraczała w dorosłość, miała już za sobą lepsze życie. A przynajmniej tak myślała.

Opowieść Gabrysi potoczyła się gładko. Wartko popłynęły dobrze znane, bo powtarzane po babci słowa. Już od wielu lat to właśnie Gabrysia opowiadała swoim dzieciom o wigilijnym wieczorze, o pasterce, na którą nie dotarli rodzice jej babci, o cudownym ocaleniu z pożaru mieszkańców domu stojącego pod lasem. O figurkach, które nie wiedzieć jakim sposobem znalazły się na saniach. Teraz łatwiej jej się o tym mówiło, bo przecież w czasie wizyty Kochanieńkiego myślała o tym wszystkim. Poza tym od kilkunastu lat była to ich prywatna, domowa opowieść wigilijna. Kiedyś, tak jak przyrzekła to swojej babci, opowiadała ją rok w rok swoim dzieciom, potem, gdy dorosły, nastąpiła przerwa. Nikt już nie chciał słuchać dobrze znanej historii. To właśnie wtedy zaczęła przynosić figurki do kwiaciarni. Dopiero w Wigilię zabierała je do domu. A potem na świat przyszedł wnuczek Gabrysi. Paulinka i Staś. I nagle znów zatęskniono do starej, dobrze znanej opowieści. Pojawienie się dzieci sprzyja ożywieniu wiary w cuda i w magię. I tak duch święty na nowo zaczął się panoszyć pod choinką, razem ze Świętą Rodziną, którą tradycyjnie tam ustawiano.

– Ale jakoś przywykłam, że na koniec listopada przynoszę tu moją szopkową gromadkę. Brakowałoby mi ich. I tak od wczoraj znów stoją tutaj, a w Wigilię powędrują tam, gdzie ich prawdziwe miejsce – zakończyła z uśmiechem.

– Do domu – prawie niedosłyszalnie wyszeptwała Michalina.

– O tak. Bo chyba właśnie o to w tym wszystkim chodzi – głos Gabrysi zabrzmiał nadszpodziewanie miękko. – O to, że przed tymi, którym nikt nie chciał otworzyć drzwi, teraz wszyscy otwierają i domy, i swoje serca. I pozwalają, by maleńka miłość przeobraziła się w wielką, pełną zrozumienia... To wprawdzie jedyna taka noc w całym roku, ale jednocześnie ona właśnie ma sprawić, że przez cały rok będziemy lepszymi ludźmi. I będziemy czekać na kolejny mroźny, grudniowy wieczór, aby coraz odważniej i szerzej otwierać drzwi naszych domów.

– A spóźnionym zostawiać światło w oknie – dodała Michalina. – Moja babcia zawsze tak robiła. W Wigilię stawiała w oknie świecę. Wszystkie święta spędzałam właśnie u niej. I ferie, i wakacje... To był taki mój dom, w którym zawsze czekały na mnie szeroko otwarte drzwi.

Zamilkła i zapatrzyła się w mokre od deszczu szyby kwiaciarni. Przed oczami stanął jej ciepły wrześnieowy wieczór. Jeszcze przebijały się świetliste promienie słońca, jeszcze można było trwać w złudnym poczuciu, że lato nie powiedziało ostatniego słowa, ale gdy człowiek głębiej odetchnął, czuć było w powietrzu pierwsze oznaki nadchodzącej jesieni. Delikatnie, ale stanowczo zawłaszczwała coraz więcej miejsca. Chwilowo zadowalała się chłodnymi i mglistymi porankami, lecz nie było wątpliwości, że za moment należy do niej będą i popołudnia, i zmierzchy. Drzewa już zaczynały się złocić i było jedynie kwestią dni, żeby ich korony w całości zapłonęły purpurowo-złotym przepychem. A wtedy w lesie zacznie unosić się grzybowy aromat i wrzosy rozścielą się fioletem, miękkim

dywanem.

Michalina przez moment stała nieruchomo, wciągając w płuca wieczorne, chłodnawe, a jednak wciąż pachnące latem powietrze. Dopóki tu nie przyjechała, nie zdawała sobie w pełni sprawy, jak bardzo brakowało jej doskonale znanych koron drzew, które widziała ze swojego pokoiku na poddaszu, porannych wypraw do lasu, zapachu kawy zbożowej, który co rano wypełniał kuchnię na dole. Ledwo to pomyślała, serce ścisnęło się jej boleśnie. Nie będzie już ani kawy, ani spokojnych, bezpiecznych nocy, podczas których grzała plecy przy gorącym kaflowym piecu, nie będzie nawlekania na nitkę brązowych kapeluszy grzybów ani suszenia ich na słońcu. Zamrugła gwałtownie, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Przygryzła dolną wargę, usiłując zapanować nad emocjami, i pociągając nosem, wyjęła z kieszeni plecaka duży klucz. Zanim wsunęła go do podrdzewiałego zamka starej furtki, przez moment trzymała go w mocno zaciśniętej pięści, myśląc o tym, jak często tego klucza dotykały dłonie jej babci. Może w jego gładką, chłodną strukturę przeniknęła choć odrobina tego dotyku, może teraz uda jej się go poczuć... Klucz w mocno zaciśniętej ręce zaczął się rozgrzewać, lecz Michalina doskonale wiedziała, że nie ma to nic wspólnego z babcią. Metal ogrzewało ciepło jej własnych rąk i tyle. W normalnym życiu, a przynajmniej w jej życiu, nie było miejsca na żaden, nawet najmniejszy cud. Z westchnieniem wsunęła klucz do zamka i z trudem go przekręciła. Chwilę musiała mocować się z oporną furtką, zanim ta ze zgrzytem ustąpiła. Zamiast od razu wejść, dziewczyna cofnęła się i ogarnęła wzrokiem podwórko i drewniane ściany domu. Pozornie nic się tutaj nie zmieniło. Stara jabłonka chyliła powykręcane gałęzie nad głębinową studnią, prosta, zbita z desek ławka opierała się o niski murek, za którym skrył się ogródek warzywny. Gdyby poszła dalej i okrążyła dom, natknęłaby się na stodołę i kurnik.

„Natknęła się” było idealnym określeniem. Oba budynki stały nieomal na środku podwórka. Patrząc na nie, zawsze miała wrażenie, że wyrosły niespodziewanie, nieplanowane, jak takie budynkowe samosiejki. Kiedyś, gdy była małą dziewczynką, podzieliła się tym wyobrażeniem z babcią, która ubawiona plasnęła dłońmi o kolana i zapewniła wnuczkę, że tak właśnie było. Potem jeszcze przez długi czas mała Michalina, wieczorami leżąc już w łóżku, wyobrażała sobie, jak z ziemi wynurza się najpierw mały pokrzywiony dach, potem ściany i drzwi. Jak z malutkiej stodołki wyrasta ta wielka i potężna, pachnąca sianem skrytym za przesuwanymi wrotami. To samo w jej myślach działo się z kurnikiem. Tyle tylko, że ten nigdy nie osiągnął tak okazałych rozmiarów.

„To pewnie dlatego, że cały czas był w cieniu stodoły” – wyjaśniła jej babcia. „Jak brakuje słońca, rośliny gorzej rosną. Dlatego ważne, Michalinka, żebyś nigdy nie dała się wepchnąć w cień. Ale już moja w tym głowa, żeby ci nigdy tego słoneczka nie zabrakło” – dodała, głaszcząc pieszczotliwie wnuczkę po włosach.

I tak właśnie miało być. Miało trwać. I na pierwszy rzut oka tak właśnie było.

Ale wrażenie niezmienności utrzymało się zaledwie przez ułamek sekundy. Bo tak naprawdę nic

już nie było takie samo.

Miała świadomość, że to nadchodzący wrześniey zmrok litościwie ukrył szczegóły. Lecz niektórych rzeczy i tak nie dało się nie zauważyć. Podwórko było zaniedbane, wiatr nawiał zeschniętą trawę i piach pod drzwi wejściowe, koło studni rozplecił się perz, a na jej pokrywie leżały pozostałości po opadłych, zgniłych jabłkach. Okiennice zamknięte na głucho potęgowały wrażenie obcości.

Michalina z westchnieniem podeszła do murku i ciężko opadła na ławeczkę.

– A przecież minął zaledwie rok – szepnęła, z roztargnieniem gładząc drewniane oparcie.

Szczerze mówiąc, trochę się bała tego, co odkryje o poranku. Bała się też podejść do drzwi i samodzielnie je otworzyć. Dziwnie się czuła, mając świadomość, że tam w środku nie zostanie rozpalonego pieca, nakrytego do kolacji stołu... Do tej pory zawsze, gdy tu przyjeżdżała, już z daleka, ledwo minęła zakręt przy polnej kapliczce, widziała szeroko otwarte drzwi i stojącą w nich babcię. A gdy było zbyt zimno, żeby wietrzyć dom, widziała, jak babcia wygląda zza uchylonej firanki.

– To co, teraz twoja kolej? – nagle w jej wspomnienia wdarł się jakiś obcy głos.

Potrząsnęła głową i rozejrzała się lekko nieprzytomnym wzrokiem. No tak, siedziała w kwaciarni z tą dziwną kobietą, która nie wiedzieć czemu wpuściła ją do środka i w bardzo nieumiejętny sposób usiłowała dowiedzieć się jak najwięcej o swoim gościu. Nie można było o niej powiedzieć niczego złego. Michalina przypuszczała, że te nieudolne próby wzięcia jej na spytki wypływały z dobrego serca. I początkowo nawet zamierzała coś o sobie opowiedzieć. Ale w tej chwili, gdy obrazy z przeszłości powróciły z tak wielkim natężeniem, dziewczyna poczuła, że absolutnie nie jest gotowa na żadne zwierzenia. Bo gdyby zaczęła, znów skończyłoby się to rozpaczliwym płaczem. A limit wylewania łez tego dnia już się wyczerpał. Teraz nie mogła płakać. Zbliżał się wieczór. Za chwilę kwaciarnia zostanie zamknięta, uczucie ciepła i błogości, które ją ogarnęły, odejdzie w zapomnienie, a ona będzie musiała jakoś doczekać do rana. Znaleźć w miarę suche i osłonięte od wiatru miejsce na nocleg. Łzy i zatopienie się we wspomnieniach tylko zabrałyby jej niezbędne do walki siły. Na to zaś nie mogła sobie pozwolić.

O tak, Michalina знаła ciepło pełnego miłości domu. Wiedziała, czym są otwarte szeroko drzwi. Znała moc światła zapalonego w oknie i migającego w oczekiwaniu na zbłąkanego wędrowca. Wiedziała też jednak, co się dzieje, gdy te drzwi zostają nagle zatrzaśnięte. I dlatego nie patrząc na siedzącą naprzeciw niej kwaciarkę, poderwała się i stanowczym gestem sięgnęła po leżący na stole pakunek.

– Przepraszam, ale muszę już iść – powiedziała cicho.

– A umowa? – Gabrysia uniosła pytająco brwi. – Miała być opowieść za opowieść...

– Może następnym razem. – Michalina już stała przy drzwiach. – Bo wie pani, nie na każdego tam na zewnątrz czekają te szeroko otwarte drzwi. Niektórzy muszą zadowolić się patrzeniem w cudze

okna – dodała i nie oglądając się, wyszła.

Gabrysia pchnięta nagłym impulsem chwyciła ciepłą kurtkę wiszącą na stojącym obok drzwi wieszaku i wybiegła za dziewczyną.

– Poczekaj! – Zdyszana dogoniła odchodzącą Michalinę. – Weź przynajmniej to. Będzie ci cieplej. – Wetknęła jej w ręce gruby, puchowy materiał. – I zostaw u mnie tę paczkę. Będzie bezpieczna, a ty jutro po nią wrócisz, dobrze?

Przez moment sądziła, że Michalina odrzuci jej propozycję. Dziewczyna przygarnęła do siebie pakunek takim ruchem, jakby przytulała kogoś najbliższego. Ale po chwili wyciągnęła ręce i ułożyła w wyciągniętych ramionach Gabrysi zawinięty w reklamówki tłumoczek, po czym bez słowa odeszła.

Kwaciarka jeszcze przez moment patrzyła, jak znika w listopadowym zimnym i mokrym zmroku. I nagle doznała uczucia, że to nie paczkę powinna trzymać w ramionach. Że gdzieś się pogubiła. I że skutki tego zagubienia mogą okazać się fatalne.

W końcu przemarznięta wróciła do kwaciarni i ciężko usiadła na krześle, które przed momentem zajmowała Michalina. Owładnęło ją poczucie dojmującej porażki. Przymknęła oczy i usiłowała sprecyzować jego źródło. Właściwie nie mogła sobie niczego zarzucić. Przecież ogrzała tę małą, napoiła ją, nakarmiła tym, co miała... Oddała jej kurtkę. Zrobiła, co mogła, więc skąd ten dziwny gorzki posmak? I to uczucie, że schrzaniła sprawę? Nie wiedziała. W końcu z westchnieniem popatrzyła na zabłocony pakunek, który znów leżał na stole. Przez moment zastanawiała się, czy do niego nie zajrzeć. W końcu zaspokoiłaby palącą ciekawość: co ta mała z taką determinacją targa? Już wyciągała rękę, ale zawstydzona szybko ją cofnęła.

Nie twoje, nie ruszaj – upomniała samą siebie i na wszelki wypadek, by uniknąć pokusy, schowała tobolek głęboko pod stół. Sięgnęła po torebkę i wygrzebała z niej telefon komórkowy; po krótkim namyśle wybrała numer swojej najlepszej przyjaciółki.

– Lila, nie przyjechałabyś po mnie? – zapytała, gdy tylko tamta odebrała. – Nie bardzo mam jak wrócić...

– No nie mów, że komunikacja miejska znowu dała ciała! Zero śniegu, znikomy przymrozek i już miasto stoi? Strach pomyśleć, co będzie, jak przyjdzie prawdziwa zima! – Głos Lilki był zdarty i schrypnięty.

Gabrysia oczami wyobraźni zobaczyła, jak jej przyjaciółka ramieniem przyciska komórkę do ucha, jednocześnie wyciągając z paczki papierosa. Mogła się założyć, że za chwilę usłyszy charakterystyczne pstryknięcie zapalniczki. W tym samym momencie, jak na zamówienie, usłyszała metaliczne „pstryk” i lekkie kasznięcie.

– Lilka, te papierosy cię kiedyś wykończą – mruknęła. – Nie znam nikogo innego, kto by tyle palił.

– Nie znasz, bo zbyt brali sobie do serca te bzdury, które wypisują na pudełkach. A ludzie są podatni na sugestie i w końcu działa na nich ta samospełniająca się przepowiednia. Jakbym codziennie

czytała o raku płuc albo o innych tego typu przyjemnościach, też już zapewne bym się zwinęła z tego padołu łez. Dlatego pan Zenek, ten kioskarz, u którego kupuję fajki od niepamiętnych czasów, odkłada dla mnie tylko te paczki, na których jest napisane, że palenie powoduje impotencję. Jak się domyślasz, godzę się na to bez zastrzeżeń... Ewentualnie biorę jeszcze te ze zmniejszeniem płodności, bo w końcu już się rozmnożyłam i może mi się dowolnie zmniejszyć, ba, nawet zaniknąć, co i tak niebawem mnie czeka.

– Lila jesteś niemożliwa – roześmiała się. – To co, przyjedziesz po mnie? Bo wprawdzie nic nie wiem o awarii autobusów, jednak tak się złożyło, że nie mam kurtki, a jakoś nie uśmiecha mi się bieganie przez pół Warszawy w samym sweterku. Mogłabym wprawdzie zadzwonić po Krzyśka, ale wolałabym nie musieć mu tłumaczyć, dlaczego pod koniec listopada nie mam ze sobą ciepłego okrycia.

– Wujek alzheimer cię dopadł? – zainteresowała się Lila, zaciągając się z lubością. – Bo nie widzę innego wytłumaczenia... Już sobie wyobrażam, jak niczego nieświadoma gnasz do kwiaciarni w samym negliżu...

– Chciałabyś! Ale nic z tego. Rano byłam tak jak Pan Bóg i pora roku przykazali, w ciepłej puchowej kurtce, botkach i rękawiczkach. Niestety, tak jakoś wyszło, że pod koniec dnia zostałam bez palta, czapki, szalika... Ale to nie jest historia na telefon...

– Aha... Teraz to pobudziłaś moją ciekawość do tego stopnia, że nawet gdybym nie mogła, to i tak bym przyjechała. A mogę, więc będę za... No jak się przebiję przez korki. Pewnie zajmie mi to jakieś pół godziny.

– No to czekam. – Gabrysia uśmiechnęła się z ulgą.

Wprawdzie wiedziała, że będzie musiała Lilce opowiedzieć historię ze wszystkimi szczegółami, ale stanowczo wolała relacjonować to wszystko przyjaciółce niż mężowi. Krzysztof był dobrym człowiekiem i bardzo kochał żonę, jednak mimo wszystko obawiała się, że nie do końca by zrozumiał, co nią kierowało, gdy oddawała obcej dziewczynie swoją najlepszą kurtkę, na którą oszczędzała przez całą jesień. Zapewne zapytałby, czemu nie wstrzymała się i nie poszukała w domu czegoś, co by się nadało, a jednocześnie nie kosztowało majątku. Miała świadomość, że brak kurtki zapewne i tak zostanie dostrzeżony, lecz może do tego momentu wymyśli jakieś racjonalne wytłumaczenie. Na razie wolała grać na zwłokę.

Lilka zatrzymała auto pod domem Gabrysi, opuściła szybę w samochodzie, wydmuchała przez szparę kłęb papierosowego dymu i spojrzała na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Wiesz co, to, że dałaś jej tę kurtkę, nawet mnie tak mocno nie dziwi. – Pokiwała głową i wyrzuciła niedopałek na zewnątrz. – Też nie wiem, czy nie oddałabym swojego najlepszego kożuszka, wiedząc, że ta mała może się śmiertelnie przeziębic... Chociaż łatwo by mi to nie przyszło, bo nadmiernie przywiązuję się do rzeczy... To jedna z moich licznych wad, przez które żaden facet ze mną dłużej nie wytrzyma. Biedacy gubią się wśród chomikowanych przez lata bibelotów, szpargałów, podwiązek...

– Przypuszczam, że wśród tych ostatnich niejeden chętnie by się zagubił na wieki – roześmiała się Gabrysia.

– A tu możesz mieć rację. Nie wiedzieć czemu bez względu na wiek, czy to się tyczy ledwo opierzonego dwudziestolatka czy nieco zramolałego sześćdziesięciolatka, podwiązki działają na nich lepiej niż viagra... Ale wracając do tematu. Co innego nie daje mi spokoju. Kurtka kurtką, jak jednak mogłaś nie zajrzeć do tego pakunku, który u ciebie zostawiła? Nie przyszło ci do głowy, że ona może mieć tam coś, bo ja wiem... nielegalnego? Albo makabrycznego?

– Przyszło, ale grzebanie w nie swoich rzeczach... Sama rozumiesz, to by było potwornie nieuczciwe. – Gabrysia wzruszyła ramionami i opuściła szybę po swojej stronie. – Śmierdzi tutaj jak w palarni. Udusić się można. – Z ulgą wciągnęła mroźne powietrze.

– Mówiłam ci już dawno, że gdybyś paliła, tobyś nie czuła. I nie, nie rozumiem. A co zrobisz, jeśli okaże się, że to był na przykład ładunek wybuchowy? I jak jutro przyjdiesz do pracy, to zastaniesz jedynie marne resztki swojej kwiaciarni?

– Lata pracy w dziennikarstwie ewidentnie ci zaszkodziły – roześmiała się Gabrysia. – Nie panujesz nad wyobraźnią, moja droga. I chronicznie nie ufasz bliźnim. Wszędzie węszysz podstęp.

– Może i tak. Ale przynajmniej na starość nie zrobię się naiwna jak dziecko – odparowała z przekąsem.

– Jaka starość, Lila! Pięćdziesiątka to nie tragedia! Ostatnio gdzieś nawet czytałam cały artykuł o tym, że to piękny wiek dla kobiety.

– A nie mówiłam, że jesteś naiwna? Napisali, bo tak im do profilu gazety pasowało, po to żeby inni, a właściwie inne, tobie podobne, w to uwierzyły – wyjaśniła z pobłażaniem. – Poza tym ty mi się tu pięćdziesiątką nie zasłaniaj, bo o ile mnie pamięć nie myli, to należy tam dołożyć czwórkę z kawałkiem. Boże, właśnie sobie uświadomiłam, że my już jesteśmy potwornie stare! Możemy spokojnie wybrać sobie na hymn ten tekst:

Starzejemy się, starzejemy się,
W falach życia odwiecznej powodzi.
Wypalamy się, usuwamy w cień,
Choć czujemy się piękni i młodzi.

Jeszcze każdy z nas krzepę ma i gaz,
Tyle w sobie młodzieńczej radości,
Jeszcze siła jest, a tu patrzeć – kres,
Ledwo żeśmy naprawdę wyrosli.

– zaśpiewała pod nosem.

– Ja bym się trzymała tego ostatniego, żeśmy ledwo naprawdę wyrosli – roześmiała się Gabrysia.
– Resztą bym sobie głowy nie zawracała. Po prostu piękna młodość stabilna. Swoją drogą myślałam, że gorzej to przyjmę... wiesz, te siwiejące włosy, zmarszczki koło oczu, wiotcze...

– Zamilcz, kobieto – przerwała jej Lilka w połowie słowa. – Ja z kolei zawsze myślałam, że przyjmę to z dużo większą godnością. Niestety, przeliczyłam się. I przeraża mnie szybkość, z jaką płynie czas. Dopiero co było jedno Boże Narodzenie, a już mamy następne. Gdzie te zimy, które ciągnęły się w nieskończoność? Gdzie upalne dni, kiedy czas zwalniał? Mówię ci, to jakieś oszustwo, ani chybi Ziemia musi się szybciej kręcić i dlatego to tak wszystko przyspiesza. A wracając do Bożego Narodzenia, to mam w redakcji pożar. Numer świąteczny mi się posypał.

– Jak to możliwe? Przecież u was numer świąteczny powinien być gotowy najpóźniej w październiku? – zdumiała się Gabrysia, która wprawdzie nie przepracowała w gazecie ani minuty, ale mając przyjaciółkę, która od wielu lat była redaktorem naczelnym, często czuła się tak, jakby sama wykonywała ten zawód.

– I był. Ale okazało się, że główny artykuł nie może pójść. Mniejsza o szczegóły, dziewczyna nie dopilnowała zgód, formalności. Szkoda gadać. W każdym razie już jutro jest pierwszy grudnia, a ja nie mam nośnego głównego tematu. Dramat! I jak zwykle wszystko skrupi się na mnie, bo na kim by innym?

– Komu jak komu, ale mnie nie musisz mydlić oczu. Obie doskonale wiemy, że śmiertelnie byś się obraziła, gdyby ktoś do gaszenia pożaru gazetowego wytypował jakąś inną osobę. Uwielbiasz być w centrum wydarzeń i uwielbiasz zapobiegać katastrofom. I masz przy okazji odpowiedź na swoje pytania. Ty nie masz kiedy kontemplować mijających dni, bo cały czas jesteś zajęta. I dobrze, bo coś mi się wydaje, że w innym wypadku stałabyś się nie do zniesienia. W tej sytuacji możesz się tylko cieszyć, że to wasze pismo, chyba jako jedyne na rynku, wypuszcza numer grudniowy dopiero tydzień przed świętami...

– Nie cały numer, tylko dodatek specjalny, świąteczny. Ale na jedno wychodzi, bo to tam właśnie

mam kłopot z tekstem. A miała być taka piękna i wzruszająca opowieść o Wigiliach. W roli głównej Andrzej W. Wiesz, ten znany serialowy aktor. Celebryci dobrze się sprzedają... No nic, będę myśleć. W ostateczności napiszemy coś o tradycji pieczenia pierników – skrzywiła się na samą myśl, a Gabrysia w duchu się uśmiechnęła. Zbyt dobrze знаła przyjaciółkę, żeby brać jej słowa poważnie. Lilka nie byłaby sobą, gdyby poszła na taką łatwiznę.

– Andrzej W. niewątpliwie padłby z zachwytu, gdyby dowiedział się, że zastąpi go piernik – powiedziała głośno i rozbawiona prychnęła krótkim śmiechem. Ale po chwili spoważniała. – Wiesz co, nie mogę pozbyć się wrażenia, że w całej tej dzisiejszej historii, z tą dziewczyną, Michaliną, coś poszło nie tak... – zmieniła temat. – Ja chyba poszłam na łatwiznę. Zagłuszyłam wyrzuty sumienia, wtykając jej te marne grosze...

– Z tego, co mówiłaś, to takie marne wcale one nie były – mruknęła Lilka, wyciągając z paczki kolejnego papierosa. – Właściwie to czego ty od siebie chcesz? Zrobiłaś i tak bardzo dużo. Jeśli ta mała ma łeb na karku, to spienięży jeszcze twoją wymarzoną kurtkę i przytuli niezły pieniądz. A sama kupi sobie coś na używanych ciuchach...

– Nie, wiesz co, ona mi nie wyglądała na taką...

– Na jaką? Na zaradną ci nie wyglądała? To ja ci powiem, że jeżeli żyje na ulicy, to musi być obrotna. Inaczej nie miałaby szans. To jest swoista dżungla...

– I właśnie tego się obawiam. Że ona tak długo nie pociągnie. Samo to, jak ona mówi... Michała Anioła cytuje...

– Gaba, posłuchaj sama siebie! I co z tego, że cytuje? Może i jest odczytana, ba, może być nawet utalentowana, ale widać z jakiegoś powodu wybrała takie życie. Może to, co powiem, wyda ci się okrutne, ale nie masz szans na zbawienie całego świata. Nie da rady, rozumiesz? Moja praca ma wiele minusów, ale nauczyła mnie jednego: trzeba zrobić to, co do ciebie należy, i jak najszybciej zapomnieć o reszcie. Inaczej nie byłoby korespondentów wojennych, dziennikarzy śledczych, policjantów pracujących przy sprawach najpodlejszych zbrodniarzy... Bo nie mogliby potem normalnie żyć. A żyć trzeba. Nakarmiłaś ją, ogrzałaś, wzięłaś na przechowanie paczkę. Mało?

– Takie właśnie mam wrażenie, że jednak mało – mruknęła Gabrysia.

– To co byś jeszcze chciała zrobić? Poza prześwietleniem tego tobołka rzecz jasna, bo na to to i ja mam szczególną ochotę.

– Nie wiem. I to właśnie mnie męczy. Słuchaj, a może ona by się nadała do tej twojej gazety, co? Może by mi się udało nakłonić ją do udzielenia wam wywiadu. Zapłacilibyście jej jakieś honorarium...

– Oj Gabryśka, Gabryśka, dobrze, że ty masz te swoje kwiatki i inne chwasty, bo kariery w innych branżach to byś raczej nie zrobiła! Przecież mówiłam ci, że to celebryci się sprzedają, blask i migotanie diamentów, splendor i luksus. O tym chcą ludzie czytać. A nie o trudnym żebraczym życiu. To nie pozytywizm. Dzisiaj to nawet Prus z tym swoim budzącym przez lata podziw

prospołecznym nastawieniem umarłby z głodu. Teraz nikt nie chce czytać o nieszczęściach. A już szczególnie przed Bożym Narodzeniem. Cóż ja ci mogę na to poradzić, że nastąpiła epoka konsumpcjonizmu i kiczu...

– No właśnie chodzi o to, że możesz! – zdenerwowała się Gabrysia. – A nie zastanawiałaś się nad tym, że być może ludzie czytają to, co czytają, bo zwyczajnie wy, dziennikarze, uznaliście, że nic innego ich nie zainteresuje? I że to wy wychowujecie kolejne pokolenia bezmyślnych miłośników szmiry?

– A idź do diabła z tymi swoimi teoriami, dobrym sercem i twardym tyłkiem – zdenerwowała się Lilka. – I nie ucz ojca dzieci robić!

– W tym wypadku to chyba matki – uściśliła Gabrysia. – Tak w gruncie rzeczy to złościsz się, bo wiesz, że mam rację – dodała.

– W czym niby? – prychnęła rozeźlona Lilka.

– We wszystkim. A w szczególności w tym, że idziecie na łatwiznę i napychacie ludziom głowy głupstwami. I w tym, że nie trzeba zbawiać całego świata...

– Akurat to, to ja mówiłam – tryumfalnie uśmiechnęła się Lila.

– Ale wystarczy zatroszczyć się o konkretnego człowieka – dokończyła Gabrysia, posyłając swojej wścieklej przyjaciółce całusa i wychodząc z samochodu.

A potem za radą Lilki poszła – wprawdzie nie do diabła, lecz do domu, gdzie czekał na nią stęskniony mąż i – jak przypuszczała – przeraźliwie głodny Marcepan. Marcepan był berneńczykiem, psem, który przejawiał nieposkromiony apetyt. Jednocześnie przez kilka lat swojego psiego życia doszedł do prawdziwej perfekcji w dziedzinie wyłudzenia jedzenia. Jedną z metod, które regularnie stosował, było specyficzne powitanie swojej ukochanej pani. Otóż najpierw Marcepan szalał na jej widok z radości. Lizał ją po rękach i po twarzy, a następnie rzucał się do kuchni, skąd wracał w ekspresowym tempie z miską w zębach, po czym ostentacyjnie stawiał ją pod nogami Gabrysi, sam zaś ciężko walił się koło niej, robiąc przy tym minę, która jasno mówiła, że to naprawdę ostatni moment, aby uratować go od niechybnej śmierci głodowej. Jego pysk wyrażał wszystko i jeżeli ktoś chciałby wmówić Gabie, że zwierzęta nie mają mimiki, wyśmiałaby go bezlitośnie. Marcepan nie dość, że mimikę posiadał, to dodatkowo był doskonałym aktorem. I najukochańszym zwierzakiem, jakiego kiedykolwiek miała.

Teraz, idąc ciemną, moką ścieżką w kierunku rzęsiście oświetlonego ganku, miała szczerą nadzieję, że pies jakimś cudem jej nie wyczuje i nie zaanonsuje jej powrotu ujadaniem. Miałaby wtedy szansę na bezgłośnie wkradnięcie się do własnego domu i uniknięcie niewygodnych pytań. Niestety, nie zdążyła nawet nacisnąć klamki, a drzwi stanęły przed nią otworem i całą jej postać od stóp do głów zalało jasne światło z przedpokoju. Krzysztof przez moment nic nie mówił, tylko patrzył na nią osłupiały.

– Nie masz kurtki – stwierdził wreszcie tonem odkrywcy.

– Brawo, Sherlocku – mruknęła. – Ale za to mam twarde tyłek – dodała, bo jakoś tak skojarzyło jej się to z rozmową, którą dopiero co odbyła z Lilką.

Konsternacja widoczna na twarzy Krzysztofa rosła z sekundy na sekundę.

– No cóż... – wydukał wreszcie. – Cieszę się niezmiernie, zawsze lubiłem twoją jędrną pupę, choć i tak nic z tego nie rozumiem – westchnął teatralnie.

– Tu nie ma nic do rozumienia. Jak się ma miękkie serce, to się nie ma kurtki, ale za to ma się twarde tyłek. I już – wyłożyła mu najprościej, jak umiała. – Wpuścisz mnie, czy mam tak powoli, na twoich oczach, zamarzać na progu?

– Rzeczywiście, przepraszam, jakoś tak mnie zamurowało. – Odsunął się z przejścia, wpuszczając żonę do ciepłego wnętrza. – Nadal niewiele z tego pojmuję, ale to nic, bo po pierwsze, z całą pewnością jestem niesamowitym szczęściarzem, bo trafiła mi się żona, która po tylu latach małżeństwa potrafi mnie jeszcze zaskoczyć... A obawiam się, że nie zniósłbym życia z kobietą, z którą bym się nudził... A po drugie, zaraz mi to wszystko, moja droga, klarownie wyjaśnisz... Powrót w taką zimnicę bez kurtki to prawie tak, jakbyś stanęła przede mną naga. Właściwie to nawet kusząca wizja... – mruknął, przyciągając Gabrysię do siebie. – Ślicznie pachniesz, konwaliami, frezjami i jakby różą...

– Może ma to coś wspólnego z tym, że pracuję w kwiaciarni?

Uśmiechnęła się, wtulając twarz w jego ciepły wełniany sweter, i pomyślała, że tym razem Lilka na pewno się myli. Życie po pięćdziesiątce miało mnóstwo zalet. Na przykład pozwalało na pewną swobodę w tych aspektach życia, które kiedyś mocno ograniczały dzieci. A teraz... Nie miała szans na dokończenie myśli ani też na przejście od zamierzeń do czynów, bo w tej samej chwili zza pleców męża usłyszała cienki głosik:

– Babciu, nareszcie jesteś!

– A co to za niespodzianka! Skąd się tu wzięłaś, kochanie? – Natychmiast wyplątała się z mocnych ramion męża i kucnęła, by przytulić wnuczkę.

I to by było na tyle, jeżeli chodzi o swobodę ludzi po pięćdziesiątce – pomyślała kpiąco.

– Mama mnie wam podrzuciła, bo powiedziała, że ze mną to jest jedno wielkie skaranie boskie i że tyle mnie już hodowała, że teraz to byłoby szkoda, gdyby w końcu nie wytrzymała... Nie wiem, o co jej mogło chodzić, a ty, babciu, domyślasz się, o czym mówiła?

– Ehem – odkaszlnęła, usiłując stłumić śmiech. – Cóż, twoja mama zawsze była zagadkowa – wymigała się dyplomatycznie od odpowiedzi.

– Czyli jaka? – Paulinka była dociekliwa.

– Czyli że nigdy nie można było za nią trafić – wtrącił się Krzysztof. – Cecha wszystkich kobiet w tej rodzinie. – Żartobliwie zmierzwił dziewczynce jasne włoski.

– Dziadziu, ale ja też jestem kobietą. Takie małe kobieciątko ze mnie. Ale ty nie musisz się tym martwić.

– Tym, że jesteś kobieciątkiem-kociątkiem? – roześmiał się rozbawiony Krzysztof.

– Nie, tym, że za mną nie trafisz. Ja wiem, że ty już jesteś stary i niedowidzisz, i będę specjalnie dla ciebie chodziła bardzo wolno – obiecała, klepiąc go uspokajająco po rękę. – Żebyś zawsze za mną trafiał...

– A dziękuję ci, moje drogie dziecko – powiedział Krzysztof trzęsącym się od śmiechu głosem. – Będę pamiętał... Chyba że, jak to starcy mają w zwyczaju, nagle zapomnę.

– A gdzie Marcepan?

Gabrysia postanowiła przerwać jak najszybciej tę dyskusję, bo znając Paulinkę, obawiała się, że sama z siebie nie wygaśnie. Najrozsądniej było skierować uwagę dziewczynki na inne tory.

– Mama go zabrała. Powiedziała, że to jest wymiana braterska. Ona nakarmi tego pasibrzucha, a wy będziecie ze mną mielić...

– Co takiego? – Gabrysia ze zdumieniem uniosła brwi.

– Nie braterska, tylko barterowa, i nie chodziło o to, by z tobą mielić, ale o twoje mielenie jęzorem – z pobłażaniem wyjaśnił wnucze Krzysztof. – Nasza zdesperowana córka – zwrócił się następnie do żony – stwierdziła, że już nie wytrzymuje tego ciągłego gadania i błaga nas o jeden, jedyny wolny wieczór, żeby mogła sobie zwyczajnie pomilczeć. Stwierdziła, że jeżeli będzie zmuszona odpowiedzieć na jeszcze choćby jedno pytanie, to nie wytrzyma i kogoś zamorduje – tu Krzysztof wymownie spojrział na wnuczkę – albo popełni harakiri. No więc sama rozumiesz... W zamian, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, zabrała ze sobą Marcepka. Znając ją i jej bezgraniczne uwielbienie dla tego zwierzątko, to Marcepan zeżre jej całą zawartość lodówki... W każdym razie my wychodzimy na tym lepiej. Ekonomicznej. Paulinka je jak wróbelek. Powiedziałem Monisi, że mała może zostać z nami na noc. Jutro mam wolne, więc idealnie się składa. Zjemy razem śniadanie, pooglądamy bajki...

– I dobrze. Ale zanim nadejdzie pora śniadania, trzeba pomyśleć o kolacji. Co powiecie na naleśniki z dżemem i bitą śmietaną?

Propozycja została przyjęta z należytych entuzjazmem, więc Gabrysia poszła prosto do kuchni. Ale jeżeli myślała, że oto sprawa braku kurtki poszła w niepamięć, to grubo się myliła. Po chwili zajrzał do niej Krzysztof i stając za nią i odgarniając z jej szyi zabłąkane kosmyki włosów, nachylił się i szepnął żonie prosto do ucha:

– I tak ci się, kochanie, nie upiecze i będziesz mi musiała wyznać, jak to się stało, że wróciłaś do domu niekompletnie ubrana.

– Ale to potem, nie przy małej. Mogę cię tylko zapewnić, że nikt tej kurtki ze mnie siłą nie zdzierał... dobrowolnie ją zdjęłam – dodała i dopiero gdy się usłyszała, zdała sobie sprawę, jak

dwuznacznie to zabrzmiało.

– No, jeżeli chciałaś mnie tym uspokoić, to nie bardzo ci wyszło – mruknął.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że po tylu latach nadal jesteś zazdrosny? – zapytała kokieteryjnie.

– Byłem, jestem i będę. Nawet wtedy gdy oboje będziemy całkowicie głuchymi i pomarszczonymi tetrykami – zapewnił ją mocnym i stanowczym głosem, a Gabrysia pomyślała, że w takim razie może ze spokojem przyjąć nadchodzące lata.

Oby tylko byli zawsze razem. Oby rok po roku dane im było nadal siadać przy wigilijnym stole, przełamywać się opłatkiem, patrzeć na wnuki. Spierać się o drobiazgi i zgadzać się w wielkich sprawach. A jeżeli, jeżeli miałyby być inaczej...

– To chciałabym odejść pierwsza – wyszeptała, upewniwszy się, że ani mąż, ani wnuczka jej nie usłyszą.

I wtedy właśnie doznała olśnienia. Wiedziała już, co nuciła Michalina, gdy do niej podeszła pod kwiaciarnią.

To na pewno było to – pomyślała, nabierając ciasto naleśnikowe głęboką łyżką wazową.

A nadzieja znów wstąpi w nas.

Nieobecnych pojawią się cienie.

Uwierzymy kolejny raz,

W jeszcze jedno Boże Narodzenie.

I choć przygasł świąteczny gwar,

Bo zabrakło znów czyjegoś głosu,

Przyjdź tu do nas i z nami trwaj

Wbrew tak zwanej ironii losu.

– zanuciła i w tym momencie poczuła to, co zawsze pojawiała się i towarzyszyło jej przy przygotowaniu wigilijnej wieczerzy. Ogromną wdzięczność za to, że los jej sprzyjał i że dostała tak wiele, wiele miłości. Do świąt wprawdzie brakowało jeszcze kilkudziesięciu dni, ale ona mogłaby przysiąc, że gdzieś w oddali zabrzmiał dźwięk tajemniczego dzwoneczka. Takiego samego, jakim jej dziadek dawno temu dzwonił pod oknami na znak, że oto nadszedł czas odwiedzin Mikołaja, miłości i cudów. A jednocześnie ogromnej tęsknoty i smutku, lecz takiego potrzebnego, dobrego. Smutku, jaki wzbudzał widok pustego miejsca przy stole. Miejsca, bez którego ten stół nie byłby kompletny.

Po kolacji, gdy już Paulinka została wykąpana i otulona kołdrą, Gabrysia przysiadła na brzegu łóżka, w którym leżała wnuczka, i uśmiechnęła się do niej z czułością.

– Zobacz, kochanie, jaką piękną książkę dziś znalazłam. Ktoś ją zostawił na progu naszego domu... Ja nawet podejrzewam, kto to mógł być...

– Kto? – Paulinka błyskawicznie wylazła spod kołdry i zajrzała babci przez ramię. – Oooo, tam jest choinka i prezenty! – zapiszczała, widząc piękną kolorową okładkę.

– I Mikołaj – dokończyła z powagą Gabrysia. – I ja myślę, że to właśnie on zostawił tę książeczkę. Specjalnie z myślą o tobie.

– E tam... Gdyby myślał o mnie, to zaniósłby ją do naszego domu – mruknęła sceptycznie Paulinka.

– Na pewno było tak, jak mówię! W końcu żyję na tym świecie dostatecznie długo, żeby znać się na Mikołajach i ich zwyczajach. Niewątpliwie wiedział, że dziś tutaj będziesz, i dlatego przyniósł ją właśnie w to miejsce. On wszystko wie... Zobacz, prezenty też dostajesz i u nas, i u was... Babcia wie, co mówi – zapewniła ją. – To co, zabieramy się do czytania? Bo już niedługo nadejdą święta. Będziemy piekły ciasteczka z cynamonem i pomożesz mi kręcić mak...

– I będziemy patrzeć, czy Mikołaj nas nie podgląda... I razem ubierzemy choinkę i dziadzius zawiesi na czubku tę wielką gwiazdę... – Paulinka rozmarzyła się, a Gabrysia pomyślała, że w zasadzie to już uzyskała to, co zamierzała osiągnąć z pomocą świątecznych opowieści.

Zamówiła książkę w księgarni internetowej, żeby wprowadzić małą w nastrój oczekiwania, a tu proszę! Okazało się, że radzą sobie doskonale bez specjalnych wspomagaczy.

Ale na pewno opowieści bożonarodzeniowe dodadzą temu wszystkiemu dodatkowego smaku i wysublimowania – pomyślała, otwierając książkę. I niczego nie przeczuwając, zaczęła czytać.

Szybko stało się jasne, że popełniła ogromny błąd. Powinna najpierw przejrzeć zakupioną pozycję, a dopiero potem zdecydować, czy aby na pewno chce ją czytać dziecku. Ale zanim do tego doszła, było już za późno.

Kiedy robiła zamówienie i patrzyła na piękną kolorową okładkę z bogato udekorowaną choinką i dobrotliwie uśmiechniętymi elfami pakującymi paczki, to w duchu widziała, jak siadają z wnuczką co wieczór i czytają, i jak coraz bardziej nie mogą doczekać się Świętego Mikołaja i strojenia drzewka, i w ogóle tych wszystkich rzeczy, które u maluchów wywołują rumieńce ekscytacji, a u odrobinę starszych radość, że można komuś podarować trochę tej magii, którą się odczuwało, będąc dzieckiem. Ale rzeczywistość nieco odbiegała od tego, co podpowiadała jej omamiona kolorowymi ilustracjami wyobraźnia.

Schody zaczęły się już na początku. Gdy okazało się, że pierwsza historia opowiada o bardzo biednej dziewczynce, która doskonale wie, że nie ma co nawet marzyć o Wigilii, o suto zastawionym stole i prezentach. Były z mamą tak ubogie, że miała świadomość, że nic nie dostanie. Dziewczynka, jak to zwykle w takich opowieściach bywa, miała bardzo dobre serduszko, więc gdy w drodze ze szkoły znalazła ptaszka ze złamanym skrzydełkiem, zaopiekowała się nim, narażając się na drwiny ze strony bogatych koleżanek, które nie dość, że były zamożne i miały dostać masę prezentów, to jeszcze przekonywały dziewczynkę, że nie warto pomagać komuś, kto i tak się nie odwdzięczy. Mała bohaterka oczywiście nic sobie z tego nie robiła, powiedziała, że ona uważa inaczej, wspomniała, że ich bardzo bogaty sąsiad też na pewno by pomógł i jej, i jej mamie, gdyby wiedział, że potrzebują pomocy, i na pewno kupiłby im... – tu zostały wymienione różne rzeczy. Wróciła do domu, a nazajutrz pod drzwiami znalazła kosz ze wszystkimi rzeczami, o których mówiła. To sąsiad usłyszał jej rozmowę z koleżankami i otworzył swoje serce.

Paulinka wysłuchiwała opowieści bardzo uważnie i dopiero po tym, jak babcia z pewną ulgą przeczytała słowo „Koniec”, rozpoczęła dochodzenie.

– Babciu, a dlaczego ta dobra dziewczynka miała nie dostać prezentów, a te złe miały mieć wszystko? – zapytała oskarżycielsko.

– Bo one z mamą były biedne i nie miały pieniędzy – usiłowała tłumaczyć Gabrysia, choć i tak wiedziała, do czego zmierza jej wnuczka.

– To Mikołaj przynosi prezenty wszystkim grzecznym dzieciom, a biednym grzecznym nie? – drażyła nieustępliwie, wpijając w babcie szczere, niewinne spojrzenie.

– Przynosi, przynosi, wszystkim bez wyjątku, a grzecznym biednym w szczególności – zapewniła, czując, że stąpa po grząskim gruncie. – Tylko może... No nie mógł tam dotrzeć, więc... – naprędce

szukała wiarygodnego wytłumaczenia dla Mikołaja, usiłując uratować jego wiszącą na włosku reputację – wysłał sąsiada! No wiesz, żeby był jego pomocnikiem. – W przypiływie natchnienia wpadła na genialny pomysł. – Taki sąsiad elf... – dodała na wszelki wypadek.

Paulinka nie wyglądała na przekonaną, ale ku niewypowiedzianej uldze Gabrysi odpuściła. Zażądała natomiast przeczytania jeszcze jednej historii. Gabrysia prędko przekartkowała książkę i wybrała bardzo niewinnie brzmiący tytuł: *Legenda o Świętym Mikołaju*.

W końcu o Mikołaju chyba nie da się napisać niczego niepokojącego – pomyślała. Cóż... Jak to dawno temu powiedział Seneka: rzeczą ludzką jest się mylić.

Ledwo Petronela otworzyła oczy, a już poczuła, że jest zirytowana. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Już od jakiegoś czasu budziła się w nie najlepszym nastroju.

– Na całe szczęście to już ostatni dzień tego okropnego miesiąca – mruknęła, podchodząc do okna.

Zamaszystym ruchem odsłoniła grube, pluszowe zasłony i na widok ciężkich, siwych chmur mimowolnie się skrzywiła.

Człowiek dopiero co podnosi się z łóżka, wygląda na zewnątrz i co widzi? Ponury wieczór! I tak musi się męczyć aż do późnego popołudnia po to tylko, żeby zobaczyć, jak za oknem w środku dnia nastaje ciemna noc. Uchhh, jak ona nie lubiła tej paskudnej pory roku!

Żeby chociaż trochę śniegu spadło... Albo lepiej nie... Jak zacznie padać, to nie skończy. Już dawno zauważyła, że wszędzie, nawet w przyrodzie, panuje paskudny brak umiaru.

– Kiedyś to taki śnieg na początku trochę prószył, obsypywał białą, lekką pierzynką wszystko wokół i dawał sobie na jakiś czas spokój... – powiedziała do fiołka stojącego na parapecie, a potem zamilkła porażona swoimi własnymi słowami.

Nela, co się z tobą porobiło? – zapytała się w duchu. – Przecież doskonale wiesz, że kiedyś jak zaczynało sypać, to nie przestawało aż do marca... Ale z drugiej strony, to czy to ważne, jak było naprawdę? W końcu była stara, a podobno starzy ludzie mają tendencję do idealizowania przeszłości. I widzą ją lekko zamgloną, w pastelowych barwach... Szkopuł polegał tylko na tym, że ona nadal widziała wszystko bardzo ostro. Zero jakiegokolwiek rozmycia.

– Widzisz, kochany, nawet tutaj dosięga człowieka niesprawiedliwość – zwróciła się do fiołka, obrywając mu uschnięty listek – starość, a i owszem, nadeszła i jest, ale tych wszystkich dobrodziejstw wynikających z niej nie uwidzisz! Żadnego milutkiego zaniku pamięci! Żadnego mieszania faktów! W takim wypadku przynajmniej można by było pozbyć się niechcianych wspomnień... A tak wałkuje się od lat to samo... I tak samo jak co roku trzeba będzie zmierzyć się i z grudniem, i ze świętami...

Sapnęła z irytacją na samą myśl o tym, że znów trzeba będzie przez to wszystko przechodzić... Najgorsze było to, że w pewnym momencie, wbrew sobie, zaczynała mieć nadzieję. Gdy przykrywała stół białym obrusem, gdy wsuwała pod niego sianko, gdy rozstawiała talerze i na jednym z nich kładła białe opłatki. Wtedy nadchodziło to uczucie. Serce zaczynało jej mocniej bić i w głowie rodziła się nieśmiała myśl, że może jednak w tym roku będzie inaczej. Że ten cud, na który czekała od tylu lat, w końcu się zdarzy. Bo kiedy, jeżeli nie w ten wieczór? Jeden jedyny w swoim rodzaju. Nie tylko dlatego, że następnego dnia miał narodzić się Jezus, przecież to był dzień urodzin ich obu. Nela nie przyznawała się do tego głośno, ale szczerze mówiąc, ten drugi aspekt był dla niej dużo ważniejszy.

– Panie Boże – mawiała często. – Jezus będzie przychodził na ziemię rok w rok. Rok w rok miliony będą czekały na jego narodziny. Czas dla was tam na górze nie gra roli. Macie go w nieograniczonych ilościach. Ale my tu, na ziemi, nie dysponujemy takimi luksusami jak wieczność. Więc nie dziw mi się, że przede wszystkim czekam na nią... Bo Twój syn jak co roku się narodzi... I w następnym, i w następnym. Bez zmian. A z nią... Cóż, nic nie wiadomo. Może właśnie będzie zupełnie inaczej niż w poprzednich latach i teraz właśnie się zjawi?

Zawsze kończyła na tym pytaniu i milkła, mając nadzieję, że w jakiś sposób Bóg do niej przemówi. Że otrzyma chociaż mały znak, jakiś szczególny sygnał, jakąś wskazówkę... Ale przez te wszystkie lata nic takiego się nie wydarzyło. A przecież obiecywały sobie wtedy, że się znajdą. I że jeżeli jedna z nich wróci pierwsza, to będzie na drugą czekać. W ich mieszkaniu. I że wszystkie urodziny spędzą razem. Z wielką rodziną zgromadzoną przy wigilijnym stole. Tak jak to bywało, odkąd pamiętały.

No to mam swoją wielką rodzinę, ja i kilka fiołków – pomyślała ironicznie, podchodząc do wielkiego kryształowego lustra wiszącego w przedpokoju. Ostatnimi czasy odnosiła wrażenie, że albo lustro urosło, albo ona się skurczyła. Niestety, stawiała na to drugie. Wszyscy wiedzieli, że na starość ludzie maleją. Lustro natomiast, o ile było jej wiadomo, nie cierpiały na tę przypadłość. Spojrzała w kryształową taflę i z westchnieniem sięgnęła po leżącą na półeczce szczotkę ze srebrną rączką w kształcie wdzięcznie wygiętej szyi łabędzia. Ta szczotka została zrobiona na specjalne zamówienie mamy, wygięcie szyi dopasowane było do dłoni właścicielki. Widać miały podobne ręce, bo w dłoniach Neli też leżała idealnie. Przyczesła krótko obcięte siwe włosy, delikatnie odłożyła szczotkę z powrotem na półeczkę i podreptała do kuchni. Nastawiła wodę na herbatę w starym mosiężnym imbryku, a sama poszła do łazienki narzucić na siebie jedwabny, zdobiony koronkami peniuar. Nawet jeżeli jej towarzystwem były wyłącznie fiołki, nie stanowiło to powodu, by zaniedbać przyzwoity wygląd.

Z filiżanką herbaty usiadła przy stole i zaczęła przeglądać wczorajszą gazetę. Ledwo ją otworzyła, a już w oczy rzucił jej się tekst o statystycznym badaniu czegoś tam. Nawet nie usiłowała doczytać, czego konkretnie artykuł dotyczył, tylko ze złością zmięta gazetę i wrzuciła ją do kosza. Nie znosiła statystyk, odkąd przeczytała, że to z nich wynika, iż mężczyźni żyją krócej od kobiet. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że jej Aleksander oszedłby tak czy siak i żadne statystyki nie mogły tego zmienić, ale i tak jakaś jej nieracjonalna część miała do nich pretensję i obwiniła te wszystkie bezduszne cyferki i liczby o chorobę Olka. A przecież mieli tyle planów! Na starość mieli razem siadywać na ławeczkach w parku, rozkoszować się porankami, wieczorami zasypiać przy dźwiękach ulubionych oper. Ale los miał inną koncepcję. Być może gdyby wcześniej interesowała się statystykami, udałoby jej się wyliczyć, że to jej Aleksander będzie tym co którymś tam, który musi pożegnać się z życiem wcześniej. Być może wtedy mogłaby się do tego jakoś przygotować. A tak jednego dnia miała kochającego męża, a po trzech tygodniach była sama jak palec. Rak szpiku

kostnego był tak zaawansowany, że nawet nie próbowano ratować Olka. Niestety, żadne statystyki nie mówiły o tym, ile przeciętnie wytrzymuje kobieta, którą opuszcza ukochany mąż i najlepszy przyjaciel.

– Statystyki-sratystyki! Zero z nich pożytku – burknęła i niechcący drżącą ręką trąciła filiżankę, rozlewając całą herbatę prosto na swoje kolana. – A niech to szlag! – krzyknęła ze złością.

I w tym samym momencie poczuła, że ma tego serdecznie dość. Że nie wytrzyma ani dnia dłużej. Że nie godzi się na taką starość z rewelacyjną pamięcią, dobrym wzrokiem i ciągłą tęsknotą.

W mokrym peniuarze podeszła do okna i z buntem w wyblakłych niebieskich oczach spojrzała w niebo.

– Nie zgadzam się, słyszysz! – powiedziała donośnym, twardo brzmiącym głosem. – Mam w nosie to, że mamy pierwszy tydzień adwentu i zaczął się czas oczekiwania! Od dziś nie zamierzam na nic ani na nikogo czekać! Ani na Twojego syna, ani na nią! Nie zamierzam przygotowywać świąt ani cieszyć się z Jego przyjścia. Może i bluźnię, ale Ty tam, na górze, zapewne już niejeden taki tekst słyszałeś. A ja mam zwyczajnie, po ludzku dość. Więc jeżeli masz dla mnie jakiś plan, to będziesz musiał ruszyć Boski tył... – Tu jednak zatrzymała się, czując, że przekracza wszelkie dozwolone granice. – Odwołuję to, co chciałam powiedzieć – opamiętała się. – Nie tyłek, ale powiedzmy, ruszyć którymś ze swoich Boskich palców i coś zrobić! Albo wydarzy się jakiś cud, albo przynajmniej ta mordęga się skończy! – dodała i odetchnęła głęboko.

Po raz pierwszy od wielu dni poczuła coś na kształt ulgi. W końcu podjęła konkretną decyzję! Zdobyła się na działanie! Podekscytowana zignorowała resztki rozlanej herbaty i żałośnie przewróconą filiżankę i pomaszerowała do pokoju, gdzie otworzyła szafę i zanurkowała pomiędzy wieszaki. Specjalne okazje wymagały specjalnej oprawy. Wybrała najładniejszą ze swoich czarnych sukienek, z koronkową stójką, elegancką, za kolano. Przez moment przyglądała się jej z zadowoleniem, ale po chwili zmarszczyła brwi i z dezaprobatą pokręciła głową.

– Nie, absolutnie nie! Żadnej czerni! W tym będę wyglądała, jakbym szła na własny pogrzeb, a tego absolutnie, Nelusiu, nie chcemy – powiedziała sama do siebie i jeszcze raz zajrzała do szafy.

W końcu z jej odmętów wyciągnęła jasnoblękitną długą sukienkę. Od lat nie miała jej na sobie. Kojarzyła jej się z Olkiem. Z ich pobytem nad morzem, z wieczornymi spacerami po plaży i dansingami kończącymi się późno w nocy. Wszystko to jak żywe stanęło jej przed oczami. Przez moment miała wrażenie, że za chwilę poczuje dłonie Aleksandra na swojej wiotkiej kibici. W tej sukience lubił ją najbardziej. Mówił, że nie ma mężczyzny, który by się za nią nie obejrzał. Z westchnieniem i z lekką niechęcią wróciła do rzeczywistości. Nie było Olka ani jego mocnych, a zarazem czułych dłoni, zapach z jego koszul też już dawno wywietrzał. Jedyne, co zostało, to perfumy, których używał. Czasem, w momentach największej słabości, brała buteleczkę i spryskiwała nimi swoją koszulę nocną. Dzięki temu, gdy zamykała oczy, wydawało jej się, że Aleksander jest

gdzieś blisko, na wyciągnięcie ręki. Skąpo wydzieliała sobie tę przyjemność, bo bała się, że takiego zapachu już nie produkują i że jeżeli się skończy, nie zostanie jej nawet to. A co ona miałaby począć bez tej jedynej ulotnej, aromatycznej mgiełki, która rozpinała pomost pomiędzy przeszłością a samotną, ponurą terażniejszością? Sięgnęła po perfumy i skropiła nimi niebieską sukienkę. Nie chciała w tak ważnej chwili czuć się samotna. Przyłożyła do ciała błękitny materiał i pomyślała, że dziś w tej sukni będzie pewnie wyglądała tak, jakby chciała się przebrać za siebie samą z dawnych lat. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Ważne, żeby czuła się piękna, bo jeśli by jednak ten cud miał się wydarzyć, to należałoby go godnie powitać.

Choć zapewne próżny trud – pomyślała z przekąsem.

Odwiesiła czarną sukienkę z powrotem do szafy i zamknęła energicznie drzwi. Te zaskrzypiały przeciągle, a Nela po raz pierwszy od wielu dni nie poczuła z tego powodu irytacji. Przeciwnie – skrzypienie sprawiło jej przyjemność. Było swojskie i dobrze znajome. Teraz przyszła kolej na przedpokój. Tam też stała szafa, ale inna, pękata, z drzwiczkami przypominającymi wydęte brzuszki. Kiedyś, gdy Nela była mała, zdawało jej się, że ta szafa ma zawsze dobry humor. W jej kształcie było coś, co przywodziło na myśl uśmiech i radość. Tata mówił, że to zapewne odbicie nastroju tego, kto mebel robił.

„Musiał być niewymownie szczęśliwy” – mawiał, gładząc wypukłe drzwi szafy.

Jeżeli ta teoria jest prawdziwa, to bardzo dobrze, że przez ostatnie lata nie zrobiłam żadnego mebla – pomyślała Nela z lekkim rozbawieniem. – Wszystkie byłyby niebywale skwaszone. Zresztą co mi przychodzi do głowy? Ja i zabawa w rzemiosło! Biedne mama i babcia na samą myśl o czymś tak nieodpowiednim w grobach się przewracają. Przecież wychowywały mnie na damę. Skąd miały wiedzieć, że przyjdzie wojna i nie będzie już sentymentu do przedwojennych pań, które miały zwyczajnie być dobrymi żonami, mamami, które miały umieć prowadzić dom, zarządzać służbą i pięknie tańczyć poloneza i walca... A walca, nie przechwalając się, tańczyłam najlepiej ze wszystkich pań obecnych na balach... Cóż, mama z babcią i tak wiedzą, że robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby sprostać ich oczekiwaniom. A że stałam się raczej taką damą z odzysku... Trudno, takie życie...

Rozmyślając o tym wszystkim, otworzyła pękatą szafę i wydobyła z jej wnętrza lekki płaszczyk. Zupełnie nieodpowiedni na tę porę roku. Ale za to śliczny. Ostatecznie na starość mogę mieć fanaberie i przestać być praktyczną – usprawiedliwiła się natychmiast.

– Skoro nie mam demencji ani sklerozy, to muszę znaleźć inne wyjaśnienie sytuacji. Starość może mieć swoje humory i tyle – dodała i poszła się ubrać.

A potem starannie umalowana, ubrana jak do wyjścia, usiadła w fotelu i okryła nogi kocem. Musiała doczekać do wieczora. Taki właśnie miała plan i nie zamierzała już niczego w nim zmieniać.

Gdy w końcu zegar wybił osiemnastą, zrobiła sobie kubek gorącej herbaty i wypiała ją niespiesznie. Potem podlała fiołki. Woda w spodkach powinna wystarczyć im na jakiś czas. Z czułością pogładziła okryte puszystym meszkiem listki. I to właściwie byłoby na tyle. Zrobiła wszystko, co trzeba. Jeszcze w przedpokoju przed lustrem pociągnęła usta szminką i po namyśle sięgnęła po starą, lekko wyliniałą mufkę. Cienki płaszcz cienkim płaszczem, ale o ręce trzeba dbać. Zresztą nie znosiła uczucia grabienia palców, a z każdym rokiem dłonie marzły jej bardziej.

To zapewne dlatego, że skóra jest już cienka, nieomal przezroczysta – pomyślała i w tym samym momencie gong zegara obwieścił, że nadeszła dziewiętnasta.

– No to, Panie Boże, reszta należy do Ciebie – zaszepotała, wyjmując z wiszącej skrzyneczki pęk kluczy. – Ja jedynie mogę Ci obiecać tyle, że zrobię wszystko, żebyś nie mógł mnie nie zauważyć – dodała i wyszła w mrok klatki schodowej.

Po chwili rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza i po klatce przepłynęło echo drobnych kroczków. A potem zapadła cisza. Petronela wtopiła się w ciemność ostatniej listopadowej nocy, nie mając pojęcia, że jej wyjście, tak samo jak nieświadomy niczego zimny i porywisty wiatr, może być częścią jakiegoś wielkiego, całkowicie niezrozumiałego dla ludzi planu.

Michalina już zapomniała, jak to jest, kiedy nie czuje się przejmującego do szpiku kości zimna. Kurtka, którą wetknęła jej w ręce Gabrysia, była niesamowicie ciepła. Dziewczyna założyła ją na swoją cienką, uznała, że będzie miała dodatkową warstwę izolacji. Babcia często jej powtarzała, że najlepszym sposobem ochrony przed zimnem jest ubieranie się na cebulkę.

No, może w moim wypadku bardziej adekwatnym określeniem byłoby „na szczypiorek” – pomyślała z lekkim rozbawieniem. – Przez ostatnie miesiące strasznie schudłam...

Ale trudno wymagać od kogoś, kto czasami przez cały dzień zjadał zaledwie trochę chleba, żeby tył. Ostatnio i tak było lepiej. Jakiś czas temu Michalina, wlokąc się przez warszawskie Powiśle, natknęła się na starszego pana, który stał przy chodniku z małym oszklonym wózekkiem i sprzedawał drożdżówki i obwarzanki. Chyba bezwiednie musiała przystanąć i się zapatrzeć na smakołyki, bo mężczyzna obrzucił ją uważnym spojrzeniem, a potem bez słowa zapakował dwie drożdżówki i podał je dziewczynie. Podziękowała, głośno przełykając ślinę. Wtedy była naprawdę głodna. Pieniądze, które miała przeznaczone na codzienne zakupy, wydała na mydło i szampon. Skończyły jej się środki czystości, a przecież nie mogła się nie myć. Chociaż co to było za mycie w publicznych toaletach, szkoda mówić. Przez pewien czas na jednej ze stacji benzynowych młody chłopak wpuszczał ją w nocy do łazienki i wywieszał na drzwiach kartkę z napisem „Przepraszamy, awaria”. Dzięki temu Michalina miała możliwość spokojnego dokonania wszelkich ablucji. Jednak po jakimś czasie stało się jasne, że chłopak nie robi tego bezinteresownie i czeka na okazanie wdzięczności. Któregoś razu gdy na stacji byli sami, bezceremonialnie wpakował Michalinie ręce pod bluzkę i przycisnął ją do ściany. Okropnie się wtedy przestraszyła, ale instynkt okazał się silniejszy od strachu. Sama nie wiedziała, jak i kiedy kopnęła chłopaka w krocze, jednocześnie drapiąc z całych sił jego policzki pokryty niechlujnym zarostem. Jak przez mgłę pamiętała wrzask i grad wyzwisk, które poleciały w jej kierunku. Na dalszy rozwój wypadków nie czekała, tylko wzięła nogi za pas. Od tamtej nocy szerokim łukiem omijała stację i jej najbliższą okolicę i wróciła do korzystania z toalet publicznych.

W każdym razie drożdżówki podarowane tamtego dnia przez sprzedawcę obwarzanków i bułeczek smakowały niezmiernie. Ponadto gdy odchodziła, mężczyzna krzyknął za nią i przywołał ją do siebie skinieniem ręki.

– Jutro będę na Starym Mieście, tuż obok kolumny Zygmunta – powiedział, gdy nieśmiało podeszła. – Przyjdź około drugiej po południu, wtedy mam przerwę na obiad, a potwornie nie lubię jeść w samotności.

I zawiesił jej na szyi obwarzankowe korale. Następnego dnia poszła na Stare Miasto i już z daleka zobaczyła stragan i odcinającą się na tle białego budynku, przed którym mężczyzna stał, granatową

czapkę w kratkę. Potem zauważyła, że zawsze ją nosił. Tak samo jak obszerny płaszcz, który zdaniem Michaliny zmieściłby kilku takich jak on. Dostała wtedy porcję ciepłej zupy z termosu, a na odchodne zapakowane w torebkę drożdżówki i informację, gdzie mężczyzna będzie kolejnego dnia. Od tego momentu spotykała się z nim codziennie. I ewidentnie to dokarmianie utrzymywało ją przy życiu. Starszy pan poza tym, że wyglądał miło, nie zadawał zbędnych pytań. Ogólnie był jakiś taki małomówny, ale to akurat, zdaniem Michaliny, było wyłącznie zaletą. Dziś miał być niedaleko ogrodu Saskiego, ale dziewczyna zasiedziała się w kwaciarni i nie wiedziała, czy jeszcze go tam zastanie. Nawet nie chodziło jej już o te bułeczki. W końcu dostała od kwaciarki sumę, która zapewni jej kilkanaście dni życia w dostatku. Bardziej niepokoiła się tym, że mężczyzna będzie się o nią martwił. Przecież od ich pierwszego spotkania przychodziła do niego codziennie. Poza tym jeżeli nie dowie się, gdzie będzie stał następnego dnia, to trudno będzie jej go znaleźć. Zadyszana prawie że dobiegła na miejsce. Właśnie odchodził, ciągnąc za sobą pusty wózek.

– A, jesteś – uśmiechnął się do niej. – Już myślałem, że dzisiaj nie przyjdiesz...

– Przepraszam – wysapała. – Jakoś tak czas mi szybko zleciał.

– To dobrze, mówią, że to w dobrym towarzystwie czas szybko płynie – powiedział i wyciągnął z szuflady wózka papierową torebkę. – Zostawiłem dla ciebie. Jutro kierunek Stare Miasto.

– Jutro to ja stawiam – roześmiała się, chwytając torebkę z drożdżówkami – Nieoczekiwanie stałam się bogata – wyznała, wyciągając bułkę z torebki i z apetytem odgryzając duży kęs.

– Niespodziewanie, mówisz... Dobre rzeczy mają to do siebie, że zawsze przychodzą znienacka – uśmiechnął się sprzedawca obwarzanków. – Na przykład miłość i szczęście. Nijak się ich nie spodziewasz, przymykasz oczy i proszę, już są. Cały szkopał w tym, żeby ich nie przegapić – dodał i w geście pożegnania przytknął palce do granatowego daszka czapki.

Michalina pomachała mu na pożegnanie i jeszcze przez chwilę patrzyła, jak odchodzi, ciągnąc za sobą turkoczący wózek. Połami szerokiego płaszcza mężczyzny targał wiatr, który z minuty na minutę przybierał na sile. Smagana jego gwałtownymi porywami skończyła jeść bułkę i ruszyła w dalszą drogę. Dopiero po chwili przystanęła i obejrzała się za siebie. Starszego mężczyzny nie było już widać, a ona uświadomiła sobie, że była to najdłuższa wypowiedź, jaką usłyszała z jego ust. I to taka, w której chodziło o coś zupełnie innego niż nakarmienie jej drożdżówkami. Michalina odniosła wrażenie, że starszy pan to wszystko, co powiedział, mówił specjalnie z myślą o niej.

Szkoda, że ja już nie wierzę ani w miłość, ani w szczęście – pomyślała ze smutkiem. – A nawet jeżeli, to dla mnie te pojęcia znaczą coś zupełnie innego niż dla większości znanych mi ludzi. Szczęście to ciepła kurtka, jakieś posłanie i dach nad głową. A miłość... O niej wolę w ogóle na razie nie myśleć. Pociągnęła nosem, schowała twarz w szaliku i poprawiła szelki plecaka. Myślała o tym, że powinna zdecydować, gdzie spędzi noc. Miała do wyboru bramę, w której spała wczoraj, albo dworzec, który wprawdzie był cieplejszy, ale niósł ze sobą większe niebezpieczeństwo. Tam świat

bezdolnych rządził się swoimi prawami i trzeba było mieć uszy i oczy dookoła głowy. Niejeden już stracił cały swój marny, bo marny, ale jednak dobytek, gdy tylko zmorzył go sen. Wlokła się noga za nogą, kiedy jej wzrok zahaczył o szeroko otwarte drzwi kościoła. Wysypywali się z nich ludzie, widać, dopiero co skończyła się msza. Michalina przystanęła i w zamyśleniu patrzyła na ostatnich wychodzących. A potem z lekkim wahaniem weszła po schodach i wsunęła się do wnętrza świątyni. W środku było jeszcze ciepło, zgaszono już główne światła i paliły się jedynie lampki w bocznych nawach. Dziewczyna wślizgnęła się do ławki, która tonęła w przytulnym półmroku. Właściwie nie do końca umiała powiedzieć, dlaczego tu przyszła. Być może to historia kwiaciarki o szopce, o świętach, o cudownym ocaleniu z pożaru sprawiła, że Michalina zapragnęła przez chwilę pobyc w miejscu, gdzie podobno każdy jest u siebie. A skoro już tu była, co jej szkodziło spróbować dogadać się z... No właśnie. Z kim? Do Boga nie miała zbytniego zaufania. Chodziła wprawdzie z babcią co niedzielę do kościoła, ale to by było na tyle. Bóg wydawał się zbyt majestatyczny i daleki. Dużo większe zaufanie miała do aniołów. Cały czas tkwił jej w pamięci obrazek, na którym Anioł Stróż w różowej zwiewnej szacie przeprowadza dwójkę małych dzieci przez kładkę nad rwącą rzeką. Kogoś takiego bardzo, ale to bardzo chciałaby mieć za swojego przyjaciela. Lecz przecież nie mogła modlić się do anioła. W kościele jakoś tak nie wypadło...

– Panie Boże – zdecydowała wreszcie, że najlepiej i najbezpieczniej zacząć dyplomatycznie z uwzględnieniem niebiańskiej hierarchii. – Nie wiem, jak to tam do końca z Tobą jest, ale jeżeli istniejesz, to bardzo Cię proszę o bezpieczny dach nad głową. Nie muszę Ci tłumaczyć, że jest mi teraz wyjątkowo potrzebny... Tylko do lata, bo potem... Potem sobie już poradzę. I o to, żebym już nigdy nie była głodna i zziębnięta. I samotna. Bardzo się boję, wiesz? Więc gdybyś całkiem przypadkiem tam u siebie, na górze, miał jakiegoś bezrobotnego anioła albo takiego wolnego tylko na chwilę... anioła do wynajęcia, to pamiętaj o mnie. Bardzo proszę. Aha, i gdybyś mógł mi pomóc w tym, żebym tak do końca nie zapomniała, czym jest miłość i radość... – dodała, bo w uszach zadźwięczały jej słowa starszego pana. – To się polecam. Babcia mówiła, że Ty jesteś jedną wielką miłością, więc właściwie ta moja prośba nie powinna być dla Ciebie zbyt kłopotliwa. A teraz jeśli pozwolisz, jeszcze chwilę sobie tutaj w ciszy posiedzę. Nie gniewaj się, ale nie zostanę zbyt długo, bo muszę znaleźć miejsce do spania, a na dworze robi się coraz zimniej. Pewnie niedługo wpadnę... Pogadać i pomilczeć – zakończyła, bo nagle poczuła, że rzeczywiście chętnie znów tu przyjdzie.

Być może podziałała na nią specyficzna atmosfera panująca we wszystkich starych kościołach. To powietrze przesycone tysiącami próśb i podziękowań, klęczniki wytarte czyimiś kolanami, łyzy smutku i radości. Te wszystkie emocje były doskonale wyczuwalne, wręcz namacalne.

Jeżeli Bóg istnieje, to najłatwiej poczuć Go właśnie w takim momencie. W cichym, pustym kościele mówi najgłośniej i najwyraźniej – pomyślała i przymknęła powieki. Pozwoliła sobie jeszcze przez chwilę tkwić w bezruchu, wtulona w kąt ławki, lecz wiedziała, że to nie może trwać zbyt długo. Oczy coraz bardziej jej się kleiły, była niezmiernie zmęczona. Z ociąganiem wstała i powoli ruszyła

w kierunku wyjścia.

Ledwo znalazła się na kościelnych schodach, a wszystkie latarnie i lampki oświetlające wejście zgasły. Zapanowała głęboka ciemność – ciemność, z jaką rzadko można się zetknąć w dużym mieście. Michalina szła nieomal po omacku, usiłując stopą wymacać pierwszy stopień. I nagle dotknęła nogą czegoś, co złapało ją szponiastymi paluchami za kostkę. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, a potem strach ścisnął jej gardło tak, że zupełnie straciła głos. I w tej przerażającej ciszy, która nagle zapadła, prosto z ciemności wydobyły się słowa wypowiedziane cichym, ale jednocześnie stanowczym, nawykłym do rozkazywania tonem:

– Przestań się drzeć, dziewczucho, i lepiej pomóż mi wstać! – zażądał głos i Michalina dostrzegła ciemny kształt na stopniach. – Chyba skręciłam kostkę – dodała czarna plama.

Dopiero wtedy dziewczyna z głośnym świstem wypuściła z płuc wstrzymywane bezwiednie powietrze, dotarło bowiem do niej, że to nie żadna zjawa ani upiór – one raczej nie troszczą się o swoje kostki, a już na pewno nie żądają pomocy. Na schodach siedziała zwyczajna, żywa kobieta. A żywych kobiet Michalina się nie bała. Nawet jeżeli brzmiały jak apodyktyczne i złośliwe staruchy.

– Już pani pomagam – mruknęła. – Niech mi pani da rękę. Że też te cholerne latarnie musiały właśnie teraz zgasnąć – dodała, chwytając wyciągniętą kościstą dłoń.

– No, no, widzę, że się wyrażamy – sarknęła tamta, usiłując się podnieść.

Michalina przewróciła oczami i pomyślała, że zamiast kostki zrędliva starowinka powinna zwichnąć język. Na pewno jej bliźnim wyszłoby to tylko na dobre.

Skoro już na nią wpadłam, pomogę jej dostać się do kościoła, a potem niech sobie sama radzi – postanowiła, mocniej chwytając rękę starszej pani, i wtedy zorientowała się, że dzieje się coś niedobrego. Uścisk kobiety zaczął słabnąć i pomimo wysiłków Michaliny zrędliva staruszka znów osunęła się na schody.

– Cholera jasna, psia mać – jęknęła dziewczyna, usiłując podtrzymać kobietę. – Proszę pani, co się dzieje? Musi mi pani trochę pomóc, nie dam rady pani podźwignąć...

Złapała siedzącą pod pachy i rozejrzała się bezradnie dookoła. Oczywiście w tych egipskich ciemnościach trudno było cokolwiek zobaczyć. Zresztą nawet gdyby świeciły latarnie, niewiele by jej to dało. Przecież w kościele już nikogo nie było...

– Proszę pani! – Pochyliła się, czując, że od wysiłku zaczynają boleć ją ramiona. – Niech się pani odezwie! – Lekko nią potrząsnęła. – Słyszysz mnie pani?

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi i Michalina poczuła narastające zdenerwowanie. Jeszcze raz usiłowała dźwignąć siedzącą, ale tak jak przypuszczała – była za słaba.

Matko Boska, a co jeżeli ona właśnie umiera? – pomyślała Michalina zaczynając wpadać

w panikę. – Ma zawał albo zapaść, albo coś równie atrakcyjnego? Chyba powinnam na wszelki wypadek zacząć ją reanimować... Tyle tylko, że w życiu tego nie robiłam i nie wiem, czy taka profilaktyczna, debiutancka reanimacja bardziej jej nie zaszkodzi, niż pomoże...

Oczywiście najkorzystniej by było najpierw sprawdzić, czy oddycha... Gdzieś kiedyś widziała, że najlepiej w takich sytuacjach sprawdza się lusterko. Podtyka się je pod usta ewentualnego nieboszczyka i jeżeli lusterko zaparuje, to znaczy, że delikwent jeszcze do końca nie umarł...

– Taaa, nawet gdybym miała lusterko, a nie mam, to ciekawe, jakbym miała zobaczyć to zaparowanie – mruknęła pod nosem. – Chyba musiałabym zacząć widzieć w ciemności jak kot...

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego jak sprowadzić pomoc. Może w kościele, gdzieś na tyłach, w zakrystii ktoś jeszcze został... A jak nie, to złapię kogoś na ulicy i poproszę o wezwanie karetki – zdecydowała.

– Proszę pani, nie wiem, czy pani mnie słyszy, ale muszę na chwilę panią zostawić. Potrzebujemy pomocy i postaram się ją znaleźć – powiedziała głośno, nawet bardzo głośno, bo pomyślała, że jeżeli staruszka jest półprzytomna, to subtelnego szeptu może nie usłyszeć.

– A co się dzieje? – tuż za nią rozległ się męski głos, na dźwięk którego Michalina o mało co nie dostała zawału.

– O Matko Boska! – krzyknęła, odruchowo przyciskając rękę do serca, i z miejsca zdała sobie sprawę, że absolutnie nie powinna tego robić, bo puszczona przez nią starowinka zaczęła osuwać się na schody. – A co pan łązi i po ciemku straszy ludzi? – opanowała się błyskawicznie, jednocześnie łapiąc na powrót chwiejącą się kobietę.

Niestety, uchwyciła tylko materiał, który był zapewne płaszczem tamtej, i poczuła, że długo nie utrzyma go w zgrabiających palcach.

– Niech pan ją łapie – jęknęła, usiłując podtrzymać staruszkę.

– Kogo? – Niewidzialny mężczyzna ewidentnie zgłupiał i zupełnie nie wiedział, czego się od niego oczekuje.

– Staruszkę z zawałem! – wyjaśniła zniecierpliwiona Michalina. – Gdzie pan jest? – Jedną ręką nadal kurczowo trzymała skrawek płaszcza kobiety, a drugą, niewiele myśląc, pomacała czerń za sobą i w końcu natrafiła na wyciągniętą dłoń tamtego.

– Niech pan uważa na schody – przestrzegła, ciągnąc go w swoją stronę i nakierowując jego rękę na staruszkę. – Niech pan ją podtrzyma i nie da jej upaść. Ja już nie mam siły, z nieba mi pan spadł, bo bez pary silnych rąk niechybnie poleciałaby po tych schodach – dodała i z ulgą wypuściła z palców materiał. – Bałam się, że nie dam rady jej zatrzymać albo że uderzy głową o kant tych kamiennych stopni...

– A czy nie wspominała pani czegoś o zawale?

– Wspominałam, wspominałam, ale jeżeli to zawał, to zapewne inne, dodatkowe urazy nie pomogą

– mruknęła.

– Jeżeli to zawał, to powinniśmy raczej wezwać karetkę...

– No przecież o tym cały czas mówię – zdenerwowała się Michalina. – Nie wiem, na co pan czeka!

– Aż wyrosnie mi trzecia ręka. Dwiema podtrzymuję tę kobietę, którą mi pani wepchnęła w ramiona... Nawet nie mam jak sięgnąć po telefon...

– A, rzeczywiście – zreflektowała się dziewczyna. – To może ja pomogę. Gdzie ma pan komórkę?

– W kieszeni spodni. – W jego głosie zabrzmiało zakłopotanie, którego Michalina opętana chęcią niesienia pomocy nie wychwyciła.

– No dobrze, to ja zaraz się do niej jakoś...

Nie zdołała dokończyć, bo gdy wyciągała rękę, rozbłysły latarnie, zamigotały lampki przy wejściu do kościoła, a Michalina poczuła się tak, jakby strzelił w nią piorun. W niespodziewanym zalewie światłości zobaczyła tuż nad sobą najpiękniejsze oczy, w jakie kiedykolwiek miała okazję spoglądać. Znieruchomiała i zapatrzyła się w granat zmieszany z chabrowym błękitem, poprzątkany... No właśnie. Mimo starań nie mogła rozpoznać trzeciego koloru. Na schodach było na to zbyt ciemno. Natomiast dostatecznie widno, by dostrzegła ciemne długie rzęsy. Właściwie nie musiała widzieć więcej. Te oczy wystarczyły, żeby ulec zauroczeniu, żeby się zapomnieć, żeby...

– To co z tym telefonem? – przywołało ją do porządku rzeczowe pytanie.

– Ja... Ja, nie mogę. – Z największym trudem dobierała słowa. – To był głupi pomysł, żebym grzebała panu w spodniach – wypaliła i po niewczasie zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. – Znacząco jedynie miałam na myśli pański... Rany Julek, ja chyba nie powinnam już nic mówić...

– To może jednak zrobimy to po mojemu. – Pomimo usilnych starań nie udało mu się ukryć uśmiechu pełnego rozbawienia. – Pani tu przykucnie, ja oprę plecy naszej chorej o panią i w ten sposób będę miał obie ręce wolne i będę mógł zadzwonić po karetkę.

– Żadnych karetek – niespodziewanie przemówiła dziarsko siedząca. – Nienawidzę lekarzy i szpitali!

– To pani nie ma zawału? – W głosie mężczyzny pobrzmiwały jednocześnie ulga i zdumienie.

– A skąd to głupie przypuszczenie? – sarknęła. – W mojej rodzinie, na moje nieszczęście zresztą, wszyscy mamy serca jak dzwony – dokończyła z grymasem zniecierpliwienia. – Byłam tylko lekko oszołomiona...

I dopiero w tej chwili spojrzała na tę dziewczynę, tę niedojdę, która nieomal zdeptała ją, wychodząc z kościoła. I która z nią została pomimo tego, że wcale nie była dla niej miła.

Właściwie wystarczyło to jedno spojrzenie, by Nela rozpoznała wszystkie doskonale znane symptomy. Był czas, gdy patrząc w lustro, widziała to wszystko we własnym odbiciu. Oszołomienie, zdumienie i niedowierzanie. I zachwyty.

Ta mała się zakochała – pomyślała z nagłą czułością, która ją zaskoczyła. Nawet jeżeli jeszcze nie

zdaje sobie z tego sprawy, to ja już to wiem! Tyle razy widziałam ten wyraz cięłego zachwytu w oczach koleżanek i w swoich również. Chyba jednak powinnam była powiedzieć, że mam zawał. Żeby dać im możliwość... – nie zdołała dokończyć myśli.

Poczuła, że znów kręci się jej w głowie, i przed oczami pojawiły się jej mroczki. Ostatkiem sił pociągnęła dziewczynę za zbyt długą kurtkę, która wyglądała, jakby należała do jej starszej i wyższej siostry.

– Słuchaj, żadnych karetek – zaświstała, bo nagle zabrakło jej powietrza. – Zawieźcie mnie do domu... Klucze w torebce...

Wydawało jej się, że zdołała jeszcze wychrypieć adres.

No cóż, może to nie zawał, ale omdlenie też powinna docenić. Jak się nie ma, co się lubi... – przemknęło jej jeszcze przez głowę, zanim zapadła w nieprzeniknioną ciemność.

I tak oto Nela po raz pierwszy w swoim długim życiu najzwyczajniej zemdląca.

Ocknęła się we własnym łóżku z niemiłym poczuciem, że ktoś obcy jej dotyka. Bardzo, ale to bardzo jej się to nie podobało.

– Łapy precz! – wysiliła się na ostry ton i usiłowała tego kogoś od siebie odepchnąć, ale ze zdumieniem poczuła, że nie jest w stanie unieść rąk. Na szczęście z głosem nie miała żadnych problemów. – Kim jesteś, młody człowieku, i co robisz w moim domu? – Gniewnie uniosła brwi na widok pochylonego nad sobą mężczyzny, którego kozia bródka nieomal dotykała jej klatki piersiowej.

– Spokojnie, jestem lekarzem – mruknął flegmatycznie właściciel koziego zarostu. – Muszę panią zbadać – dodał, wkładając do uszu słuchawki. – Dobrze, że się pani ocknęła, to mi sporo ułatwi... Pozwoli pani, że rozepnę pani...

– Ani mi się śni. – Głos miała tak lodowaty, że lekarz znieruchomiał i popatrzył na nią ze zdumieniem. – Nic mi nie będziesz, młody człowieku, rozpinał! Ile ty masz lat, młokosie?

– Skończyłem czterdzieści – wydukał „młokos” całkowicie zbity z tropu i odruchowo wyjął słuchawki stetoskopu z uszu.

– No i co, zachciało się popodglądać starsze panie, mam rację? – Wbiła w niego świdrujące spojrzenie. – I w ogóle co to za zwyczaje? Lekarz powinien wyglądać tak, żeby z miejsca budzić szacunek! A co widzą moje biedne, wiekowe oczy? Zresztą, mniejsza z tym, co widzą! Bo gdybym to nie ja tu leżała, ale mój ojciec, to on by panu powiedział, że jak się nie ma predyspozycji, to lepiej golić się na gładko, niż wyglądać tak, jakby ktoś patyków w gów... Lepiej nie będę kończyć! – Ulitowała się, widząc krwisty rumieniec zalewający policzki nieszczęsnego ucznia Hipokratesa. – Proszę pokazać mi torbę! – zażądała następnie.

– Jaką torbę? – wyjąkał lekarz.

– Swoją własną, lekarską! Chyba nie chce mi pan powiedzieć, że pan takiej nie posiada?

– Posiadam, oczywiście, że posiadam. – Na dowód, że jest tak, jak mówi, pochylił się i spod krzesła, na którym siedział, wydobył okazałych rozmiarów skórzaną torbę.

– Wygląda nadspodziewanie dobrze – mruknęła aprobująco Nela. – W takim razie może nawet pozwolę się panu zbadać.

– O, bardzo jest pani dla mnie łaskawa. – Po początkowym oszołomieniu doktor odzyskał zachwianą równowagę duchową. – A więc mogę panią osłuchać! Czuję się zaszczycony – zakpił. – Nie wiem tylko, jaki związek z tym ma moja torba?

– Stara szkoła. Przyzwoitego lekarza można z miejsca poznać po wyglądzie jego torby...

– A jeszcze przed sekundą byłem przekonany, że po zaroście... – Uśmiechnął się niewinnie. – To co, kończymy te słowne przepychanki i przechodzimy do konkretów? – Wskazał na zawieszony na

szyi słuchawki.

– Najpierw niech mi pan powie, co w ogóle się wydarzyło. I dlaczego nie mogę się ruszyć?

– Właśnie o to samo chciałem panią zapytać.

– Mnie? – zdumiała się niepomrotnie Nela. – A skąd niby ja mam to wiedzieć? Z nas dwojga to jednak pan jest lekarzem!

– Nie chodzi o to, co pani dolega, ale raczej jak do tego doszło...

– Jak to jak, normalnie. Wysłałam z domu, umówiłam się... – Tu Nela zamilkła i z namysłem popatrzyła na doktora.

Wyglądał na zmęczonego. Miał podkrążone oczy obramowane siną obwódka. Pomiędzy jasnymi brwiami widoczne były dwie głębokie pionowe bruzdy.

Pewnie od patrzenia na te wszystkie prześwietlenia – zawyrokowała w duchu. – Ledwo taki jeden z drugim złapie plik kartek z wynikami badań w ręce, a już brwi im się nieomal automatycznie marszczą. Jakby to miało im dodać powagi. A w pacjentach ma rzecz jasna wzbudzić trwogę. Ciekawe, czy na początku uczą się tego na tych swoich akademiach medycznych. Zajęcia ze srogiego marszczenia brwi... – Nela wyobraziła sobie salę pełną nobliwych doktorów, którzy w skupieniu ćwiczą zasepione wyrazy twarzy. Obraz był tak sugestywny, że musiała kilka razy mrugnąć, by się go pozbyć, i z trudem opanowała podchodzący do gardła chichot. Tylko jej tego brakowało, żeby lekarz uznał ją za obłąkaną!

Choć ten wyglądał raczej na takiego, który marszczy brwi, aby pomóc sobie w skupieniu. Albo gdy się czymś martwi. Ale mimo wszystko nie należy mu mówić całej prawdy – zawyrokowała Nela. – Ostatecznie mógłby nie zrozumieć swoistej umowy, którą zawarła z Panem Bogiem. Przypuszczała, że jednak jako lekarz musi być choć w części wyznawcą teorii szkiełka i oka i lepiej było nie narażać mu się zbytnią szczerością. Cóż, w takim razie po prostu ominiemy niewygodne szczegóły – postanowiła.

– Na czym to ja skończyłam, młody człowieku? – odchrząknęła.

– Na tym, że się pani z kimś umówiła – podpowiedział cierpliwie.

– A, no tak. Z przyjaciółką się umówiłam. Wie pan, jak to na staruszki przystało, naszą jedyną rozrywką jest stadne chodzenie do kościoła. Taki niepisany zwyczaj polegający na tym, że zanudza się Pana Boga swoją osobą... Aha, i się śpiewa. Razem z tymi przyjaciółkami – łągała jak najęta, usiłując wyobrazić sobie, co takie staruszki jak ona mogą robić wspólnie.

– Znaczy się, należy pani do jakiegoś zespołu? Razem z tą przyjaciółką? – Było widać, że lekarz naprawdę stara się zrozumieć wszystkie szczegóły.

– A skąd taki dziwny pomysł? – zdumiała się Nela.

– No przecież sama pani powiedziała, że się śpiewa!

– Ale, na miły Bóg, nie w zespole! Toż ja wiem, że głos u mnie nigdy nie był najlepszy. Zresztą wie pan, mamusia zawsze nad tym ubolewała. Tańczyć umiałam pięknie, grać na fortepianie też

nauczyłam się w trymiga, ale śpiewanie, nie wiedzieć czemu, nigdy, ale to nigdy mi nie wychodziło. Musiałabym nie mieć litości, żeby skazywać bliźnich na słuchanie takiego zawodzenia. Zresztą mniejsza o bliźnich, moja miłość własna by tego nie zdzierżyła – przyznała się z rozbijającą szczerością.

– Zdaje mi się, że to zbyt wiele jak na mnie. – Lekarz uniósł ręce w obronnym geście. – Pani...

Właśnie, jak pani ma na imię?

– Przecież trzyma pan w ręku mój dowód – wytknęła mu.

– No tak, przyłapała mnie pani. – Po raz pierwszy się uśmiechnął i Nela stwierdziła, że z tym uśmiechem, nawet pomimo koszarnej koziej bródki, wygląda całkiem sympatycznie. – Ale to dowód, że ze wzrokiem nie ma pani najmniejszych problemów. Mimo wszystko prosiłbym o odpowiedź na moje pytanie...

– Petronela, ale proszę mówić do mnie Nela. Jak pan widzi, z pamięcią też u mnie nie najgorzej. Bo właśnie to pan chciał sprawdzić, prawda?

– Cóż, taka moja rola. – Roześmiał się całkowicie rozbrojony. – Ale wróćmy do pani opowieści. Tylko, pani Nelu, niech ma pani nade mną odrobinę litości i trzyma się głównego wątku. Jestem na nogach od trzynastu godzin i nie ukrywam, że moje zdolności kojarzenia są znikome, w związku z czym całkowicie zagubiłem się w historii śpiewania, przyjaciółki i szanownej mamusi... Może skupmy się na wydarzeniach, które miały miejsce dziś. Skoro nie śpiewają panie w zespole, to gdzie się to odbywało?

– W kościele rzecz jasna. – Nela wzruszyła ramionami i spróbowała unieść się wyżej na poduszkach. Nawet jej się udało odrobinę podciągnąć. Widać siły powoli, bo powoli, ale jednak wracały. – Wie pan, co do Pana Boga nie mam zbyt wielu skrępowań, bo napatrzył się i nasłuchał tak okropnych rzeczy, że mój wątpliwej urody śpiew raczej Go nie zabije. Tym bardziej że jest nieśmiertelny, więc...

– Pani Nelu, i co było dalej? – przerwał jej lekarz z lekkim obłędem w oczach.

– Dalej, powiada pan... Ha, no poszłam do tego kościoła, na schodach skrzyłam nogę i okazało się, że już nie mogę się ruszyć.

– A co z pani przyjaciółką?

No tak, tego nie wzięła pod uwagę.

– A ona... Ona nie skrzyła nogi – zagrała na zwłokę, usiłując szybko coś wymyślić.

– Ale tak panią na tych schodach zostawiła i poszła?

– A bo to jędra jest i widać postanowiła sobie mną głowy nie zawracać... – Z miejsca skorzystała z pomysłu podsunętego jej przez niczego nieświadomego doktora.

– Słucham? Chce mi pani wmówić, że przyjaciółka zostawiła panią na zimnych schodach i nie usiłowała pani pomóc? Pani Nelu, i pani jeszcze się z nią zadaje?! To wszystko nie ma najmniejszego

sensu!

– Posłuchaj mnie, młody człowieku... Jak będziesz w moim wieku, to pogadamy o sensie, dobrze? Co miałam zrobić, skoro tylko ta mi została? Wszystkie inne z mojej półki już dawno zabrane...

– Z pani półki?

– O Matko Boska! Jakież to młode pokolenie niedomyślne. – Przewróciła oczami. – No pomarły zwyczajnie. Tylko ta mi została, więc nie ma co wybrzydzać. Jędza, bo jędza, ale moja własna i dobrze znajoma.

– No dobrze, nie wnikajmy. W takim razie co było dalej?

– A dalej to siedziałam na tych schodach i siedziałam... I robiło się coraz zimniej. Aż w końcu wysiadła elektryczność i zrobiło się ciemno, choć oko wykol. I wtedy nieomal mnie nie stratowała ta dziewczucha...

– Znaczy się pani wnuczka?

– Moja wnuczka?

– No babuniu, nie mów, że mnie nie poznajesz! – usłyszała od strony drzwi spokojny głos, który niewątpliwie należał do tej małej i nad wyraz nieuważnej niedojdy. I to jej zapewne Nela zawdzięczała wizytę lekarską! A przecież wyraźnie mówiła – żadnych lekarzy! I jeszcze na dodatek podszywa się pod jej wnuczkę! Po prostu bezczelność nad bezczelnością!

– Przecież specjalnie prosiłem, żeby zostawić mnie z pacjentką sam na sam. – Zirytowany lekarz obrócił się w kierunku dziewczyny.

– To nie jest moja wnuczka! – powiedziała w tym samym momencie rozeźlona Nela.

– Panie doktorze, babcia jest po prostu na mnie zła – głos dziewczyny nieco się podniósł. – Ale na pewno jej przejdzie. Babciu Nelu, pan doktor od samego początku pytał, czy ma się kto tobą zaopiekować, bo w przeciwnym razie z miejsca zabrałby cię do szpitala... Zapewniłam go, że nienawidzisz szpitali – słowo „nienawidzisz” wymówiła ze szczególnym naciskiem – i że ja się tobą, z całym poświęceniem, na jakie mnie stać, zajmę.

– Skoro już pani tu przyszła, to może mi pani wyjaśni, jak to się stało, że starsza osoba, która jest pod pani opieką, nieomalże wyziębiła się dziś na śmierć, siedząc na zimnych schodach w cienkim wiosennym okryciu? – zaatakował otwarcie lekarz. – I jak ja mogę uwierzyć, że jest pani w stanie zająć się babcią? Jaką mam gwarancję, że taka sytuacja się więcej nie powtórzy?

A niech to kule biją – pomyślała Nela z nagłym zrozumieniem. – Ta mała, bezczelna dziewczucha być może nie jest wcale aż tak bardzo zuchwała.

Widać usiłowała uchronić ją przed zapędami współczesnego doktora Judyma. Swoją drogą – że też musi prześladować ją taki potworny pech! Nie dość, że do tej pory była zdrowa jak koń, to jeszcze jak już jej się w końcu coś przytrafiło, to miast trafić na obojętnego, mającego wszystko w nosie lekarzyne, to jej akurat przydarza się nienaganny etycznie przedstawiciel tego zawodu! Czy naprawdę

nie mógłby zamiast niego przyjść jakiś zubożniały, zupełnie niezainteresowany pacjentem konował? A tak – człowiek ma same problemy! Ciekawe, co by na to powiedziały te całe statystyki!

– Szczerze mówiąc, to rzeczywiście moja wnuczka. Trochę kłamałam – mruknęła, usiłując przybrać skruszony wyraz twarzy. – Ona cały czas mi powtarza, że powinnam się ciepło ubierać. Ale wie pan, ta moja przyjaciółka Jędra ma takie piękne futro! I cały czas patrzy na mnie jak na ubogą krewną! Nie mogłam już tego znieść i postanowiłam jej pokazać, że może futra nie mam, ale i bez niego potrafię wyglądać niezwykle sztywnie.

– A to futro, które wisi na wieszaku w przedpokoju, to czyje? – zainteresował się doktor, patrząc prosto w oczy Neli.

A niech to szlag! – zaklęła w duchu. – Nie dość, że Judym, to jeszcze wścibski i spostrzegawczy.

– Moje! Ale wyliniałe! Chciałby pan chodzić w starym, nadżartym przez mole futrze? I narażać się na pośmiewisko? – zapytała retorycznie i dumnie odrzuciła głowę na poduszki.

– Sam pan rozumie, lepiej było zamarznąć. Żelazna kobieca logika – rozległ się kolejny obcy, tym razem męski głos i dopiero teraz Nela przypomniała sobie, że na kościelnych schodach poza nią i tą niezdarną dziewczuchą był ktoś jeszcze. Mężczyzna, który naiwnie uwierzył, że ona może mieć zawał. I który mocno ją podtrzymywał. Kiedy to chuchro nie miało już siły.

– Cudownie! Robi się coraz ciekawiej. Dobrze, że na kościelnym placu nie stacjonował pułk wojska! Obawiam się, że w mojej sypialni moglibyśmy się nie pomieścić – sarknęła pod nosem.

– A, zapomniałem o panu. – Skołowany doktor nie zwrócił uwagi na słowa Neli. – A kim dla pana jest pani Petronela?

– Ciocią. Jestem jej dalekim kuzynem...

– Coś w tym jest. W końcu wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu braćmi i siostrami – uśmiechnęła się Nela i ku własnemu zaskoczeniu poczuła, że coraz bardziej bawi ją ta sytuacja. – To może skoro już wszyscy wszystkim wyjaśnili, co trzeba, dowiem się, co mi się stało?

– Zwichnęła pani nogę w kostce – powiedział grobowym głosem doktor.

– Jeżeli to wystarczy, by zostać lekarzem, to mogę już dziś otworzyć prywatną praktykę. Postawiłam identyczną diagnozę, jak tylko poczułam rwący ból w tej właśnie okolicy... Ale nie musi pan tak się smucić. O ile dobrze wiem, od tego się nie umiera. – Zobaczywszy ponurą minę doktora, uśmiechnęła się do niego promiennie. – Bardziej niepokoi mnie to, że nie mam siły i...

– Gdyby pani choć na moment zamilkła i dała mi skończyć, już dawno wszystko byłoby wiadomo – przerwał jej bezpardonowo. – Tak jak wspomniałem, skręciła pani nogę. Ponadto jest pani wyziębiona i osłabiona. Obawiam się, że przemarzła pani tak bardzo, że może to przerodzić się w zapalenie płuc. A w pani wieku, pani Nelu, to bardzo niebezpieczne!

– Niech się pan o mnie tak nie martwi, doktorze. W tej rodzinie długowieczność to jedna z podstawowych cech. Ku mojemu utrapieniu zresztą. Zapalenie płuc raczej mi nie grozi. A już na

pewno może pan wykluczyć jego śmiertelne skutki. To się nie uda, bo widać nie jest mi pisane. – Poklepała go uspokajająco po ręce. – Gdybym miała umrzeć...

To zapewne pozwolono by mi skonać na tych nieszczęsnych schodach – dokończyła w myśli. – Skoro tak się nie stało, to widać jeszcze będę się musiała trochę pomęczyć na tym padole łez i smutku.

– Pani Nelu, nie wiem, czy to beztroska, czy głupota, ale ani jednego, ani drugiego nie zamierzam tolerować! – zdenerwował się nie na żarty lekarz. – Na moim oddziale...

– Zostawmy oddziałowi to, co oddziałowe, i mnie w to nie mieszajmy – weszła mu w słowo. – Ja ze szpitalami nie chcę mieć niczego wspólnego!

– A można wiedzieć dlaczego?

– Mój tata mówił zawsze, że zanim człowiek zapyta, powinien zastanowić się trzy razy, czy chce usłyszeć odpowiedź. A ja gwarantuję panu, że pan absolutnie nie chce znać mojego zdania w tej kwestii. Niech panu wystarczy informacja, że jeżeli mam umrzeć, to we własnym domu, we własnym łóżku!

– Albo na kościelnych schodach – mruknął, patrząc jej głęboko w oczy.

Nela z trudem wytrzymała to świdrujące spojrzenie, pomyślawszy, że jednak go nie doceniła. Widać współczesny Judym tylko sobie znanymi sposobami coś zauważył i sprytnie połączył fakty. Ale jeżeli myślał, że tym swoim szóstym zmysłem coś wskóra, to się grubo mylił. Trafił na godnego siebie przeciwnika.

– Tu już, młody człowieku, przesadziłeś! – fuknęła gniewnie. – Człowiekowi się przytrafiło zwykłe, zwyklesieńkie skręcenie kostki, a z miejsca usiłują mu wmówić jakieś ukryte intencje! To ja już sobie wyobrażam, jakie tam w tym waszym szpitalu przesłabym pranie mózgu! To, że jestem stara, nie znaczy, że już zupełnie nie wiem, co robię! Choć czasem taka mała demencja naprawdę by się przydała! Ale co ty, młokosie, możesz o tym wiedzieć? Czterdzieści lat ledwo skończył, mleko ma pod nosem, a mnie chce życia uczyć! Albo jeszcze gorzej, może na tym pozał się Boże oddziale brakuje wam ofiar do eksperymentów i ja mam być następna?

– Babciu, chyba jednak przesadzasz. Wychodzi z ciebie niezła zołza. – Dziewczyna podszywająca się pod wnuczkę Neli podeszła bliżej łóżka i spojrzała na nią z lekkim rozbawieniem podszytym kpina.

– A ty milcz, nieopierzona dzierlatko! – huknęła na nią rozeźlona. – To wszystko przez ciebie! To ty mi sprowadziłaś na głowę tego całego Judyma!

– Bogiem a prawdą to ja wezwałem pana doktora. – Jej fałszywy kuzyn też zdecydował się w końcu wejść do pokoju i stanąć tak, żeby go widziała.

Nela obrzuciła go uważnym spojrzeniem i nie zdając sobie z tego sprawy, z uznaniem pokiwała głową. Jego ewentualnie mogłaby przyjąć do rodziny. Przynajmniej było na co popatrzeć. Przystojny był, ciemne, nieomal czarne pofalowane włosy, śniada cera, mocne ramiona i nieco mroczne

spojrzenie. O tak, nie dziwiła się tej małej, że ledwo na niego spojrzała, a już straciła głowę. To był typ, przed którym przyzwoite starsze panie zawsze przestrzegają młodziutkie dziewczęta. Ale Nela nie była przyzwoita. W skrytości serca zawsze też przypuszczała, że tym starym kraczącym wiedźmom radzącym wystrzegać się uwodzicielskiego kawalera wcale nie chodziło o dobro pańienek, tylko najzwyczajniej w świecie zżerała je zazdrość, że one już wypadły z obiegu i nawet gdyby zaczęły chodzić na rzesach, taki mroczny przystojniak nawet by na nie nie zerknął.

Gdybyś ty, bratku, zjawił się tutaj jakieś, bo ja wiem... Bagatela, sześćdziesiąt kilka lat temu, to byśmy pogadali – pomyślała tęsknie. – Albo i nie... W końcu ja miałam swojego Aleksandra. A nawet gdy jego już nie było, to żaden nie potrafił mu dorównać. Ale przynajmniej można by było niezobowiązująco poflirtować. Samym uwodzeniem też można było się cieszyć, nawet jeżeli potem nic z tego nie wynikało...

Lecz w tej sytuacji nie w moim guście jest zabawianie się w psa ogrodnika. I skoro ja tutaj niewiele wskóram, to niech chociaż to chuchro coś z tego ma – zadecydowała łaskawie.

Choć jak na razie marnie to widziała. Po pierwsze, on był od niej sporo starszy. Tak na oko minimum sześć, siedem lat. Ale widać bezczelnej dziewczusze to nie przeszkadzało, bo gdy myślała, że nikt nie patrzy, wlepiała w niego to rozmarzone spojrzenie. I to był niewątpliwie jej atut. Te oczy właśnie. Świetliste, a zarazem głębokie, migoczące tajemniczymi szarościami. Ale poza tym... Nie miała się czym pochwalić. Ubrana bez gustu, kurtka wisiała na niej jak na kiju... Nela mogła się założyć, że cierpi na kompletny brak biustu. A co to za panna, która nie ma czym odetchnąć? Żeby to jeszcze miało trochę kokieterii w sobie. Nieco zalotności... Toż to każda służąca przed wojną wiedziała, jak zakręcić biodrami, jak zatrzepotać rzesami w taki sposób, że mężczyzna nie mógł spać po nocach. I niech sobie mówią, co chcą, ale od tej bezsenności zawsze wszystko się zaczynało. Pożądanie wyzwala całe pokłady duchowej miłości! Tyle tylko, że kiedyś nikt by nie ośmielił się tego tak wprost powiedzieć. I właściwie to też miało swój urok. Grano w tę grę, zaloty, całuję rączki, muskam wargami policzek... A wszystko to wywoływało tyle emocji. Pierwszy pocałunek, wyczekany, wymarzony, sprawiał, że serce mało co się z piersi nie wyrwało. Niektóre panny mówiły nawet o omdleniach...

– No ale to jest mocno przereklamowane. Nie ma w tym nic romantycznego. – Zapomniała się i ostatnie dwa zdania powiedziała głośno, po czym natychmiast poczuła, jak wzrok wszystkich obecnych skupia się na jej osobie. – No i co się tak gapicie... Pierwszy raz zdarzyło mi się zemdleć i zupełnie się tym stanem rzeczy nie zachwyciłam! A prawie całe życie zeszło mi na uzalaniu się nad sobą, że nigdy mi się coś takiego nie przytrafiło. Wręcz usychałam z zazdrości.

– Ania z Zielonego Wzgórza miała takie samo zdanie. I też w podobnych okolicznościach. Gdy złamała nogę – powiedziała dziewczyna, odpinając nieco suwak kurtki, i natychmiast zapięła go z powrotem. Ale nie zrobiła tego na tyle szybko, żeby Nela nie dostrzegła cienkiej, mocno brudnej

wiatrówki, którą Michalina miała pod spodem.

Ona ma kłopoty – pomyślała w nagłym olśnieniu. – Nie jest taka głupia, coś tam wie, coś czytała, ba, nawet odgryźć się umie. I dobrze, bo zbyt potulni ludzie zwykle są fałszywi. Przytakują, bo chcą się podlizać... A ona ma swoje zdanie. I z miejsca załapała, co się dzieje, i bez mrugnięcia zaczęła uczestniczyć w akcji pod kryptonimem „Spławiamy Judyma”... Ciekawe, co się takiego wydarzyło w jej życiu, że tak żałośnie wygląda...

Nela nie miała pojęcia, że nie tylko ją zaczęło nurtować to pytanie. Natomiast ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od wielu miesięcy zainteresowała się czymś, co nie miało bezpośredniego związku z nią samą. Zwróciła uwagę na zupełnie obcego człowieka. I coś jej mówiło, że oto w taki właśnie pokrętny sposób dostała odpowiedź na dzisiejsze ultimatum.

Co ona tam chlapnęła tym swoim niewyparzonym językiem? O ile dobrze pamiętała, kazała Bogu ruszyć Boski tyłek i coś zrobić. Dać jej wyraźny znak. Jak to było? Albo cud, albo koniec tej mordęgi. No więc proszę bardzo, dostała to, o co prosiła. Wprawdzie nie tak to sobie wyobrażała. Przypuszczała raczej, że... Właściwie nie wiedziała, na co konkretnie liczyła. Bo chyba nie na to, że ta wyczekiwana nagle po tylu latach stanie na kościelnych schodach i że podreptają zgodnie do domu i będą żyły długo i szczęśliwie.

I tu Nela nie zdołała powstrzymać kpiącego uśmiechu. Bo jednak gdzieś tam w głębi ducha właśnie tego pragnęła. Rozegrania tej rundy na jej warunkach. Ale widać los miał inny plan i zupełnie inaczej postrzegał kwestię cudu. A ona, skoro rzuciła rękawicę, musiała przyjąć to, co zostało jej podarowane.

Starsza pani jeszcze raz zerknęła na wychudzoną, zabiedzoną dziewczynę i pomyślała, że jeżeli to Bóg maczał w tym palce, to musi mieć spore poczucie humoru.

Niezbadane są ścieżki i zamysły Pana – tak mawiała jej babcia. I dopiero teraz Nela zaczęła w pełni pojmować znaczenie tego stwierdzenia.

Zwykle gdy doktor Leon Mioduszewski wychodził od wyjątkowo trudnego pacjenta, odczuwał wyłącznie ulgę. Ale tym razem miał w głowie ogromny zamęt. Po pierwsze, pacjentka była zgryźliwa, a on nie znosił zgryźliwych i złośliwych osób. Oczywiście musiał je tolerować, ba – nawet starał się być dla nich uprzejmy, ale w głębi ducha nie żywił do nich zbyt ciepłych uczuć. A pani Nela była wręcz modelowym okazem ironicznej i kąśliwej staruszki. Niegrzecznej i impertynenckiej. Takiej, co to uważa, że skoro osiągnęła wiek mocno historyczny, to wolno jej wszystko. I dlatego powinien poczuć do niej, skądinąd w pełni zrozumiałą i uzasadnioną, niechęć. Która nie przeszkadzałaby mu, rzecz jasna, wykazać się empatią, współczuciem i uwagą. Tego przecież wymagał wykonywany przez niego zawód. Ale na pewno nie musiał jej lubić. Na całe szczęście kodeks lekarski nie zmuszał aż do takiego poświęcenia. Nie trzeba było kochać ludzi. Trzeba było tylko starać się ich zrozumieć. Tymczasem ku swojemu zdumieniu poczuł do starszej pani sympatię. Może dlatego, że na początku, zanim jeszcze odzyskała przytomność, wydała mu się niebywale krucha i delikatna. Oczywiście gdy doszła do siebie, od razu rozwiąła to błędne pierwsze wrażenie. Ale coś z niego musiało pozostać. Poza tym Leon ostatnimi czasy czuł się potwornie przemęczony i sterany życiem. Tymczasem staruszka z piekła rodem zmyła mu głowę, nazwała go młokosem, a jego szacowny wiek zbyła ironicznym parsknięciem. I Leon poczuł się młodszy. I już to sprawiło, że gotów był wybaczyć Neli wiele. Na przykład tę uwagę o jego zaroście... No więc była złośliwa, a mimo to go rozbawiła i poprawiła mu kiepskie samopoczucie. Już to było nieco dziwne, powinien przecież poczuć się śmiertelnie obrażony, powinien ją zrugać (swoją drogą chciałby zobaczyć śmiałka, który by się na to poważył) albo przynajmniej mieć na to ochotę. Powinien wpaść w złość. Tymczasem nic takiego się nie stało. I początkowo w tym usiłował upatrywać przyczyny dziwnego poczucia nierealności, które męczyło go, odkąd przekroczył próg jej mieszkania. Ale już po chwili wiedział, że nie o to chodzi. A jednocześnie nie mógł sprecyzować, co dokładnie go niepokoi. Jedyne, co wiedział na pewno, to to, że w tym domu było coś nie w porządku. A właściwie wszystko było dziwne. Począwszy od historii, którą uraczyła go Nela. W pierwszej chwili brzmiała nawet rozsądnie, ale potem... Jaka przyjaciółka zostawiłaby swoją ranną koleżankę na pastwę losu? A w tym konkretnym przypadku zimna, wiatru i mrozu?

Jak to jaka? Zołza i flądra – w jego głowie rozległ się kąśliwy głos starszej pani.

No dobrze, możliwe, że się czepia. Przyjmijmy, że i tak mogło się zdarzyć. Wieloletnia praktyka utwierdziła go w przekonaniu, że życie pisze najbardziej nieprawdopodobne scenariusze i niekiedy zdarzają się rzeczy, których normalny człowiek nie jest w stanie pojąć ani przewidzieć. Więc załóżmy, że zazdrośnica, zołza i flądra rzeczywiście zrobiła to, co zrobiła, i zobaczywszy, że

Petronela niedomaga, zatarła ręce i oddaliła się czym prędzej od cierpiącej koleżanki. Założmy, że siedzi teraz w ciepłym domu przed telewizorem i z niecierpliwością czeka, aż na którejś z lokalnych stacji podadzą informację o zamarznętej staruszce. Straszne, ale potencjalnie możliwe. Każdy, kto przepracował choćby tydzień w Szpitalnym Oddziale Ratunkowym, zetknął się z nie tak absurdalnymi, a jednak zakończonymi tragicznie historiami. Więc nawet jeżeli to była prawda, to wszystko inne nadal nie trzymało się kupy. Chociażby ta dziewczyna. Niby wnuczka. Widać było, że zupełnie nie zna rozkładu domu, że czuje się zagubiona. Ubrana w jakieś łachmany, na które naciągnęła drogą kurtkę. Wiedział, ile takie cudo kosztuje, bo jego żona marzyła dokładnie o takiej samej. Swoją drogą to dobry pomysł na prezent gwiazdkowy... Jutro, jak skończy dyżur i nic dłużej nie zatrzyma go w pracy, może uda mu się wyskoczyć do sklepu i zrobić zakupy. To jedno miałyby już z głowy i uniknęłyby najgorszego tłoku, który zapanuje w sklepach za kilka dni, gdy ludzi opęta świąteczna gorączka... Ale wracając do tej dziewczyny, to był prawie pewien, że zarówno ona, jak i pani Nela nie mówią prawdy. Najbardziej wiarygodny z całej trójki był mężczyzna. Ale szkopał polegał na tym, że Leon od najmłodszych lat mógł polegać na swojej intuicji, a ona wyraźnie mówiła mu, że i z tym kuzynem jest coś nie tak. Jeszcze bardziej niepokoiło go to, że staruszka wygląda na zamożną. A jeżeli ta dwójka usiłuje ją wykończyć, a potem przejąć jej majątek? – przemknęło mu przez skołataną głowę. Z miejsca odrzucił to przypuszczenie jako zbyt nierealne. Ostatecznie gdyby staruszce groziło niebezpieczeństwo, na pewno by mu o tym powiedziała. Miała ku temu kilka idealnych okazji. Na przykład wtedy, gdy na czas badania wyprosił domniemaną wnuczkę i podejrzanego kuzyna z pokoju. Zresztą ktoś zastraszony nie zachowuje się tak jak ona. Język ostry niczym brzytwa, nonszalancja i brak jakiegokolwiek pokory. Nie, absolutnie Nela nie była typem ofiary.

– A jednak coś w całej tej sytuacji śmierdzi – mruknął pod nosem. – I jeżeli jest tak, jak myślę, to na pewno dowiem się, o co w tym chodzi. Tym bardziej, że będę miał ku temu sposobność...

Już uprzedził panią Nelę, że wpadnie jutro i sprawdzi, jak się mają jej płuca.

– W końcu bycie Judymem do czegoś zobowiązuje – powiedział na odchodne i mrugnął do niej.

Wiedział wprawdzie, że nazywając go tak, lekko kpiła, ale jemu to nie przeszkadzało.

A Neli nawet przez myśl nie przemknęło, że właśnie tym jednym słowem sprawiła, iż Leon poczuł się doceniony jak nigdy przedtem. I postanowił zrobić wszystko, co w jego mocy, by starsza pani miała zapewnioną idealną opiekę medyczną. Z kpiną czy bez, nareszcie ktoś go tak po prostu docenił. Za troskę, za spokój, za to, że chciał wykonywać swój zawód najlepiej, jak potrafił.

Gdyby Petronela miała świadomość, że niewyparzony język zapewni jej codzienne odwiedziny troskliwego doktora, zapewne wolałaby milczeć przez okrągły tydzień. Niestety, nie miała o tym wszystkim zielonego pojęcia.

Nela, słysząc, jak za doktorem zamykają się drzwi, z ulgą opadła na poduszki i przymknęła oczy. – Judym z wozu, koniom lżej – westchnęła i skrzywiła się na samą myśl o tym, że jutro znów będzie musiała go oglądać.

Dobrze, ale z tego powodu będę niezadowolona od jutra. Zawsze to jednak jakiś plus, ma się plan i cel. Skwaszenie z powodu niechcianej wizyty. Po prostu chce się żyć – pomyślała, przewracając oczami. Teraz natomiast należało się zastanowić, co zrobić z dwójką sprawców tego całego galimatiasu.

– No i co to ma znaczyć? Ta cała farsa? Słucham uważnie! – Rozsądnie postanowiła rozpocząć od strzelenia focha i zmycia im głowy. – Nie nauczyli was, że starszych należy słuchać? Mówiłam wyraźnie: żadnych lekarzy!

– Co do tego „wyraźnie”, to bym jednak nie przesadzała – mruknęła dziewczyna, utwierdzając Nelę w przekonaniu, że jej pierwsze wrażenie było słuszne. Małolata była pyskata i nie miała zamiaru nikomu się podlizywać. – Zresztą...

– Zresztą nie było wyjścia – wszedł jej w słowo mroczny przystojniak. – Nie mogliśmy przecież zignorować tego, że straciła pani przytomność!

– Oj, wielkie mi aj-waj! Gdyby tak każdy panikował przy zwykłym omdleniu, lekarze popadaliby z przemęczenia! Trzeba mieć trochę litości dla...

– No właśnie, pani Nelu... Trzeba mieć trochę litości – znów jej przerwał i uśmiechnął się rozbrajająco – przecież tak naprawdę doskonale pani wie, że nie mogliśmy postąpić inaczej.

– A skąd ty, młody człowieku, wiesz, co ja wiem i co myślę? Znasz mnie zaledwie od paru minut... A może mam nie po kolei w głowie i rozsądne argumenty w ogóle do mnie nie przemawiają? Albo może najzwyczajniej w świecie nie mam ochoty brać ich pod uwagę? W końcu jestem stara i wolno mi mieć na pieńku z całym światem!

– Oczywiście, że pani wolno. – Dziewczyna oparła się o framugę drzwi i dopiero teraz Nela zauważyła, że jej blada buzia zrobiła się nieomal przezroczyta. – Wszystko pani wolno i słusznie się pani wkurza... Przepraszam za całe to zamieszanie, już mnie nie ma... Czekałam tylko, aż lekarz sobie pójdzie. Żeby nie miała pani problemu ze szpitalem. – Sięgnęła po plecak i chwiejnym krokiem skierowała się ku drzwiom.

– A ty gdzie? – krzyknęła za nią Nela i ze złością stwierdziła, że jednak siły jeszcze w pełni jej nie wróciły, bo pomimo prób nie mogła z miejsca poderwać się z łóżka.

Kołdra ważyła tonę, tak samo zresztą jak ręce i nogi. Ale na całe szczęście nie tylko jej zależało na zatrzymaniu dziewczyny. Mężczyzna, widząc, że tamta wychodzi, jednym susem znalazł się

w ciemnym przedpokoju. Nela miała szczerą nadzieję, że zdoła wygramolić się z łóżka i dotrzeć do drzwi wejściowych, zanim tamta dwójka sobie pójdzie. Nagle dotarło do niej, że absolutnie nie może dopuścić do tego, żeby ta mała niedojda zniknęła. Nie teraz, nie w momencie, gdy Nela zaczynała przypominać sobie, co to znaczy naprawdę żyć.

Michalina już od jakiegoś czasu czuła, że nie jest dobrze. Kręciło jej się w głowie, przed oczami pokazywały się mroczki, a nogi miękły. Jeszcze podczas wizyty lekarza jakoś się trzymała. Nie wiedziała, czemu staruszka tak bardzo broni się przed pójściem do szpitala, ale cokolwiek było tego przyczyną, nie do niej należała ocena. Nela – na całe szczęście udało jej się podsłuchać, jak lekarz się tak do niej zwracał – chciała zostać w domu i dziewczyna zamierzała jej w tym pomóc. Jedynym, co mogło wpłynąć na decyzję doktora i sprawić, żeby nie nalegał na obserwację szpitalną, było przekonanie go, że starsza pani ma zapewnioną opiekę. Dlatego z miejsca powiedziała, że jest jej wnuczką. Dopiero później dotarło do niej, że popełniła błąd. Już mówienie do obcej kobiety „babciu” okazało się nie lada wyzwaniem. To słowo, do tej pory zarezerwowane dla najukochańszej osoby, staowało jej w gardle za każdym razem, gdy je wypowiadała. Lecz nie to było najgorsze. Najboleśniesz było znalezienie się w tym wielkim, ciepłym mieszkaniu. I potok światła, który rzeświście oświetlił pokój, gdy mężczyzna, który pomógł jej dotaszczyć Nelę pod wskazany adres, nacisnął włącznik po wejściu do sypialni. Żyrandol, który tu wisiał, był wielki, kryształowe kropelki opadały girlandami z sufitu. Ledwo zabłysło światło, a już w każdej migoczącej łezce pojawiły się maleńkie tęcze. Przez moment oślepiła mrużyła oczy, przyzwyczajając wzrok do nagłej jasności. I dopiero po chwili spojrzała w głąb pokoju, gdzie mężczyzna o najpiękniejszym kolorze oczu, jaki kiedykolwiek widziała, układał starszą panią w wielkim łóżu. Wtedy właśnie zobaczyła swoje odbicie w gigantycznym lustrze. Widziała w nim również przystojną twarz swojego towarzysza, pluszowe zasłony, srebrną cukiernicę stojącą na stole. I dotarło do niej, że absolutnie nie powinno jej tu być. Wychudzona, szara na twarzy, w przybrudzonych ciuchach wystających spod kurtki, która smętnie zwisała z jej ramion, nie pasowała ani do tego wnętrza, ani do tych ludzi. Wręcz nieprzyjemnie z tym wszystkim kontrastowała. Przez moment miała wrażenie, że fikuśne, kosztowne bibeloty, meble, a nawet fiołki na parapetach szyderczo prychają na jej widok. I zapewne już wtedy by stamtąd uciekła, gdyby nie doktor, który jeszcze raz upewnił się, że Nela jest jej babcią. Nie pozostawało jej nic innego jak przytaknąć i wytrzymać do końca wizyty. Skoro już powiedziała „A”, trzeba było wyśpiewać alfabet do końca.

Gdyby jeszcze jego tu nie było, byłoby mi źlej – pomyślała, zerkając na mężczyznę, który właśnie podał się za kuzyna Petroneli. – A tak zobaczył mnie i już nigdy nie uda mi się zatrzeć pierwszego wrażenia. Zawsze, gdy o mnie pomyśli, będzie widział brudną, brzydką i zapyziałą szkaradę! Zresztą jakie to ma znaczenie? Takie jak zawsze! – napomniała się w duchu. – Przecież on natychmiast o mnie zapomni, gdy tylko zniknę mu z oczu! Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Gdybym poszła od razu w siną dal, rozplynęła się w ciemnościach, może byłabym dla niego tajemnicą, głosem i niewyraźnym

obrazem... O tajemnicy zawsze myśli się z dreszczem podekscytowania. A tak jedyny dreszcz, jaki mogę u niego wywołać, to dreszcz obrzydzenia...

Michalina ze smutkiem spuściła głowę. I po co ja w ogóle wchodziłam do tego kościoła? – pomyślała z rozpaczą. – Po co przyszłam tutaj i wpakowałam się w sam środek tej historii? W mojej sytuacji najlepiej nie pamiętać, jak to jest w świecie, w którym ludzie sypiają w łózkach pod puchowymi pierzynami, mają ciepłe kaloryfery i gorące serca tych, którzy ich kochają. Dopóki się o tym nie myśli, to nie boli. Łatwiej znieść samotność. I co ja teraz zrobię z tym wspomnieniem palających granatowych oczu? Naprawdę jeszcze jedna pałaca tęsknota nie jest mi do niczego potrzebna. Zresztą to wszystko to tylko moje wyobrażenie... Jest przystojny, czarujący, troskliwy... To było widać po tym, jak zajął się starszą panią. I po tym jak pomógł jej, Michalinie, wyjść z samochodu. Miał takie silne, ciepłe ręce... Ale przecież poza tym niczego o nim nie wiedziała.

Więc o co do diabła mi chodzi? – zapytała się w duchu z irytacją. – Jeżeli to właśnie jest ta cholerna miłość od pierwszego wejrzenia, w którą nigdy nie wierzyłam, to doprawdy nie mogła wybrać sobie gorszego momentu, żeby mi udowodnić, że jednak istnieje!

Ledwo to pomyślała, poczuła, że kręci jej się coraz bardziej w głowie. Jak to dobrze, że ten nieszczęsny doktor właśnie wychodził. Odczekała, aż na klatce umilkną jego kroki, wysłuchiwała jeszcze zrzędzenia staruszki i starając się już ani razu nie spojrzeć na stojącego pośrodku pokoju mężczyznę, pożegnała się i ruszyła do wyjścia. Całą uwagę skoncentrowała na tym, żeby dotrzeć do drzwi. Oby tylko wydostać się na zewnątrz... Wzięła kilka głębokich oddechów i już sięgała do klamki, a wtedy dwie rzeczy wydarzyły się nieomal równocześnie: mroczki przed oczami zamieniły się w jedną ciemną plamę, Michalina zaś znalazła oparcie w silnych ramionach.

– Poczekaj, musisz się pochylić, bardziej! – usłyszała stanowczy głos. – Głowa między kolana! Zaraz poczujesz się lepiej – dodał, mocno ją podtrzymując.

Rzeczywiście – ciemna plama znacznie się zmniejszyła, ale Michalina poczuła, że choćby chciała, nie jest w stanie otworzyć oczu. Powieki ciążyły jej, jakby były z ołowiu.

– Jestem potwornie zmęczona – udało jej się jedynie wyszeptać i wydawało jej się, że po tych słowach jakaś niepojęta siła unosi ją i przytula do czegoś miękkiego, pachnącego powietrzem i lasem, i dobrocią.

Dziwne, nie wiedziałam, że dobro pachnie tak po męsku... – przemknęło jej przez głowę.

A potem usłyszała jakiś głos, który szeptał jej prosto do ucha, że wszystko będzie dobrze i że już nigdy nie będzie zziębnięta i głodna, i zostawiona samej sobie. I że dostała najlepszego anioła do wynajęcia, jaki był na stanie. I zobaczyła wielkie białe skrzydło, które zatuliło ją w swoim puchowym wnętrzu. A później wszystko zniknęło.

Gdy w końcu Nela wygramoliła się z łóżka i zasapana dotarła do przedpokoju, przystojniak trzymał dziewczynę na rękach. Wystarczyło jedno uważne spojrzenie, by starsza pani zorientowała się, że facet jest w kropce.

Mężczyźni! Zawsze to samo, już chyba zaczynam rozumieć, dlaczego panny za moich czasów osuwały się im w ramiona! Oni wtedy po prostu głupieją i nie wiedzą, co z tym fantem zrobić, robią więc to, co zawsze najlepiej im wychodzi. Zajmują się biedną ofiarą z całym poświęceniem, żeby udowodnić jej, ale przede wszystkim sobie, że są mężczyźni i nic ich nie złamie. A zwykle właśnie łamie ich kruchość kobiecej dłoni – skonstatowała w duchu z lekkim rozbawieniem.

Ale ochota do śmiechu przeszła jej, jak ręką odjął, gdy zauważyła zamknięte oczy dziewczyny i jej bezwładnie zwisającą rękę.

– Co tu się stało? – Zatroskana zmarszczyła brwi.

– Chyba teraz ona zemdląca. Za wcześnie wypuściliśmy tego doktora... Będę musiał wydzwonić go jeszcze raz.

– Nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu. Posłuchaj, chłopcze, jak ty masz właściwie na imię?

– Konstanty. Ale jakie to ma w tej chwili znaczenie? Trzeba...

– Trzeba położyć ją do łóżka. Zobacz, ona po prostu usnęła jak przemęczone dziecko – zawyrokowała Nela, wspinając się na palce, by lepiej widzieć twarz dziewczyny.

Skręcona kostka zarwała ją wściekle, lecz starsza pani zignorowała ból. Nie zamierzała w ogóle stosować się do zaleceń Judyma i smarować nogi przepisаныmi przez niego maściami. Jutro z samego rana pokażę ci, gdzie możesz ją położyć – dodała i z wawym krokiem ruszyła w głąb korytarza.

– Śpi? Tak po prostu śpi? Jest pani pewna? – W granatowych oczach przystojniaka błyszczał niepokój.

– Jestem. Musi być skrajnie wyczerpana. A Judymowi daj spokój. Tylko by się chłopina zdenerwował, gdyby się okazało, że w tak krótkim czasie wykończyłam własną wnuczkę. Wspólnie z tobą zresztą. Również byłbyś podejrzanym, nie wiem nawet, czy nie bardziej, bo ja jednak nieco niedomagam. I mam ograniczone możliwości w przeciwieństwie do ciebie. A gdy on wróci, to szpital już murowany i dla niej, i dla mnie, bo przecież miłosierny doktorek nie zostawiłby nas bez opieki. Chodź, pokażę ci, gdzie możesz ją położyć – dodała i z wawym krokiem ruszyła w głąb korytarza.

Zdenerwowanie i przyływ adrenaliny sprawiły, że odzyskała siły.

– Nie wiem, czy powinienem ją tutaj zostawiać... Pani jest, jakby to powiedzieć... W sile wieku...

– W sile wieku. – Roześmiała się. – Niezły z ciebie czaruś! Konstanty, nie bójmy się nazywania

rzeczy po imieniu, ja po prostu jestem stara. A swoją drogą co to za imię? W tych czasach? Myślałam, że już dawno wyszło z mody. Można sobie język na tym połamać. Widać twoi rodzice świetnie dogadaliby się z moimi. Do tej pory nie mogę zrozumieć, co nimi kierowało, gdy dali mi na chrzcie „Petronela”. Chociaż i tak mam lepiej, bo zdrobnienie jest przyjemne. A ciebie jak nazywają?

– Kostek – mruknął nieuważnie, bo szczerze mówiąc, zupełnie nie miał głowy do zastanawiania się nad takimi bzdurami.

Jakie to do diabła miało teraz znaczenie? W tej chwili zamiast gadać, trzeba było... no właściwie nie wiedział, co powinien zrobić. I to irytowało go jeszcze bardziej, bo zwykle miał precyzyjny plan działania. Tu jednak sytuacja niebywale się skomplikowała. Miał dylemat. Czy posłuchać staruszki i zostawić dziewczynę w tym wielkim mieszkaniu? Nie słuchać jej i zawrócić na wszelki wypadek doktora, żeby zobaczyć, co jej jest? Zabrać ją ze sobą? Nie, to ostatnie odpadało, bo jednocześnie musiałby wziąć starszą panią. Nie mógł zostawić jej samej. To byłoby karygodne zaniechanie. Widział, ile trudu kosztowało ją podniesienie się z łóżka. Teraz prawdopodobnie zadziałały emocje, ale jak opadną, będzie jeszcze słabsza. Że też to wszystko musiało mu się przydarzyć akurat tego dnia!

– Cholera jasna, psia krew! – Miał wprawdzie ochotę użyć o wiele mocniejszych słów, ale było mu jakoś głupio przy Neli kląć jak szewc. – Nienawidzę być bezradny! – wyznał, wchodząc za staruszką do wielkiego pokoju, w którym stało ogromne łóżo z baldachimem.

Układając na nim dziewczynę, poruszył niechcący materiałem i zobaczył, że opada z niego warstewka kurzu, który zakręcił go w nosie i wywołał serię donośnych kichnięć.

– No cóż, chyba przydałoby się jakieś gruntowne sprzątnięcie. – Nela rozejrzała się wokół, tak jakby nie widziała tego pomieszczenia od bardzo dawna. Zresztą jej następne słowa potwierdziły, że tak właśnie było. – Pokój gościnny był nieużywany od lat – ciągnęła, jednocześnie przejeżdżając palcem po stojącej tuż koło drzwi orzechowej szafeczce. – O la, la – zagwizdała, widząc na palcu szarą smugę. – Jednak to prawda, że kurzu nie widać, gdy jest wszędzie. Powinnam wziąć sobie to do serca. Ale jedyna korzyść z tego jest taka, że to twoje kichanie, Kostek, spowodowało, że do śpiącej królowny coś dotarło i sam możesz stwierdzić, że miałam rację i że ona po prostu śpi – dodała, wskazując ruchem głowy na dziewczynę, która rzeczywiście przekręciła się na bok i głęboko westchnęła, układając się wygodnie w pościeli. – Bo chyba dobrze zrozumiałam, że to twoje poczucie bezradności wynikało właśnie z niepewności, co z nią?

– Cóż... Jakoś tak mi nieswojo. Nigdy w życiu dziewczęta nie padały przy mnie jak muchy. A nawet jeżeli, to raczej w innych, dużo przyjemniejszych okolicznościach. A tutaj już druga w niespełną godzinę...

– Że to niby ja mam być tym pierwszym dziewczęciem? Dobrze sobie! – Zamilkła, bo dotarło do niej, że rzeczywiście ona też przez jakiś czas znajdowała się w jego młodych, silnych ramionach.

To dopiero spotkało mnie wyróżnienie! Przy odrobinie wysiłku mogłabym wmówić sobie, że ten

przystojniak miewa do mnie ciągoty... – pomyślała ubawiona. – Ale nie jestem aż tak zaślepią. Nie dość, że w moim wieku byłoby to żałosne, to jeszcze załatywałyby pedofilią. Więc lepiej za bardzo nie fantazjować. Szczególnie, że nie do końca wiem, jak to jest z tym życiem po życiu i nie chciałabym wkurzyć mojego Aleksandra. Choć z drugiej strony w napadach zazdrości bywał naprawdę uroczy...

Przed oczami stanęła jej jak żywa pociągła twarz męża, ze stanowczo zarysowanym podbródkiem, pięknymi brązowymi włosami i oczami błyszczącymi namiętnością.

Cóż, jedyna korzyść z tego, że odszedłeś tak dawno temu, jest taka, że nigdy się nie zestarzejesz... Zawsze będę cię widziała z gładkim czołem, z tym śmiesznym, niepokornym kosmykiem włosów, który wpadał ci do oczu...

– Mam nadzieję, że nie jest uczulona na kurz – przerwał jej rozmyślenia zatroskany głos Konstantego.

– Uczulenia to wymysły! – Brutalnie przywołana do rzeczywistości poczuła ogarniającą ją irytację.

Że też musiał odezwać się akurat teraz, gdy miała wrażenie, jakby na moment czas się cofnął! I żeby jeszcze mówił coś ważnego! Ale nie, chodziło o jakieś nowomodne banialuki dotyczące uczuleń!

– Za moich czasów – perorowała dalej – nikt nie słyszał o alergiach i innych bzdurach! Katar trwał siedem dni, a dzieci nie miały żadnego AD coś tam, tylko były zwyczajnie niedobre. I nie ciągało się ich po lekarzach, tylko wysyłało do ojca, do gabinetu, na rozmowę. Odpowiednia dyscyplina była najlepszym psychologiem! A teraz co? Młodzi się nad sobą trzęsą, dzieci są rozpuszczone jak dziadowskie bicze i jeszcze utwierdzone w przekonaniu, że to choroba, a jak choroba, to wszystko im wolno i wszystko zostanie wybaczone! Nic dziwnego, że wyrastacie na mięczaki! – parsknęła rozeźlona.

– Jeżeli już, to nie wszyscy. Trochę racji może i w tym jest, ale z drugiej strony, jak pani była młoda, to telefonów komórkowych też nie było, co nie znaczy, że teraz nie istnieją... – zauważył trzeźwo.

– Dobrze, dobrze, już ja i tak swoje wiem! Ta odrobina kurzu na pewno jej nie zabije – burknęła i ku swojemu ogromnemu niezadowoleniu potężnie kichnęła. – A teraz zamiast biadolić, zdejmij z niej kurtki, bo pod tą pierwszą ma jeszcze jedną, cienką, i okryj ją porządnie. Jak się wyśpi, to się zastanowię, co dalej z nią zrobię... – zadysponowała.

Konstanty, słysząc te słowa, poczuł, jak zaczyna kipieć w nim gniew.

Jakim prawem ta kobieta mówi o śpiącej dziewczynie jak o swojej własności? Dlaczego wydaje mu polecenia, jakby był jej służącym? A co ciekawsze, dlaczego on bez szemrania godzi się na to i robi wszystko, co ona mu każe?

Po chwili namysłu znalazł odpowiedź. Wszystkiemu byli winni jego rodzice, którzy na jego nieszczęście wychowali go w przeświadczeniu, że podeszłemu wiekowi należy się szacunek. Chyba jednak nie przewidzieli istnienia takich typów jak ta piekielna staruszczyzna. Która nie dość, że była wyniosła, impertynencka... Tu zatrzymał się porażony uczuciem nagłego zrozumienia. Przecież to wszystko to była jedynie poza! Owszem, była irytująca, ale gdy tylko się zapominała, stawiała się nawet miła. Trochę nieskładnie mówiła, przeskakiwała z tematu na temat, nieustannie wplatała jakieś, nieistotne z jego punktu widzenia, szczegóły z przeszłości... Tak jakby odwykła od normalnych rozmów. Bo najzwyczajniej w świecie nie miała z kim ich prowadzić. Nie była ani impertynencka, ani wyniosła. Była samotna. I zapewne trochę zdziczała – jak to ludzie, którzy z jakichś powodów odcinają się od świata.

– Nie słyszysz, co się do ciebie mówi? – dotarł do niego jej podirytowany głos. – Zdejmij z niej te rzeczy, bo się zgrzeje!

– Tak, ma pani rację – powiedział niezwykle łagodnie. – Tylko wolałbym upewnić się, że ona nie ma gorączki. Ma pani termometr?

– Zaraz przyniosę. – Ku jego zaskoczeniu nawet nie próbowała dyskutować i wyszła z pokoju.

Dopiero gdy zniknęła za drzwiami, Konstanty pochylił się nad leżącą dziewczyną i delikatnym ruchem odgarnął jej długie jasne włosy z zaróżowionego, rozgrzanego policzka. Była taka drobna i krucha. I bezbronna.

Boże, a co jeśli to ja przyczyniłem się do tego, że ona jest właśnie w takim stanie? I ile jeszcze osób z mojej winy może tak skończyć? – pomyślał z nagłą rozpaczą i aż skulił się na myśl o tym, jak wielki ciężar spoczął na jego ramionach. Czuł go już o wiele wcześniej, ale co innego przypuszczać, a co innego mieć przed sobą namacalny dowód.

Cóż, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby jej jakoś zadośćuczynić – postanowił, zabierając się do rozpinania kurtki śpiącej dziewczyny. Szło mu całkiem nieźle, pomimo że pod szyją troczki były zasupłane. Ale w końcu był specjalistą od rozplątywania węzłów i supłów. Wyłuskał ją z wierzchniego ubrania i otulił kołdrą. Miał ochotę przez moment przy niej posiedzieć, posłuchać jej równego oddechu, ale w pokoju bezszelestnie niczym duch pojawiła się Nela i bezpardonowo odsunęła go od łóżka, przytykając elektroniczny termometr do czoła leżącej.

– Trzydzieści siedem i dwa – zakomunikowała mu po chwili. – Jest przemęczona. Wyśpi się, to i stan podgorączkowy zniknie. Słuchaj, Kostek... A właściwie nie! Cały czas mi ten Kostek w zębach zgrzyta. Nie mogę tak do ciebie mówić. Ledwo to wypowiem, a już przed oczami stoi mi ta zabawka z kolorowymi fragmentami, które trzeba odpowiednio ułożyć. Jak ona się nazywała?

– Chyba chodzi pani o kostkę Rubika – odpowiedział i znów donośnie kichnął.

– Na zdrowie. – Staruszka poklepała go po ramieniu, a drugą ręką potrząsnęła grubym materiałem baldachimu, wzniesając kolejny kurzowy podmuch. – Właśnie o to mi chodziło... A teraz, Kotula,

chodźmy do kuchni i napijmy się herbaty.

– Że jak? – Konstanty wybałuszył oczy.

– Jeżeli już, to nie jak, a kto. Kotula. Kiedyś tak sobie radzono z tym niewygodnym imieniem. Kot, Kotula... Ale z tym ostatnim mam miłe wspomnienia. Miałam kiedyś adoratora, który tak się nazywał. W głowie miał niewiele, ale miło było na niego popatrzeć...

– No po prostu przeurocze porównanie – sarknął dla przyzwoitości, ale i tak nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu.

– O, nie bierz tego do siebie. Zresztą to był naprawdę uroczy młodzieniec. I rewelacyjnie wypełniał wszystkie polecenia i prośby. Nawet te najbardziej absurdalne. Ale oczywiście jak na mój gust był zbyt potulny. Dobrze było sobie robić z niego żarty, ale do poważnego traktowania nijak się nie nadawał. Zapamiętaj sobie, mój drogi, że kobiety nie przepadają za potulnymi. W gruncie rzeczy to każda z nas gdzieś tam w głębi serca marzy o przystojnym, szlachetnym draniu. To taka niewinna babska słabość.

– A czy to przypadkiem się nie wyklucza, szlachetny drań?

– Absolutnie. To po prostu mężczyzna z charakterem. Taki, co to umie czule całować i w oczy patrzeć, ale jak trzeba, to rywalowi da po gębie i pięścią w stół huknie. Swoją drogą możesz nie wiedzieć, o czym mówię, bo z moich obserwacji wynika, że to gatunek na wymarciu – dodała, idąc w kierunku kuchni. – A teraz usiądź przy stole, ale z tamtej strony – zadysponowała. – Bo tutaj jak widzisz, wylała mi się herbata – dorzuciła, patrząc na przewróconą filiżankę i plamę na obrusie.

– To może ja to po prostu sprzątnę – zaproponował Konstanty.

– Nie, tak ma zostać do jutra. Żeby mi się w głowie utrwaliło, że jeżeli podejmuje się decyzje pod wpływem chwili, jeżeli wyzywa się Boga na pojedynek, to potem ma się to, o co się prosiło. I nie zawsze to coś wygląda tak, jak myśleliśmy, że będzie wyglądać... A konsekwencje trzeba ponieść. Bo jak się rzuca rękawicę, to zawsze trzeba pamiętać, że wyzwany może ją podjąć.

– Pani ma swoją przewróconą filiżankę, a ja swój plik papierów, które chyba też powinienem położyć gdzieś na widoku, żeby przemyśleć sobie to i owo – mruknął.

– No i widzisz, Kotula, żadne z nas nie powiedziało niczego wprost, a i tak to, co trzeba, zrozumieliśmy. To lubię. A teraz dla odmiany odkryjmy wszystkie karty i ustalmy, co dalej z tym wszystkim zrobimy, daleki kuzynie.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeszcze przez jakiś czas musimy odgrywać tę amatorską sztukę dla jednego widza. Pan doktor Judym, o ile znam ludzi i życie, a uwierz, znam dosyć dobrze, stawi się tu jutro punktualnie o piętnastej. Bo na nieszczęście chyba przejął się swoją rolą i będzie chciał mnie leczyć i doglądać. Początkowo miałam zamiar poprosić tę dziewczuchę, żeby się u mnie pojawiła i odegrała rolę troskliwej wnuczki, ale jak sam zapewne zauważyłeś, zostać została, lecz pożytek z niej będzie

niewielki. Więc sam rozumiesz, kuzynie, że na ciebie spadnie rola opiekuna. To chyba nie powinno być zbyt wielkie wyzwanie, bo wydaje mi się, że i tak byś wrócił zobaczyć, co się dzieje z tą małą niedojdą.

– Pani Nelu, ale czemu mówi pani o niej w ten sposób? Ona była dla pani dobra. Nie ja, bo ja zjawiłem się później. To ona zatroszczyła się o panią. Pomimo tego, że ja na jej miejscu raczej byłbym skoncentrowany na tym, żeby troszczyć się przede wszystkim o siebie. A ona nie była obojętna. Naprawdę chce pani o kimś takim mówić „dziewucha”, „niedojda”? – Spojrzał jej głęboko w oczy z taką intensywnością, że starsza pani ze zdumieniem poczuła wypełzający na policzki rumieniec wstydu.

– A bo jakoś tak mnie zirytowała tą niezgrabnością, brakiem zdecydowania – mruknęła tonem usprawiedliwienia. – Poza tym nie wiem, jak ma na imię, a jakoś chyba muszę o niej mówić... Ale masz rację, Kotula. Masz rację i co więcej, w ogóle nie jesteś potulny – dodała pozornie bez związku, niemniej Konstanty natychmiast zrozumiał, że w taki oto zawołany sposób staruszka powiedziała mu komplement.

– Rozumiem, że nie wszystko stracone i jeszcze mam szansę stać się takim szlachetnym draniem – roześmiał się, patrząc, jak Nela z trudem podnosi ciężki czajnik pełen gotującej się wody.

W pierwszym momencie chciał się zerwać i pomóc, ale przypomniał sobie, co starsza pani mówiła wcześniej: nadgorliwość jest gorsza od faszyzmu. Widać było, że Nela nie chce pomocy. Że jest we własnej kuchni i na własnych zasadach chce podjąć gościa. Powstrzymał więc swoje samarytańskie zapędy i pomyślał, że jeżeli będzie czegoś chciała, to zapewne da mu do zrozumienia, że jest potrzebny.

– To jak z tymi szansami na podtrzymywanie wymierającego gatunku? – powtórzył pytanie.

– Cóż, jak będziesz dużo ćwiczyć i jeść co rano owsiankę, to może wyrośnie z ciebie coś porządnego. – Uśmiechnęła się szelmowsko i ku zdumieniu Konstantego mrugnęła do niego porozumiewawczo.

A potem ustalili, że jutro zjawi się u niej na godzinę przed planowanym przyjściem doktora, i wymienili się numerami telefonów.

– Komórki pani nie ma? – zapytał, zapisując stacjonarny.

– Mam, tam, pod schodami – powiedziała, patrząc na niego niewinnie.

– No dobrze, to ja na wszelki wypadek jeszcze przed pracą, rano, zadzwonię, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku – zapowiedział, po czym podniósł się i skierował w stronę wyjścia.

– Nie musisz. Gdyby coś się działo, potrafię wykręcić tych parę cyfr. – Zamachała mu przed nosem kartką z zapisanym numerem.

– Mimo wszystko zrobię po mojemu...

– A jeżeli coś się pokomplikuje, to przylecisz tu ratować nas z opresji...

– Cóż, taka moja rola. To sobie dzisiaj obiecałem.

– A co cię, chłopcze, skłoniło do składania takich brzemiennych w skutki obietnic?

– Pani Nelu, tak jak już wspominaliśmy, pani ma swoją przewróconą filiżankę, a ja plik papierów i złożoną w związku z tym obietnicę... I niech tak zostanie.

– To uczciwa propozycja. – Pokiwała głową i podała mu dłoń, nad którą natychmiast się pochylił.

– Do widzenia, pani Nelu, i gdyby coś...

– Będę dzwonić. I nie bój się, dopilnuję tej małej nie... nieszczęśnicy – poprawiła się w ostatnim momencie. – Lubię cię, Kotula – dodała nieoczekiwanie dla samej siebie i zdumiona zakryła dłonią usta.

Widząc jej zakłopotanie, Konstanty nie mógł się powstrzymać i roześmiał się głośno.

– Też panią lubię, choć był taki moment, że wydawało mi się, że jest pani prawdziwą jędzą – wyznał.

– To poniekąd komplement. Jędze zawsze wydawały mi się bardziej interesujące od księżniczek i królewien – odpowiedziała i zapaliła mu na klatce schodowej światło.

Poczekwała, aż usłyszy charakterystyczne skrzypienie bramy, i dopiero wtedy weszła z powrotem do mieszkania i przekręciła klucz w zamku. Po krótkim namyśle wyjęła go i zabrała ze sobą. Wolą nie ryzykować. Obiecała Kotuli, że dopilnuje dziewczyny, i już chociażby z tego powodu miała zamiar zrobić wszystko, by słowa dotrzymać. Ale poza tym było coś jeszcze, o czym nie wspomniała Konstantemu. Otóż wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że to chuchro, szare i zziębnięte, jest jej prywatnym cudem. A cudów nie należy gubić ani pozwalać im zdezerterować.

Myśląc o tym wszystkim, Nela podreptała jeszcze do pokoju, w którym spała dziewczyna. Zapaliła na szafce lampkę nocną i popatrzyła na leżącą. W ogromnym łóżku, na tle poduszki obleczonej w poszewkę z wieloma falbanami wydawała się jeszcze drobniejsza, niż była w istocie. Nela odchyliła nieco kołdrę i przyjrzała się uważnie dziewczynie.

– Jednak miałam rację. – Zafrasowana pokiwała głową. – Miałam rację...

Przykryła ją na powrót i przyłożyła dłoń do jej czoła. Nie było cieplejsze niż poprzednio. Nie potrzebowała termometru, by to stwierdzić. Wcześniej przyniosła go tylko po to, żeby uspokoić Kotulę i żeby mógł zobaczyć czarno na białym, że chuchro ma się całkiem dobrze.

Cicho wyszła z pokoju i poszła do łazienki. Zamierzała wziąć kąpiel, ale ledwo weszła do wyłożonego kremowymi kafelkami pomieszczenia, poczuła, że chyba da sobie spokój. Była bardzo zmęczona, ledwo trzymała się na nogach.

Tylko tego brakuje, żebym znów straciła przytomność i utopiła się we własnej wannie. Albo nie mogła z niej wyjść i wyziębiła się na śmierć... Albo źle stanęła i złamała skreconą nogę...

– Nic z tego – zwróciła się do starej mosiężnej wanny stojącej na wdzięcznie wygiętych lwich łapach. – Nic się nie stanie, jeżeli raz pójdę spać nieumyta... Nadrobię to jutro. Jutro też spróbuję

wybadać naszego tajemniczego Kotulę, czym się zajmuje. Bo mam jakieś takie niejasne przeczucie, że pracę ma intrygującą... I ubrany był w bardzo porządny garnitur, pod krawatem... Trzeba wydobyć z niego nieco szczegółów. A pewnie nie będzie to łatwe, bo widać było, że nie bardzo chce na ten temat rozmawiać – mruzczała, idąc do sypialni.

Siedziała na skraju łóżka i rozważała jeszcze przez moment, czy nie zmusić się i nie przebrać w koszulę. Ale w końcu machnęła na to ręką.

Jak szaleć, to szaleć – pomyślała, ziewając rozdzierająco. – Brudna i nieprzebrana do snu! Mam nadzieję, że ani mama, ani babcia się o tym nie dowiedzą. To by im na pewno zakłóciło wieczny odpoczynek. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać panienkom z dobrych domów. I jak przypuszczam, wdowom też nie. Ale, o dziwo, mam to w nosie. Jutro wszystko nadgonię. – Uśmiechnęła się z zadowoleniem i naciągnęła na siebie kołdrę.

Po raz pierwszy od wielu lat usypiała z myślą, że kolejny dzień przyniesie jej wiele zaskakujących zdarzeń. I że ma co robić i kim się zająć, i na co czekać. I było to nadspodziewanie miłe uczucie. Zасыpiając, Nela uświadomiła sobie, że oto – paradoksalnie – układając się do snu, budzi się do życia.

Było już grubo po północy, gdy wiatr nieco ucichł i już nie uderzał w okna z całym impetem, a zaledwie muskał szyby delikatnymi podmuchami. Ciężkie chmury nieco się rozwiały i gdzieś na granicy nieba pojawiły się gwiazdy. Zrobiło się cicho w ten wyjątkowy, charakterystyczny sposób, który poprzedza nadejście czegoś szczególnego i magicznego. I w tej ciszy płatek po płatku, wirując w powietrzu, zaczął padać śnieg. Miętko otulał ławki, krawężniki, opadał na gołe, zmęczone listopadem konary drzew. Zaokrąglął ostre załamania dachów, zakrywał szarość ulic. I nastał grudzień. Dzień pierwszy.

PIERWSZY GRUDNIA



Następnego dnia Gabrysia nadal nie mogła otrząsnąć się ze zdumienia i w końcu poczuła, że jeżeli komuś się nie wygada, niechybnie pęknie. Jak zwykle w takich sytuacjach padło na Lilkę.

– Słuchaj, muszę ci coś opowiedzieć – zaczęła bez zbędnych wstępów, natychmiast, gdy przyjaciółka odebrała telefon. – Nie uwierzysz, co ja wczoraj przeżyłam! Nadal jestem w ciężkim szoku i nie wiem, kiedy mi przejdzie, i po raz pierwszy żałuję, że nie pracuję tam gdzie ty. Przynajmniej miałabym możliwość o tym napisać...

– Gdybym za każdym razem, kiedy jestem w szoku, o tym pisała, z miejsca by mnie wywalili. A teraz weź kilka głębokich oddechów i zwolnij trochę – poradziła jej Lilka. – Strasznie się ekscytujesz.

W komórce jak zwykle dało się słyszeć odgłos uruchamianej zapalniczki.

– Też byś się na moim miejscu ekscytowała! Pół nocy nie mogłam spać, bo mnie koszmary prześladowały! – mruknęła nerwowo Gabrysia.

– A co, miałam rację i ta twoja Anielica wpędziła cię w kłopoty?

– O czym ty na litość boską mówisz? Jaka anielica?

– No ta od Michała Anioła...

– A gdzie tam, to nie ma z nią nic wspólnego, chociaż to też mnie martwi.

– To, że nie masz przez nią kłopotów? Moja droga, coś mi się wydaje, że przeżywasz opóźniony kryzys wieku średniego. Zachowujesz się jak wariatka.

– Martwię się tym, że jeszcze się nie pojawiła. W nocy było naprawdę zimno...

– I spadł śnieg – dopowiedziała usłużnie Lilka. – Dużo śniegu.

– Ty to wiesz, jak człowieka dobić – mruknęła Gabrysia, podchodząc do okna. – Moim zdaniem to było tylko preludium. Dzisiaj jeszcze będzie sypać. I to solidnie. Teraz jest tylko krótka przerwa.

Powiedziawszy to, zapatrzyła się w zasłane ciężkimi, sinawymi chmurami niebo. Widać w tym roku grudzień postanowił wziąć sobie do serca swoje powinności i już od pierwszego dnia miał zamiar

śnieżyć i mrozić.

– Nie zamierzam cię dobijać, tylko uświadomić ci, że widać ta twoja Anielica umie sobie dać radę bez ciebie – przez jej myśli przebił się chropowaty głos Lilki. – Gdyby była taką ciapą, jak opisywałaś, na pewno by nie zrezygnowała z możliwości ogrzania się i opieki. Więc sama widzisz... Pewnie przestraszyła się, że zmieniłaś zdanie, i będzie musiała oddać kurtkę. A może przehandlowała ją i kupiła jakieś tanie wino i jeszcze nie doszła do siebie...

– Lilka, jesteś okropna!

– Uwierz, nie jestem okropna, tylko po prostu znam życie. I wiele takich cwaniar już widziałam. Ale skoro to nie ona jest bezpośrednią przyczyną twojego wzburzenia, to co takiego się stało? Możesz spokojnie mówić. Utknęłam w korku i nie wygląda na to, żeby w najbliższym czasie coś miało się zmienić. Pierwszy śnieg jak zwykle sparaliżował to i tak wiecznie zapchane miasto. Mam czas i zamieniam się w słuch. Zaczynaj!

– Książka dla dzieci wykończyła mnie psychicznie – wyznała Gabryśka z westchnieniem. – Paulinka była u nas wczoraj i chciałam jej poczytać na dobranoc. A że do świąt coraz bliżej, umyśliłam sobie, że wprowadzimy się w nastrój. Wiesz, jak jest u mojej córki. Monika jest strasznie zaganiana, tata małej znów jest w trasie, dobrze, że przynajmniej uda mu się wrócić na święta do domu, ale bycie kierowcą tira nie sprzyja życiu rodzinnemu. Więc...

– Gabryśka, znam twoją rodzinę od lat. Przypominam, że jestem matką chrzestną Moniki, więc możesz darować sobie ten wstęp. Wiem, jak moja chrześnica ciężko pracuje i że ma stale nieobecnego męża. Dawaj dalej.

– No i zaczęłam czytać. Po pierwszej opowieści musiałam nieźle się nagimnastykować, żeby wyjaśnić Paulince, czemu zamiast Mikołaja prezenty przyniósł sąsiad. W końcu udało mi się ją przekonać, że po prostu tak się szczęśliwie złożyło, że sąsiad był pomocnikiem świętego, elfem. Dzisiaj rano dostałam za te kłamstwa, bo Paulinka podejrzliwie obejrzała wszystkich sąsiadów i pana Stasia, wiesz, tego staruszka z naprzeciwka, zapytała nawet, czy przypadkiem nie jest elfem...

– I co, jest? – roześmiała się Lilka.

– Na całe szczęście pan Stasio też ma wnuki i nic, co związane z byciem dziadkami, nie jest mu obce. Stanął na wysokości zadania i bez mrugnięcia stwierdził, że w życiu miał się różnych zajęć, ale o tym sza, bo to tajemnica. Żebyś ty widziała, z jakim nabożnym szacunkiem patrzyła później na niego moja wnuczka! Kazała mu nawet dać list do Świętego Mikołaja, coby szanowny święty dostał listę życzeń bezpośrednio.

– To jej dobrze wróży. Dbą o swoje interesy i szybko wyciąga wnioski – zakaszła do słuchawki Lilka.

– Ale to wszystko, o czym ci powiedziałam, to był pikuś w porównaniu z tym, co dopiero miało nastąpić. Dramat zaczął się przy legendzie o Świętym Mikołaju.

– A co może być dramatycznego w naszym starym, brodatym poczciwcu? – zainteresowała się zdumiona Lilka.

– No widzisz, a cały czas mi wytykasz, że tylko ja jestem naiwna. Brzmiało niewinnie, prawda? Opowieść zaczyna się od matki, która miała trzech synów, biedni byli, skończyła im się mąka, matka wysłała chłopców po pozostałe po żniwach kłosa.

– Swoją drogą nie bardzo rozumiem, o co chodzi w bajkach z tym wysyłaniem nieletnich po żywność – wtrąciła Lilka. – W kółko te biedne dzieci musiały po coś biegać. Żeby jeszcze wtedy ich matki były ograniczone etatem, kartę musiały odbijać, tobym zrozumiała, ale chyba za tymi siedmioma morzami jeszcze takich wynalazków nie było...

– Też mnie to zastanawia, ale mniejsza o większość. W każdym razie chłopców zaskoczył zmierzch, zgubili drogę i w oddali zobaczyli migoczące światło.

– Aha, i zapewne w te pędy pognali do oświetlonego domu stojącego na pustkowiu. No i co na mnie trąbisz, baranie jeden? – prychnęła rozeźlonym tonem. – Mówię ci, ludzie, którzy tkwią w korkach, zamieniają się w bestie...

– Dlatego ja jeżdżę tramwajami.

– Dobrze, dobrze, mądralo. Gdybym i ja nimi jeździła, to ciekawe, kto by cię wczoraj dostarczył do domu... Ale wracając do tematu, to co z naszymi nierozważnymi dziećmi? Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu ta twoja historia mnie wciągnęła. Czy to będzie coś w stylu Jasia i Małgosi?

– Coś ty! Nasza stara Baba Jaga to wcielenie dobroci w porównaniu z tym kimś, kto mieszkał w owej chałupce. Otóż chłopcy dotarli do domku, zapukali, a drzwi otworzył im... No, może zgadniesz?

– A bo ja wiem... Jak nie Baba Jaga, to może jakaś inna wiedźma. Albo olbrzym... O ile sobie dobrze przypominam, to chyba oni mieli takie specyficzne hobby i uwielbiali pożerać dzieci.

– Pudło, moja droga. Mianowicie drzwi otworzył im nie kto inny, tylko rzeźnik w krwistoczerwonym fartuchu.

– Rzeźnik? – zdumiała się Lilka. – No to za naszych czasów nawet bajki były przyzwoitsze. A co ten rzeźnik biduła robił sam w osamotnionej chatce?

– Do tego za moment dojdziemy. Chłopcy zobaczyli rzeźnika, powiedzieli dzień dobry, ale nic więcej nie zdążyli, bo rzeźnik ich zabił, przyprawił i zakonserwował w solance.

– Słucham? – wydukała Lilka. – Co zrobił?

– No to, co słyszałaś. Przerobił ich na wyroby garmazeryjne. Wyobraź sobie moją konsternację, gdy to przeczytałam. Paulinka oczami wielkimi jak spodki popatrywała to na mnie, to na rysunek umieszczony na stronie obok. A na rysunku był kto?

– No chyba nie ten zwyrodniały rzeźnik w trakcie dokonywania zbrodni?

– Nie, rzeźnika tam nie było. Był za to Święty Mikołaj, który pochylał się nad skrzynią

z zakonserwowanymi chłopcami. Skojarzenie było oczywiste. I naturalnie z miejsca padło pytanie: „Babciu, to Mikołaj jest RZEŹNIKIEM?!”. Mówię ci, w jej głosie było tyle samo przerażenia, ile fascynacji. A jakby tego było mało, stanowczo zażądała wytłumaczenia jej, co to jest solanka!

– I co zrobiłaś?

– A co mi pozostało? Wiesz, że zawsze uważałam, że dzieciom należy wyczerpująco odpowiadać na pytania. Znękana wyjaśniłam najdokładniej, jak umiałam, co to znaczy konserwować, jak się robi solankę, i stanowczo zapewniłam, że Mikołaj z przetwórstwem mięsnym nie ma nic wspólnego. Potem zaproponowałam, że może jednak poczytamy coś innego. Ale o tym mowy nie było! W sumie to co się dziwić? Mała, która do tej pory była karmiona bajeczkami o misiach, kotkach, względnie piratach, w życiu nie słyszała o kimś tak przerażającym jak RZEŹNIK. Chcąc nie chcąc, dokończyłam „bajkę”.

– A wiesz, ja tam jej się nie dziwię. Szczerze mówiąc, też zżera mnie ciekawość, co to wszystko ma wspólnego z legendą o Mikołaju.

– Proszę bardzo. Służę wyjaśnieniem. Otóż matka bardzo rozpaczała po zaginięciu dzieci, aż w końcu tę rozpacz dostrzegli aniołowie w niebie i jako agenta zero zero siedem wysłali do rzeźnika Świętego Mikołaja. I teraz mamy powtórkę z rozrywki: Mikołaj idzie, puka do drzwi, otwiera mu rzeźnik w krwistoczerwonym fartuchu.

– O Matko Boska, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zasolankował świętego?

– Też mi to przemknęło przez moją biedną, spanikowaną głowę. Ale na całe szczęście rzeźnik przed Mikołajem odczuwał mało zrozumiały, przynajmniej dla mnie, respekt i wpuścił go do środka, proponując poczęstunek. Jednak Mikołaj był twardy! Nie chciał ani szynki, ni baleronów, ni połączeń schabów! On chciał tylko tego, co Rzeźnik trzymał w solance!

– Rany Julek! Cokolwiek brał ten autor w czasie pisania, następnym razem powinien zażyć połowę tego!

– Rzeźnik przeraził się i uciekł, Mikołaj wskrzesił dziatki z solanki i odtąd uważany jest za patrona grzecznych dzieci. Końcówka, czekaj, specjalnie z myślą o tobie zapisałam, brzmi: *Od tego dnia Święty Mikołaj uznawany jest za patrona grzecznych dzieci, którym co roku 6 grudnia przynosi słodycze i podarki. A co z niegrzeczными maluchami? Te niestety dostają tylko różgi!*

– Jest w tym pewna niekonsekwencja. Jeśli chcieć nawiązać do treści, zamiast różgi powinien przynosić pojemnik z solanką – ubawiła się Lilka. – To jednym słowem zafundowałaś Paulince wieczór pełen wrażeń.

– A daj spokój. Wyobrażasz sobie! Opowieści wigilijne! Czy jest coś, co brzmi bardziej niewinnie?

– Na przykład małe, okrągłe puchate króliczki...

– Obawiam się, że je również nasz szanowny autor wpakowałby do solanki. Wiedziałam

wprawdzie, że w książkach dla dzieci znajdują się różne kwiatki. Bibliotekarka opowiadała mi kiedyś o bajeczce, w której smok kąpał się w krwi uprzednio pożartych królewien... Ale tutaj nawet mi przez myśl nie przeszło, że może być coś takiego.

– Niezły horror. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W taki dość niecodzienny sposób wprowadziłaś Paulinkę w arkana kuchni. Myślę, że do końca życia nie zapomni, co to jest solanka... Słuchaj, muszę kończyć, bo na drodze coś się ruszyło. Już dawno czas w korku nie zleciał mi tak prędko. Mam nadzieję, że teraz już nigdzie nie utknę, bo i tak jestem makabrycznie spóźniona.

– A jak tam twój pożar w redakcji?

– Jak na razie bez zmian. Pali się tak, jak się paliło. Od wczorajszego wieczoru niewiele udało mi się zdziałać. A o tej twojej świątecznej książce warto wspomnieć. Ku przestrodze. Oczywiście nie jako główny temat...

– No coś ty, nie chcesz mieć na rozkładówce świątecznego numeru rzeźnika i jego solankowych eksperymentów? – zakpiła Gabrysia. – I Mikołaja z toporem?

– Ciekawa opcja... Jeżeli poziom mojej desperacji przekroczy dopuszczalne normy, na pewno skorzystam. A teraz naprawdę kończę, bo jak mnie policja złapie z tym telefonem, to wlepią mi mandat. Odezwę się wieczorem – powiedziała i już po chwili w telefonie zadźwięczał sygnał przerwanej połączenia.

Gabrysia wsunęła komórkę do kieszeni długiego swetra i głęboko odetchnęła. Teraz, gdy się wygadała, cała ta koszmarna historia nawet ją śmieszyła. Ale wystarczyło, że spojrzała za okno, i momentalnie spoważniała. Za szybą grudniowy półmrok przecinały białe punkciki. Chmury spełniły swoją milczącą obietnicę i znów zaczynało sypać. Posplatane misternie gwiazdeczki migotały, lśniły i lekko osiadały na ziemi.

Kwaciarka posępnie pokręciła głową i spojrzała pod biurko, gdzie stał pakunek, który wczoraj wręczyła jej dziewczyna. Wtedy była przekonana, że jest to swoista gwarancja jej powrotu. Teraz nie była już tego taka pewna.

A jeśli tej małej coś się stało? – pomyślała i jeszcze raz spojrzała za okno. Śnieg rozpadał się na całego...

Było bardzo zimno; śnieg padał i zaczynało się już ściemniać – przemknęło jej nagle przez głowę i w tej samej chwili zamarła. To był fragment *Dziewczynki z zapalkami*. Jednej z ulubionych baśni jej dzieciństwa. Znała ją tak dobrze, że na swoje nieszczęście mogła cytować fragmenty z pamięci. Z miejsca przypomniała sobie, jak wczoraj Michalina na odchodnym powiedziała, że nie na każdego tam na zewnątrz czekają szeroko otwarte drzwi. Gabrysia bezwiednie zacisnęła dłonie i jeszcze raz zerknęła za okno. Oczywiście nic tam się przez te parę sekund nie zmieniło. Śnieg padał, było sennie i cicho. Zupełnie jak w tej nieszczęsnej bajce – pomyślała znąkana.

Płatki śniegu padały na jej długie, jasne włosy, które tak pięknie zwijały się na karku, ale ona nie myślała wcale o tej

ozdobie. Ze wszystkich okien naokoło połyskiwały światła i tak miło pachniało na ulicy pieczonymi gęsmi.

A potem:

I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spozierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki – ale tu zgasła zapalka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

– Ktoś umarł! – powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga.

– Matko Przenajświętsza, jaka ja byłam głupia – zaszepotała do siebie. – Jak strasznie głupia! Jeżeli tej małej cokolwiek się stanie, to będzie moja wina! Moja wina, bo ten, kto biernie akceptuje zło, jest za nie tak samo odpowiedzialny jak ten, co je popełnia*. A ja chciałam się wykpić od odpowiedzialności wciśnięciem jej w rękę kurtki!

I nie chodzi tu o to, że Lilka i Krzysztof (swoją drogą mąż ją zaskoczył, bo gdy opowiedziała mu o ziębniętej dziewczynie, stwierdził, że kurtka to rzecz nabyta, a przecież przede wszystkim liczy się człowiek, i że on na jej miejscu zrobiłby to samo) nie mieli racji, twierdząc, że należy po prostu zrobić tak dużo, jak można. Bo mieli. Tyle tylko, że ona mogła więcej. Widziała, jak wiatr przybiera na sile, miała świadomość, że robi się coraz zimniej, a jednak pozwoliła Michalinie odejść. Wiedząc, że nikt przed nią nie otworzy drzwi, nie nakarmi jej i nie ogrzeje. I ona na to przystała. I jeżeli... Nie miała odwagi dokończyć zdania, poczuła tylko, jak ciasna obręcz strachu zaciska się na jej gardle. Zrozpaczonym wzrokiem spojrzała na stojącą na parapecie szopkę i poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

– Zawiodłam was – wyszeptała, spojrzawszy na Marię, Józefa i małego Jezusa. – Zawiodłam was tak samo, jak uczynili to inni wtedy, gdy szukaliście schronienia. Nie otworzyłam w porę drzwi i nie pozostaje mi nic innego, jak modlić się, żeby tej nocy, która już minęła, Michalina znalazła swoją stajenkę. I o to, bym dostała drugą szansę.

I w tym momencie Gabrysia zaczęła czekać. Nie było w tym nic dziwnego, w końcu już od kilku dni trwał adwent, czas oczekiwania. Tysiące ludzi na całym świecie zaczęło uważniej się rozglądać i wyczekiwać powtarzającego się rok w rok cudu. Tyle tylko, że większość czekała z radością w sercu na pierwszą gwiazdkę, opłatek, dźwięki kolęd i narodziny szczególnego dziecka, którego przyjście na świat miało sprawić, że w sercach ludzi zacznie mieszkać miłość. Ona jednak zamiast radości odczuwała trwogę.

– Proszę, niech ona wróci! – zaszepotała, patrząc na anioła.

I w tej samej chwili drzwi kwaciarni się otworzyły. Serce Gabrysi забиło mocniej, lecz już po chwili poczuła ogromne rozczarowanie, bo do środka wtarabaniał się kurier z wielkim pudłem.

– Dzień dobry, pani Gabrielo – przywitał się, z ulgą stawiając karton na biurku. – Tak jak ostatnio pani prosiła, w pierwszej kolejności zajechałem do pani. Rozumiem, że to te materiały na wieńce świąteczne?

– Dziękuję, panie Wojtku. – Z miejsca przykryła uśmiechem wyraz rozczarowania i zerknęła na naklejkę z danymi nadawcy. – Dokładnie to, na co czekałam. Już najwyższy czas, żeby zacząć robić dekoracje. Moja babcia zawsze mówiła, że przygotowania do świąt należy rozpocząć pierwszego grudnia. W zeszłym roku wieńce cieszyły się ogromną popularnością, mam nadzieję, że w tym będzie podobnie. Dostałam już nawet kilka indywidualnych zamówień.

– Proszę i mnie dopisać. Żona była w zeszłym roku zachwycona tym, który od pani dostaliśmy. Nikt z rodziny ani ze znajomych nie miał tak ślicznych bombek jak te, które wplotła pani w nasz wieniec. Tylko tym razem nie godzę się na prezent, tylko uczciwie zamawiam. I dodatkowo gdybym mógł prosić o takie maleńkie wianuszki... Takie, co to w nich można ustawić świecę... cholera, zapomniałem, jak to się nazywa. Żona mi kilka razy powtarzała...

– Stroiki – uśmiechnęła się do niego. – Zrobi się, tylko proszę mi powiedzieć ile. I na cienkie czy na grube świeczki?

– Szesnaście sztuk. Na cienkie. Mamy w tym roku zjazd rodzinny. Stół będzie się ciągnął przez cały salon. Samych dzieciaków będzie prawie dziesięć sztuk.

– Jak to prawie? – Gabrysia zaintrygowana uniosła brwi.

– A bo dziewiątka takich, co to już nieźle rozrabiają, a dziesiąte dopiero w drodze. No to prawie. I to będzie mój pierwszy wnuk. Wnuczki mam już trzy, ale teraz ma być chłopak.

– No to zapowiadają się piękne święta – roześmiała się.

– I choinka będzie taka, jakiej jeszcze nigdy nie mieliśmy. Bo wie pani, my dwa lata temu przeprowadziliśmy się do domu. Do tej pory mieszkaliśmy w bloku. Miejsca było mało, to trzeba było dostosować się do warunków. Ale teraz w tym naszym salonie to gdybym się uparł, to cały lasek bym ustawił! A zawsze marzyliśmy z żoną o przestrzeni, o takich świętach, gdzie choinka będzie wielka, aż do sufitu... No to nam się spełniło. Wprawdzie musieliśmy na to długo czekać, ale powiem pani, że ani trochę nie żałuję tego czasu. Gdybyśmy mieli ten wielki dom od samego początku, to pewnie byłoby to dla nas czymś oczywistym. A tak spełniło nam się wielkie marzenie. I jest ogromna radość. I jest z kim przy tym wielkim wigilijnym stole siadać. Bo dzieci nam dorosły, powychodziły za mąż albo się pożeniły. Są wnuki. – Pan Wojtek rozgadał się na całego. – Teraz jest sens i jest czym taką przestrzeń wypełnić. Moja żona mówi, że mamy tam mnóstwo miejsca. I że każdy skrawek zapełnimy miłością. No i właśnie w związku z tym mam takie mało dyskretne pytanie...

– *À propos* tej miłości? – zdumiała się Gabrysia.

– *À propos* miejsca i gabarytów. Bo tak jak wspomniałem, będziemy mieć ogromne drzewko. A właściwie nie mamy ozdób. W zeszłym roku mieliśmy choinkową katastrofę. Nie wiem, czy pani kojarzy takie zdjęcie, które krążyło w internecie. Na pierwszym planie pies, za nim przewrócone drzewko i napis: „Jak dobrze, że wróciłeś, choinka właśnie zemdląła”... Otóż nam się to akurat przytrafiło.

– Cóż, widać to częsta przypadłość świątecznych drzewek, bo nasze w tamtym roku też biedactwo padło zemdlone – roześmiała się Gabrysia. – Marcepanowi, naszemu psu, bardzo zasmakowały pierniczki, które razem z wnuczką rozwiesiliśmy. Niestety, były powieszona również wysoko, a biedny Marcepan nie opanował trudnej sztuki wspinania się po gałęziach... Ale wracając do tematu, nie bardzo rozumiem, gdzie tu niedyskrecja.

– Chodzi o te bombki, którymi w zeszłym roku przyozdobiła pani wieniec. Gdzie je pani kupuje? Są piękne i oryginalne. Chętnie nabylibyśmy kilka kompletów.

– Robię je sama. Obklejam, złocę, ozdabiam perełkami... Jeżeli pan będzie chciał, mogę też zrobić z waszymi rodzinnymi zdjęciami.

– Naprawdę? To w takim razie muszę tylko ustalić z małżonką szczegóły i jeszcze w tym tygodniu dam znać, ile czego nam potrzeba. Pani Gabrysiu, czemu pani się z tym bardziej nie reklamuje? Ma pani talent, na pewno chętnych byłoby więcej.

– Może ma pan rację... Trzeba by było o tym pomyśleć, tylko cały szkopuł w tym, że obawiam się, że nie starczy mi na to czasu. Kilka indywidualnych zamówień to co innego niż kilkadziesiąt. Ale w tym roku i tak zamierzam poszerzyć ofertę i na pewno na wieńcach i bombkach się nie skończy. Proszę do mnie zaglądać, może coś jeszcze się panu spodoba – dodała z uśmiechem i w tym samym momencie zadzwieczał dzwoneczek wiszący nad drzwiami.

Gabrysia poderwała się zza biurka, ale i tym razem nie zobaczyła w drzwiach drobnej postaci. Zamiast niej do kwaciarni wturlała się obsypana śniegiem, korpulentna osoba, owinięta szczelnie szalikiem, w grubej wełnianej czapie nasuniętej nieomal na oczy. Osoba ta dzierżyła w wyciągniętych dłoniach owinięte w bąbelkową folię pudełko, które z rozmachem postawiła przed zaskoczoną Gabrysią.

– To ja będę uciekał. – Pan Wojtek uklonił się i wycofał w kierunku wyjścia. – Jutro albo pojutrze wpadnę z konkretnymi dotyczącymi bombek.

– Im szybciej, tym lepiej, bo do świąt wbrew pozorom nie zostało dużo czasu. A zamówienie na stroiki i wieniec już zapisałam – zawołała za nim. – Dzień dobry. Czym mogę służyć? – zwróciła się następnie do obtupującej zaśnieżone buty kobiety.

– Radą. Moja koleżanka, podobno pani stała klientka, Alicja Spichlewska...

– A tak, pani Alutka – rozpromieniła się na samo jej wspomnienie Gabrysia. – Bardzo ją lubię. – Uśmiechnęła się promiennie.

– Tym lepiej. Tak jak już wspomniałam, to Alicja przysłała mnie tutaj, mówiąc, że prowadzi pani... Cóż, trudno mi nawet głośno to powiedzieć z obawy, żeby mnie pani nie wyśmiała, jeżeli to tylko żart Alicji. Z nią nigdy nic nie wiadomo. – Nachyliła się w stronę Gabrysi i konspiracyjnie zaszeptała: – Ostry dyżur?

– Tak, środa to specjalny dzień dla tych, którzy mają kłopot z chorującymi roślinami. – Gabrysia z trudem zachowała powagę. – Proszę się nie martwić, sporo ludzi tu przychodzi ze swoimi kwiatami...

– Kamień z serca! Bałam się, że Alicja znów stroi sobie ze mnie żarty. Tym bardziej, że sprawa dotyczy Józeczka, a nie wiedzieć czemu ona go wręcz nie znosi. W każdym razie specjalnie doczekałam do tej środy, choć już w poniedziałek powinnam tu być. Ale skoro to dziwne pogotowie działa tylko w określony dzień tygodnia, nie chciałam okazać się natrętem...

– Jeżeli to było takie naglące, to nie trzeba było czekać. – Kwiaciarka sięgnęła po kartonik owinięty folią. – Rozumiem, że tam mamy naszego potrzebującego, Józeczka? – zapytała z błyskiem sympatii w oczach.

Lubiła ludzi, którzy nadawali swoim roślinom imiona. Zwykle okazywali się bratnimi duszami.

– Gdzie? – Kobieta rozejrzała się z lekką paniką w oczach.

– No w pudełku... Mówiła pani, że rzecz dotyczy Józeczka, myślałam, że to nasz pacjent...

– Ależ mnie pani przeraziła. – Korpulentna dama złapała się widowiskowo za serce. – Gdyby on tu się pojawił, toby było nieszczęście!

– Nic z tego nie rozumiem... – wyznała Gabrysia niezdecydowanie, obracając pudełko w dłoniach.

– Józeczek to mój narzeczony. A w tym kartonie jest ten nieszczęsny badył!

I to by było na tyle, jeżeli chodzi o bratnie dusze – skwitowała w duchu Gabrysia swoje wcześniejsze przemyślenia.

– Badył, powiada pani... – mruknęła, stawiając pudełko na biurku.

– Dokładnie. Dostałam go pół roku temu od Józusia, wie pani, mojego narzeczonego. – Tu kobieta oblała się krwistym rumieńcem. – I miał rosnąć i się rozwijać jak nasza miłość. Wie pani, ja nie jestem przesądna, ale za to Józus to co innego. On we wróżby wierzy, karty stawia, horoskopy namiętnie czyta. Więc jak zobaczy ten kwiatek w takim stanie, to ja nie wiem, co on sobie pomyśli. Ale obawiam się, że nie będzie to nic dobrego! Bo skoro on sobie wmówił, że to ma być obraz naszej miłości...

– Zaraz zobaczymy... – Gabrysia delikatnie otworzyła karton i wydobyła z niego doniczkę, a na widok kwiatu aż westchnęła. – To przecież koci kwiat, piękny i niezbyt popularny!

– Tak? A Józus mówił coś o nietoperzu...

– Zgadza się, bo jest też nazywany kwiatem nietoperza. Przeląła go pani i trochę zaziębiła. – Gabrysia z czułością pogładziła zielone listki. – Co malutki, złapało cię złośliwe chrypsko, prawda? –

przemówiła do niego pieszczotliwie.

– Naprawdę można to zaziębić? No to pięknie! Józus gotów mnie porzucić, bo nie daj Boże spojrzysz na tego tam nietoperza czy innego kota i wysnuje wniosek, że nic dobrego go ze mną nie czeka! A przyjeżdża za dziesięć dni!

– Dopiero za dziesięć dni? – Gabrysia na moment oderwała się od oglądania kwiatowego arystokraty.

– No tak, on na razie jest przyjezdnym narzeczonym, bo jeszcze nie zdążył wziąć rozwodu... Jakieś straszne ma problemy, biedactwo, z tą swoją niedługo byłą żoną.

– Aha, problemy, powiada pani.

– No tak, a poza tym to tłumaczył mi, że konstelacja gwiazd nie sprzyja teraz takim posunięciom. Ja tam nic z tego nie rozumiem, ale tolerancyjna zawsze byłam. Poza tym co tu dużo mówić, w moim wieku to już nie taka prosta sprawa, żeby znaleźć mężczyznę, który jest w stanie sprostać wszelkim oczekiwaniom. Szczególnie tym konkretnym. Rozumie pani, o czym mówię. – Zatrzepotała sugestywnie rękami. – A ja, co tu dużo ukrywać, mam spore zapotrzebowanie. Zupełnie nie rozumiem moich koleżanek, które uważają, że to już ich nie dotyczy. Może nie miały tyle szczęścia i nie spotkały na swojej drodze nikogo, kto by choć w części był tak biegły w tych sprawach jak mój Józio... Ale cóż, trudno. Chyba pani rozumie, że współczuć, współczuję, lecz dzielić się nim nie zamierzam. Zresztą on nie z tych, co byliby zainteresowani. Wystarczy mu ta jego niedługo była. Ileż on musi się nacierpieć. Ostatnio wspominał, że aż sypialnię musiał przed nią zabarykadować, wyobraża sobie pani taką nachalność?

– Nie, ale za to kolosalną naiwność a i owszem – wypaliła Gabrysia, niewiele myśląc.

– Prawda? Jak ona może jeszcze myśleć, że go uwiedzie. Przecież Józus ma mnie. – Kobieta spleśniała się wdzięcznie, a kwiaciarka pomyślała, że to nie na jej nerwy.

W końcu nie do mnie należy otwieranie oczu wszystkim dookoła. Zresztą nawet gdybym powiedziała jej wprost, co myślę o tym jej Józeczku, to zapewne poskutkowałyby to jedynie tym, że obraziłaby się na mnie śmiertelnie. A tym samym skazałabym tę biedną roślinę na pewną śmierć, bo urażona duma nie pozwoliłaby kobiecie jej u mnie zostawić.

Rozsądnie więc postanowiła zająć się li i jedynie tym, czym powinna.

– To w takim razie może zrobimy tak: pani zostawi mi roślinkę, a ja postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy, by wydobrzała. Mam w domu oranżerię, tam będzie miała odpowiednią temperaturę. Spróbuję też poradzić sobie ze skutkami przelania.

– I uda się, prawda?

– Jest spora szansa.

– To całe szczęście. Nie wiem, co Józusiowi przyszło do głowy z tym zielskiem... Cały czas mu powtarzałam, że nie mam ręki do kwiatów i że owszem, uwielbiam je, ale tylko w formie bukietów.

A on mi taki prezent sprawił.

– Spryciarz – wymknęło się Gabrysi.

– A to czemu?

– A tak mi się tylko powiedziało – mruknęła, zachodząc w głowę, jak można być aż tak zaślepionym.

Wiara we wróżby i w znaki! Dobrze sobie. Łebsko to sobie Józus rozpustnik wykombinował. Podarował biednej, niemającej zamiłowania do roślin kobiecie wymagający i rzadki kwiat i tylko czekał, aż padnie, żeby bezboleśnie wymiksować się z układu, który zapewne w jego mniemaniu zaszedł za daleko.

– Zabieram go w takim razie na dziewięć dni. A potem go pani odbierze – dodała i z żalem popatrzyła na roślinę.

Szkoda jej było pięknego okazu, który niechybnie w niedoświadczonych i mało troskliwych rękach skazany był na śmierć.

– To w takim razie będę za dziewięć dni. Proszę pamiętać, że teraz moje szczęście jest w pani rękach.

Z tymi słowami znajoma pani Alutki wyfrunęła z kwaciarni, owijając się długą szaliką. Po chwili jednak na powrót wsunęła się do środka.

– Tak? Coś jeszcze? – Gabrysia spojrzała na nią wyczekująco.

– Właściwie tak. Chciałam zapytać, czy poza środowym ostrym dyżurem dla potrzebujących roślin nie prowadzi pani przypadkiem hotelu?

– Hotelu? – zdumiała się Gabrysia.

– No tak. Dla psów są, dla koni są, to może i dla roślin też by mogły być... wiem, że brzmi to dziwnie, ale pogotowie ratunkowe dla kwiatków również może budzić zastanowienie, a jednak pani je prowadzi – tłumaczyła nieco zmieszana.

– Fakt. Ale to tylko dlatego, że wiem, że czasem ludzie nie mają pojęcia, jak pomóc roślinie albo ją uratować. Widzą, że coś jest nie tak, i z miejsca taki biedak w doniczce ląduje na śmietniku. A często wystarczyłoby o niego odpowiednio zadbać. Mam takich kwiatkowych ozdowieńców całkiem sporo...

– Naprawdę przeszukuje pani śmietniki? – Oczy kobiety zrobiły się okrągłe. – I wyciąga z nich kwiatki?

– Bez przesady, czasem po prostu ktoś wystawi niechcianą roślinę obok. A ja zwykle wiem, co z nią zrobić – powiedziała Gabrysia, siląc się na spokój.

Pamiętaj, to znajoma twojej stałej klientki, która regularnie zamawia drogie bukiety, kupuje kwiaty, a na święta zamówiła dwa ozdobne wieńce na drzwi... Więc panuj nad sobą – pomyślała i zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

– Ale pytała pani o hotel. Nie sądzę, żeby takie miejsce cieszyło się zbyt dużym powodzeniem... – wróciła do sedna sprawy.

– Może i tak, jednak z tego, co usłyszałam, wynika, że prowadzi pani coś w rodzaju przytułku dla roślinnych bezdomnych. To w takim razie mam pytanie. Czy nie zajęłaby się pani moim kłopotem? Ja bym tego całego nietoperza zabierała tylko wtedy, gdy przyjeżdża mój Józus. A tak wynajęłabym po prostu kawałek półki czy grządki u pani w ogrodzie. Może być?

– Półki albo grządki – powtórzyła Gabrysia, patrząc na klientkę ze zgrozą.

– Co tam pani uważa. Ja tylko...

– Zgoda – przerwała jej. – Biorę ją – zapewniła znajomą pani Alicji i bezwiednie przytuliła do siebie doniczkę z *Tacca chantrieri*, kwiatem nietoperza.

– To świetnie... W takim razie do zobaczenia – powiedziała kobieta wyraźnie zdziwiona, że tak łatwo jej poszło, i już na dobre zniknęła z kwaciarni.

Gabrysia jeszcze przez moment w osłupieniu patrzyła na kołyszący się nad drzwiami wejściowymi dzwonek.

– Grządkę! Półkę w ogrodzie! Ignorantka i morderczyni! Dobrze, że do mnie trafiłeś, mały – dodała, gładząc zielone liście pozostawionej rośliny. – Ona by cię utopiła i zamroziła! A tak jeszcze dziś trafisz do oranżerii i razem z innymi zielonymi kumplami posłuchasz sobie Szopena – dodała.

Od dawna wierzyła, że muzyka poważna dobrze robi roślinom. Odniosła pacjenta na zaplecze i spojrzała za okno. Niepokój o Michalinę powrócił wzmożoną falą. Za oknem śnieg już nie padał, ale sypał grubymi, ciężkimi płatami. Gabrysia jeszcze raz zajrzała pod stół. Tobołek nadal tam stał.

– Ona musi po niego wrócić – powiedziała stanowczo. – Po prostu musi! – dodała, rozcinając karton przywieziony przez pana Wojtka i wyciągając z niego elementy potrzebne do zrobienia świątecznych wieńców.

A potem skupiła się na pracy. Wiedziała, że musi się czymś zająć, bo inaczej zagryzą ją wyrzuty sumienia. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, patrzyła na wchodzącego z nową nadzieją. I za każdym razem, gdy okazywało się, że to nie Michalina, powtarzała sobie w duchu, że dziewczyna na pewno się pojawi. Ale pomimo zaklinania rzeczywistości – nie przyszła. Gabrysia wracała do domu z bólem głowy i ze świadomością, że czeka ją bezsenna noc.

Jeżeli nie pojawi się w ciągu trzech dni, otworzę tę jej paczkę. Może jej zawartość naprowadzi mnie na to, kim ona jest i gdzie mogę ją znaleźć – zdecydowała.

Zwykle podjęcie decyzji sprawiało, że poprawiał się jej humor. Ale tym razem wypróbowany sposób nie zadziałał. Gabrysia czuła się fatalnie i wiedziała, że tak zostanie. Jedynie zobaczenie Michaliny całej i zdrowej mogło poprawić jej samopoczucie. I zdjęć z serca ogromny ciężar, który z godziny na godzinę stawał się trudniejszy do uniesienia.

* Autorem powiedzenia jest Martin Luther King.

Michalina zaś nie miała pojęcia o tym, że jest odpowiedzialna za bezsenność kwiaciarki. Nie wiedziała również, że spadł śnieg i że zima rozszalała się na całego. Nie była też świadoma wielu innych rzeczy. Nie wiedziała o kolejnej wizycie doktora Judyma, o tym, że Konstanty był u niej dwa razy i z coraz większą troską odgarniał jej włosy z czoła i z niepokojem przysłuchiwał się jej oddechowi. Nie wiedziała, że Nela na wpół śpiącą przeprowadziła ją do łazienki, a następnie znów odholowała do łóżka. Najzwyczajniej w świecie tego nie pamiętała. Kiedy w końcu tak naprawdę się obudziła, był ranek. Za oknem nadal sypał śnieg. Nastął grudzień, dzień trzeci.

TRZECI GRUDNIA



Otworzyła oczy i ze zdumieniem wpatrzyła się w rozpięty nad jej głową starodawny baldachim. Przez moment leżała nieruchomo, usiłując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Przed jej oczami zaczęły pojawiać się pojedyncze obrazy. Kościół, zimno i schody. Staruszka z językiem ostrym niczym brzytwa. Najpiękniejsze oczy wpatrzone w nią z troską i czułością... Doktor i znów ta staruszka. Czyjeś mocne ramiona. A potem nic. Ciemność. Ostrożnie uniosła się i stwierdziła, że leży w wielkim łóżu, okryta kołdrą. Przez chwilę rozglądała się po całkiem obcym pokoju. W końcu, starając się robić jak najmniej hałasu, wysunęła się z łóża i na palcach podszła do przymkniętych drzwi. Otworzyła je, wyjrzała na korytarz i stwierdziła, że cała ta ostrożność zdała się doprawdy na niewiele, z miejsca bowiem stanęła oko w oko ze starszą panią. Jak ona miała na imię? Chyba Nela... To ona siedziała na kościelnych schodach i to ją potem przywieźli do domu razem z...

– No nareszcie! – przerwała jej rozmyślenia starsza pani. – Już myślałam, że prześpisz cały grudzień!

– Przepraszam, zupełnie nie wiem, jak to się stało. Myślę, że wczoraj byłam zmęczona...

– Wczoraj?! Dziewczyno, mamy trzeci grudnia! Spałaś prawie dwa dni. Nie byłaś zmęczona, ale wykończona. Dobrze się czujesz?

– Szczerze mówiąc, fizycznie nie czułam się tak doskonale od miesięcy – wyznała, usiłując ręką przygłodzić rozczochrane włosy. – Tylko nie wszystko pamiętam... I chyba muszę stąd iść...

– A dokąd, jeżeli mogę spytać? – zapytała starsza pani, patrząc na nią przenikliwie.

Dziewczyna tylko bezradnie wzruszyła ramionami i wykonała nieokreślony ruch ręką.

– No właśnie tak myślałam – sarknęła Nela. – To ja ci powiem, moja droga, jaki jest plan dnia. Teraz zjesz bułkę i rzeczywiście pójdziesz, ale wyłącznie do łazienki wziąć kąpiel... Przy okazji zdejmiesz z siebie te brudne łachy. Zaraz przyniosę ci ręczniki i ubranie na zmianę... Na razie będziesz musiała zadowolić się czymś ode mnie z szafy. Twoje rzeczy nadają się jedynie do wyrzucenia. A potem zjesz porządne śniadanie i opowiesz mi, co się właściwie wydarzyło w twoim życiu.

– Tak po prostu? Mam usiąść przy pani stole, zjeść pani śniadanie i opowiedzieć o sobie? – Michalina poczuła się oszołomiona.

– O rany, brakuje jeszcze, żebyś tylko powiedziała: ktoś spał w moim łóżeczku... – zakpiła Nela. – Zdaje mi się, że była taka bajka...

– Raczej w tym wypadku: w pani łóżeczku. A jeszcze lepiej łożu. To chyba była *Złotowłosa i trzy misie* czy jakoś tak...

– Możliwe. Bajki czytałam jakieś osiemdziesiąt lat temu. Sama rozumiesz, że to szmat czasu. Albo i nie rozumiesz... bo niby jak... Z twojej perspektywy zapewne jestem tak stara, że z samej przyzwoitości powinnam już dawno umrzeć... Ile ty masz w ogóle lat? I jak się nazywasz? Bo do tej pory funkcjonowałaś tu jako „dziewucha”, ale skoro już się obudziłaś, to może warto to zmienić...

– Mam osiemnaście lat. Na początku przyszłego roku skończę dziewiętnaście. A na imię mam Michalina...

– Doskonale. Skoro już tyle o sobie wiemy, to idź się umyj, bo delikatnie mówiąc, nieco cuchniesz...

– Cóż, przydałoby się nieco popracować nad wspomnianą delikatnością. Na pierwszy rzut oka widać, że nie jest ona pani mocną stroną...

– Tak jak przypuszczałam, jesteś pyskata...

– Jestem też szczerą, więc może od razu zapytam: czemu?

– Co czemu? – Nela ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami.

– Czemu pani to robi? I czemu mam pani słuchać? Opowiadać o sobie? – Michalina wbiła w nią pytające spojrzenie wielgaśnych oczu.

– A czemu nie? – odpowiedziała pytaniem Nela. – Co ci szkodzi? Tym bardziej, że na pierwszy rzut oka widać, że potrzebujesz pomocy. Ty i dziecko, które nosisz – dodała i z zadowoleniem stwierdziła, że zdołała małąlatę zaskoczyć. – Więc teraz idź, umyj się i nie bądź głupia! Opowiesz mi wszystko, bo nic cię to nie kosztuje. Możesz tylko na tym zyskać. I doskonale zdajesz sobie z tego sprawę – dodała i nie oglądając się, pomaszerowała na koniec korytarza, gdzie w wielkiej szafie trzymała ręczniki i bieliznę pościelową.

A do Michaliny dotarło, że od wizyty w kościele wszystko w jej życiu się zmieniło. Nie wiedziała tylko, czy to przypadek, czy odpowiedź na jej prośbę.

Kąpiel rzeczywiście jej się przydała. Włosy przejaśniały i zalśniły pszeniczn złotym blaskiem. Zrobiły się puszyste i otuliły buzię Michaliny, dodając jej uroku. Skóra zaróżowiona od gorącej wody, czyste ubranie – kremowy puszysty sweter i długa wełniana spódnica, wszystko to sprawiło, że z łazienki wyszła całkiem inna dziewczyna.

Ona jest całkiem ładna – skonstatowała zdumiona Nela.

– Siadaj i jedz – wskazała jej głową jedno z wolnych miejsc przy stole, na którym stał talerz pełen kanapek. – Trzeba cię trochę odkarmić i porządnie ubrać, a będziesz groźna dla najlepszych – mówiąc to, podsunęła jej filiżankę napełnioną herbatą z dodatkiem mleka.

– Taak... Pierwsze miejsce w kategorii samotnych ciężarnych – zakpiła Michalina, ale w jej oczach zapaliły się figlarne błyski.

– Widzę, że poczucie humoru cię nie opuszcza... I rzeczywiście jesteś szczerą...

– Chyba nie mam już czego ukrywać. Skoro się pani domyśliła... – Pochyliła głowę w ten sposób, że jej twarz znalazła się częściowo w cieniu, a sercem Neli szarpnął nagły skurcz.

Na rysy siedzącej przy stole dziewczyny nałożyła się nagle inna twarz, dobrze znana i wyczekiwana przez tyle lat! Z dołeczkiem w podbródku, z ciemnymi pasmami w jasnych włosach. Trwało to zaledwie sekundę, wystarczyło, że Michalina lekko się przekręciła i potrząsnęła głową, a wrażenie zniknęło. Ale serce Neli jeszcze przez długi czas nie mogło się uspokoić i biło jak szalone. Być może to wreszcie jest ten znak, na który od tylu lat czekam – pomyślała i zacisnęła kościste palce na papierowej serwetce. Może razem z nią przyjdzie odpowiedź...

– Powtórzysz? Zamyśliłam się... – Zdała sobie sprawę, że dziewczyna chyba coś do niej mówiła i teraz patrzyła wyczekująco, nasłuchując odpowiedzi.

– Chciałam wiedzieć, co by było, gdybym to ja pierwsza zapytała. Czy wtedy pani opowiedziałaby mi swoją historię? Bo coś mi się wydaje, że na tych kościelnych schodach nie znalazła się pani przypadkiem...

– Kto wie? Ale to ja byłam pierwsza. – Nela z namysłem wsypała dwie łyżeczki cukru do swojej herbaty. – A kto pierwszy, ten lepszy...

– No dobrze... Tylko nie bardzo wiem, od czego zacząć... To, że jestem w ciąży, już pani wie...

– Ojciec dziecka cię zostawił?

– Dość bezpośrednie to pytanie pomocnicze. Nie, on nawet nie wie, że zostanie ojcem. Zresztą nie sądzę, żeby się tym zbytnio przejął... W skrócie można by było opisać to słowami piosenki... – I zanuciła:

To był blondyn, to był blondyn
W mym sercu zaraz objął rządy,
bo złotowłosa Amor krążył
skutecznie nad turnusem mym
Starczyło więc, by spojrzeć on, bym
wprost mówiąc, zapłonęła z żądy
Coś na kształt erotycznej bomby
Ach, taki wstyd, ach, taki wstyd (...)

Rzeczywiście to był blondyn. Ale żeby mnie pani dobrze zrozumiała, muszę zacząć od początku... Lecz zanim cokolwiek powiem, chciałabym podziękować. Za to, że mogłam tu zostać, i choć niewiele z tego pobytu pamiętam, to jestem niebywale wdzięczna. I nawet gdyby zdecydowała się pani za moment wykopać mnie za drzwi, to ani przez chwilę nie będę żałować, że się tu znalazłam. Swoją drogą do tej pory nigdy nie widziałam takiego wielkiego mieszkania. I proszę nie myśleć, że szpiegowałam albo coś takiego... Po prostu samo mi się rzuciło w oczy. Jest duże i urządzone... Sama nie wiem, jak to określić. Podobne wnętrza widziałam jedynie w muzeach albo w filmach opowiadających o dawnych czasach...

– Cóż, ja też pochodzę z bardzo dawnych czasów. I byłabym całkiem niezłym eksponatem – prychnęła śmiechem Nela. Ku swojemu zdumieniu stwierdziła też, że rozmowa ją wciągnęła. – To mieszkanie, podobnie jak ja, jest bardzo stare. Moja rodzina mieszkała tu od pokoleń. Kiedyś cała ta kamienica należała do moich przodków. Ale to było wieki temu. Nie było mnie wtedy jeszcze nawet w planach. Teraz jestem właścicielką połowy piętra. Ten dom był jednym z niewielu, które ocalały z wojennej pożogi. I dzięki temu mogłam wrócić na stare śmiecie i zatroszczyć się o rodzinne dziedzictwo. – Nela rozejrzała się zamyślona. – Jest tutaj tak, jak było dawniej. Meble, bibeloty, fortepian w salonie... Dębowy stół i kulawy stolik kawowy, pod którego przykrótką nóżkę tata dociął pasujące drewno... Toaletka, w której lustrze odbijały się twarze moich praprababek...

– I to wszystko przetrwało wojnę? – Michalina sięgnęła po bawarkę i zaczęła ją pić małymi łykami.

– Tata wywiózł większość naszych rzeczy do domu na wsi. Zresztą nas też chciał tam wywieźć, tylko mama się nie zgodziła. Nie należała do kobiet, które zostawiają swoich mężczyzn na łaskę i niełaskę losu. Ani wojny. Nie należała też do tych, które uciekają...

– Rzeczywiście pani rodzina miała wielkie szczęście...

– O tak! Ocalało mieszkanie, rzeczy i ja... Wielkie, gorzkie szczęście... – w głosie Neli zabrzmiała gorzkość. – Gdyby nie to, że wiązała mnie z tym miejscem obietnica i nadzieja, nigdy bym tu nie została. – Zamyślona pokiwała głową. – Ale cały czas czekałam, aż ona tu wróci... Gdy

wychodziłyśmy z domu, wtedy, pierwszego sierpnia, obiecałyśmy sobie, że właśnie tu się spotkamy. Obie urodziłyśmy się dwudziestego czwartego grudnia. Wigilijne dziewczynki, najpiękniejsze podarki: tak mówił o nas tatuś. Ja i moja starsza siostra. Obiecała, że wróci, a ja obiecałam, że będę na nią czekała do skutku... I czekam. Podobnie jak moja mama nie należę do kobiet, które uciekają. Ani przed wojną, ani przed danymi obietnicami. Choć w tym roku poddałam się słabości, w wyniku której wylądowałam przed kościołem. I tam właśnie spotkałam ciebie...

– Znaczy się, nie chciała już pani czekać? – wyszeptała Michalina ze zrozumieniem.

– Nie, rzuciłam Bogu wyzwanie. Albo cud, albo koniec. Naiwnie przypuszczałam, że przystanie na moje warunki. A tymczasem ani nie zaziębiłam się na śmierć, ani nie odnalazłam siostry. Za to dostałam ciebie. Więc skoro już, nie wiedzieć czemu, opowiedziałam ci wszystko, czego absolutnie nie zamierzałam nigdy nikomu mówić, to bądź tak dobra i nie zadawaj więcej pytań, tylko dla odmiany opowiedz mi, jakim cudem wylądowałaś na ulicy. Jesteś sierotą?

– Nie, nie do końca... Wprawdzie moja mama zmarła, gdy miałam siedem lat, ale nadal miałam tatę... – Michalina głośno przełknęła ślinę. – Ale potem on kogoś poznał. I miejsce mamusi zajęła Wanda...

O tak, Michalina doskonale to pamiętała. Wanda rozpanoszyła się w całym ich domu i życiu. Zniknęły zdjęcia mamy ze ścian. Szklane kule, które tak lubiła i kolekcjonowała przez całe lata, zostały spakowane do kartonowego pudła i wyniesione do piwnicy. W kuchni wymieniono meble, z salonu usunięto obrazy, w tym portret ślubny rodziców. Albumy ze zdjęciami w tajemniczy sposób zaginęły. Wszystko natomiast zaczęło pachnieć obcymi, agresywnymi perfumami. Ten zapach już zawsze miał się Michalinie kojarzyć z całkowitym końcem tego, co jeszcze pozostało z jej dawnego, bezpiecznego dziecięcego świata. Zadziwiające przy tym było, że Wanda, dbająca tak skrupulatnie o to, aby po jej poprzedniczce nie pozostał w domu nawet ślad, przyniosła z piwnicy pudła z jej ubraniami i bez żadnego skrupowania zaczęła w nich myszkować. Traf chciał, że w momencie gdy miała na sobie ulubioną sukienkę mamy Michaliny, dziewczynka wróciła do domu. Najpierw wydało jej się, że to mama jakimś cudem wróciła i stoi u szczytu schodów. A potem, gdy zrozumiała, co tak naprawdę widzi, poczuła, jak ogarnia ją coś dziwnego i potężnego. To coś uwolniło się z jej piersi przeogromnym krzykiem i łkaniem. Niewiele pamiętała z tego, co wydarzyło się później. Właściwie tylko niewyraźne migawki. Ojca, który usiłował przenieść ją ciągle wrzeszczącą i płaczącą do pokoju, obcą męską twarz pochylającą się nad nią, silne ręce przytrzymujące ją na łóżku i wbijające igłę w rękę. A potem nie było już niczego. Zapadła ciemność. Gdy dziewczynka zaczęła się z niej powoli wynurzać, okazało się, że jest już następny dzień, a przy jej łóżku siedzi babcia.

– Dobrze, Michasiu, że już się obudziłaś – powiedziała jak gdyby nigdy nic. – Dzisiaj się spakujemy i pojedziemy do mnie. Wiesz, że ta stara, wredna kwoka Pelaśka wysiaduje jajka? Nie będzie miał cię kto ganiać po podwórku, bo ona teraz zajęta! Ale wiesz, jak to z nią jest, wiecznie

roztrzępana i zainteresowana tylko grzebaniem w ziemi. Jeszcze gotowa nie zauważyć, że jej dzieci z jajek wychodzą. Będiesz na miejscu, to akurat przypilnujesz...

– Mamo, przecież mówiłem mamie, że chcę załatwić to inaczej – przerwał ojciec Michaliny, który od jakiegoś czasu stał w drzwiach pokoju i wszystko słyszał.

– Mówiłeś, Darku, mówiłeś, ale i ja mam swoje racje... Michasiu, ty sobie tu jeszcze spokojnie poleż, a my z tatą porozmawiamy, dobrze? – Babcia z czułością pogładziła ją po buzi. – Chodź, niech dziecko ma trochę spokoju – dodała, wychodząc z pokoju i starannie zamykając za sobą drzwi.

Ledwo babcia zniknęła, Michalina cichutko wyślizgnęła się z łóżka i na powrót je uchyliła. Nie musiała nawet za bardzo wyęźać słuchu, bo ojciec z babką nie zeszli na dół, tylko stanęli w połowie schodów. Tak jakby to, co miało zostać powiedziane, nie mogło czekać, aż pokonają kolejne stopnie.

– Mamo, mama wie, że ja nigdy nie stawałem pomiędzy wami. Ale teraz...

– Teraz też nie będziesz. W tej chwili twoja córka potrzebuje spokoju i tego, co dobrze zna...

– Ale jeżeli teraz wyjedzie, to wyjdzie na jej! Nauczy się, że wystarczy urządzić scenę i wszyscy będą koło niej skakać. I uciekać się nauczy przed problemami. Teraz powinna właśnie tu zostać i dotrzeć się z Wandeczką... Dlaczego mama tak dziwnie na mnie patrzy?

– A bo cały czas zastanawiam się, jak z tobą postępować. Czy łagodnie i opłótkami, czy prosto w oczy ci powiedzieć, co myślę... Ale zdaje mi się, że teraz, gdy hmmm... Wandeczka namieszała ci w głowie...

– Mamo!

– A co ty z tą mamą i mamą! Jakbyś nagle niczego innego nie umiał powiedzieć! Mam wrażenie, że to nie ty! Że ktoś cię podmienił i niestety mam pewne podejrzenia, kim ten ktoś jest. Czyś ty dokumentnie zgłupiał? Wystarczyło, żeby ci zamachała cyckami przed oczami, i przestałeś myśleć? Słyszałeś lekarza? Słyszałeś, że mała otarła się o załamanie nerwowe? A ty mi tu mówisz o manipulacji i urządzaniu scen?! O docieraniu? Scenę to należałoby urządzić tej twojej całej Wandeczce! Pomyślałeś chociaż przez chwilę, co poczuła Michaśka, widząc tę kobietę w ubraniach zmarłej matki? Toż to niejednego dorosłego mogło z nóg zwalić, a co dopiero małą dziewczynkę!

– Tu akurat Wanda nie pomyślała. Ale jej też nie jest łatwo...

– Nie wątpię. Ale przypuszczam, że z dnia na dzień będzie jej lepiej – burknęła starsza kobieta, z dezaprobatą kręcąc głową.

Widziała przecież, co się dzieje. Wandeczka była nie w ciemni bita i doskonale umiała owinać sobie Darka wokół najmniejszego paluszka. Już w tej chwili tańczył, jak mu zagrała.

Wtedy postawiła na swoim i zabrała wnuczkę do siebie. A potem w domu było coraz gorzej. Wanda nie znosiła pasierbicy, manipulowała ojcem. Z dawnego życia została Michalinie jedynie babcia. I tak właściwie to ona była dla niej wszystkim. Ostoją i opoką. Kochała ją bezgranicznie i bezwarunkowo. To babcia zadbała o to, by dziewczynka chodziła na zajęcia plastyczne, opłacała jej

kursy lepienia z gliny, a potem pracy z gipsem. Ojciec się nie sprzeciwiał, ale też nie pomagał. Doskonale wiedział, że Wanda tego nie pochwała. Cały czas mówiła mu, że to trwonienie pieniędzy i że lepiej by było dziewczynę zapisać na kurs szycia, bo to przynajmniej mogłoby jej się kiedyś w życiu przydać.

– Przecież z niej i tak nic porządnego nie wyrośnie! Babka tylko w głowie jej miesza tymi banialukami o sztuce! Bo co, bo mamusia malowała? A dziadek dłubał w drewnie? I jakoś majątku na tym nie zbili! Zamiast rozwijać w niej złe skłonności, trzeba to ukrócić! Do życia ją przygotować. Zawód powinna zdobyć! Darek, czy ty mnie w ogóle słuchasz?!

– Oczywiście, skarbie. Ale to jej babcia za to płaci z własnych pieniędzy i tego nie mogę jej zabronić... Zresztą nauczyciele mówią, że Michalina ma zdolności – wtrącał nieśmiało.

– Akurat! Biorą za lekcje kasę, to co mają ci powiedzieć! – piekliła się, choć i tak nic nie mogła zrobić.

Michalina też nie ułatwiała jej sprawy, bo dość szybko nauczyła się, że z macochą nie należy wchodzić w dyskusję. Starła się jej unikać, licznych reprimend wysłuchiwała w milczeniu, co wprawiało Wandeczkę we wściekłość, bo jak tu udowodnić, że to dziecko jest niedobre i krnąbrne, skoro zwykle milczało.

– Podstępna żmija – burczała pod adresem pasierbicy.

Poza tym była jeszcze ta przeklęta babka dziewczyny. Która w kółko się wtrącała, podważała metody wychowawcze Wandy i sprawiała mnóstwo kłopotów. Zabierała do siebie wnuczkę, kiedy tylko mogła. Początkowo Wandeczka wściekała się i o to. Bo jakże tak można było nie liczyć się z jej zdaniem? Skoro ona, pełnoprawna pani tego domu, powiedziała, że ta wstrętna dziewczucha będzie przez całe ferie siedzieć i nadrabiać prace domowe, to tak powinno być! A tymczasem co się działo? Przyjeżdżała babcia i zabierała wnusię ze sobą! A ojciec dziewczyny na to pozwalał!

– Jesteś zupełnie pozbawiony charakteru! – wrzeszczała na niego. – Boisz się zwykłej baby ze wsi!

Michalina, która czasem bywała świadkiem tych awantur, miała na ten temat zupełnie inne zdanie. Ojciec owszem bał się, ale na pewno nie babci. Lecz i tego nie mówiła głośno. Nauczyła się, że milczenie jest najlepszą formą obrony. Aż w końcu nadeszła jeszcze jedna zmiana. Wanda zaszła w ciążę i urodziła chłopca. I tak Michalina została przyrodnią siostrą. Mały był dla niej prawdziwym objawieniem. Wystarczyło jedno spojrzenie na pomarszczoną buźkę, na zaciśnięte oczka, by pokochała go całym sercem. I to z wzajemnością.

– Jego pojawienie się z jednej strony bardzo ułatwiło mi życie, bo Wanda skupiła się całkowicie na nim – ciągnęła swoją opowieść Michalina. – Nareszcie mogłam wyjeżdżać do babci i spędzać tam tyle czasu, ile chciałam. Mogłam wychodzić i nie tłumaczyć się z każdej minuty. Dopiero później dotarło do mnie, dlaczego tak się dzieje... To był misterny plan. Po prostu umyśliła sobie, że odsunie mnie całkowicie od ojca. Że przestanę być dla niego istotna. Miał o mnie zapomnieć...

– Ale na Boga, w czym ty jej przeszkadzałaś? – zdumiała się Nela.

– W jej mniemaniu byłam rywalką Wojtusia, mojego brata. To on miał dostać wszystko, miał odziedziczyć dom, pieniądze, majątek po prostu. Ja byłam zagrożeniem. – Michalina wzruszyła ramionami. – A zagrożenia się eliminuje. Dlatego im mniej mnie było w domu, tym ona była szczęśliwsza. Fakt, że uwielbiała podrzucać mi Wojtka, nie zmienił niczego w jej podejściu do mnie... Ale Wojtuś jest przecudowny, naprawdę. Bardzo za nim tęsknię. Ma pięć lat. I oczywiście on o tym nie wie, lecz zawdzięczam mu bardzo, bardzo dużo. – Odruchowo położyła dłoń na brzuchu, ruchem tak bardzo charakterystycznym dla przyszłych mam.

– Pięciolatkowi? – Nela z coraz większym zainteresowaniem przyglądała się dziewczynie.

– Tak... Bo gdybym nie wiedziała, jakim cudem potrafi być dziecko, pewnie w tej chwili siedziałabym w szkolnej ławce i uczyła się do matury...

– Chyba nie chcesz mi w ten zawiły sposób oznajmić, że z rozmysłem zaszłaś w ciążę i rzuciłaś szkołę...

– Nie, aż tak głupia nie byłam. Chociaż uczciwie przyznaję, że i tak w tej kategorii zdobyłam już jedno z chwalebnych pierwszych miejsc. Gdy odkryłam, że jestem w ciąży, byłam najpierw przerażona, a zaraz potem wściekła. I proszę mi wierzyć, absolutnie tego nie planowałam. Ale o tym za moment, bo skoro powiedziałam pani...

– Jakoś mi ta „pani” nie pasuje do charakteru intymnych zwierzeń – przerwała jej Nela. – Nawiasem mówiąc, intymne zwierzenia też mnie nigdy nie fascynowały. Unikałam ich jak ognia. A tutaj proszę, taka niespodzianka! Oto na starość, a uwierz, zawsze myślałam, że jeżeli doczekam tak podeszłego wieku, to będę używać życia na całego i nigdy nie będę robić tego, na co nie mam ochoty... No więc tak jak powiedziałam, na starość siedzę w moim własnym domu, we własnej kuchni i z własnej woli ciągnę jakąś nieznaną dziewczuchę za język. I jeszcze dodatkowo sprawia mi to przyjemność! Niebywałe! – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Ale mniejsza o moją skomplikowaną naturę. Nie chcę, żebyś mówiła do mnie „pani”. Nie mam na to ochoty, choć nie wiem, kiedy ostatni raz i komu pozwoliłam do siebie mówić w inny sposób...

– Więc jak mam się do pani zwracać? Bo „babciu” nie dam rady...

– Nawet o tym nie pomyślałam! Nigdy dla nikogo nie byłam babcią, poza tym babcia kojarzy mi się z kimś miłym i rozkosznym, czyli dokładnie takim, kim ja nigdy nie byłam i nie będę. Nie jestem typem piekącym szarlotki i robiącym na drutach. Jeżeli mam być szczerą, to jestem raczej jędzowata...

– Nie, no nigdy bym nie zauważyła... – prychnęła śmiechem Michalina. – Ale proszę wybaczyć, nie będę zwracała się do pani *per* „jędzo”. Ludzie mogliby nie zrozumieć, że to wyłącznie wyraz podziwu...

– No, uważaj sobie. – Pogroziła jej żartobliwie palcem. – Znaj moje dobre serce i mów mi po

prostu „Nela”. Skoro już to ustaliłyśmy, to możesz wracać do opowieści – zezwoliła łaskawie.

– Więc żeby już się nie rozdrabniać, to przejdę od razu do rzeczy. W ramiona zabójczo przystojnego blondyna wepchnęła mnie tęsknota... I chęć zapomnienia.

– Przez całe życie nie znosiłam melodramatów – skrzywiła się Nela. – Tęsknota i chęć zapomnienia... Mdli mnie od tego popularnego zestawienia. I tego, że chociaż przez setki lat prowadziło to do różnorodnych nieszczęść, kolejne pokolenia dziewcząt i kobiet nadal dają się łąpać w tę pułapkę. Lecą jak ćmy do ognia! Może jeszcze mi powiesz, że rzuciłaś mi się w ramiona, bo chciałaś zapomnieć o nieszczęśliwej miłości, a tym samym ukarać byłego i pokazać mu, ile traci? Zawiodłaś mnie! A już zaczynałam cię lubić! – Starsza pani nie ukrywała rozczarowania.

– Nie ja cię zawiodłam, tylko wyobraźnia cię poniosła. Zresztą to, co ty, Nelu, opowiadasz, bardziej pachnie brazylijską telenowelą niż melodramatem. A ja tęskniłam, i owszem. I chciałam tę tęsknotę zagłuszyć. Bo jeszcze nie powiedziałam ci, że babcia zmarła. We wrześniu zeszłego roku. I nagle wszystko się zmieniło. I wiesz, co w tym wszystkim było najgorsze? Świadomość nieuchronności. I tego, że już nic nie można zrobić. Wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Świat stał się obcy. Jak ja w tamtym roku nienawidziłam grudnia i zbliżających się świąt...

– O tak. Boże Narodzenie w takich momentach nabiera innego charakteru i potrafi człowiekowi nieźle dopiec – pokiwała głową Nela i zapatrzyła się w okno. – To, co było wcześniej jego atutem, smakuje taką goryczą, że człowiek nie jest w stanie tego wszystkiego przełknąć bez uczucia mdłości. Dla tych, którzy mają rodziny i miłość, to najpiękniejszy czas. Wspólny stół, choinka, pieczenie pierników, przygotowywanie podarków... Opłatek i łyżki w oczach, gdy można się nim przełamać z najbliższymi... Nawet puste miejsce przy stole tak nie boli. Choć u mnie to właśnie ono sprawiło, że po raz pierwszy poczułam ten specyficzny rodzaj smutku... Gdy byłam malutką dziewczynką, to puste miejsce oznaczało tajemnicę i ekscytujące oczekiwanie. Tajemniczy, zbłąkany wędrowiec pobudzał wyobraźnię. W dziecinnej głowie pojawiały się obrazy starca zakutanego w podarty płaszcz albo kobiety w błękitach tulącej do siebie niemowlę. Nie pojawiały się natomiast żadne wątpliwości. Puste miejsce przy stole było dla kogoś, kto zapuka, wejdzie i usiądzie nad czystym, czekającym talerzem. Nawet przez myśl wtedy mi nie przechodziło, że można by zamknąć przed takim kimś drzwi. I to był właśnie ten mój pierwszy smutek pustego miejsca przy stole. Bo w pewnym momencie uświadomiłam sobie, że wcale nie jestem pewna, czy gdyby ktoś do mnie zapukał w wieczór wigilijny, to zostałby wpuszczony. Zapewne gdyby do tego doszło, nie odprawiłabym go, ale daleka bym była od szczęścia. I wiem, że serce miałabym pełne obawy. Obawy, która nadciąga wraz z tym, jak odchodzi bezpieczne dzieciństwo i bezapelacyjna wiara w ludzi...

– Ale mnie, Nelu, jednak przyjęłaś... – wtrąciła miękko Michalina – pomimo tego, że to nie święta i nie opłatek czy puste miejsce rozmiękczyły ci serce. Ty po prostu masz je we właściwym miejscu... Nie trzeba ci machać przed nosem Bożym Narodzeniem, bo na co dzień te drzwi zapewniające dostęp

do ciepła i wigilijnego stołu pozostają w twoim domu uchylone...

– No wiesz, Bogiem a prawdą, nie pozostawiłaś mi wyboru... Zasnęłaś niczym kamień... I z miejsca zamiast na twarde, puste miejsce przy stole trafiłaś w piernaty. Jeśli spojrzeć na to z tej strony, to umiesz się niezłe urządzić!

– Właśnie, a jak ty mnie dotaszczyłaś do tego łóżka...? – Dziewczyna zerknęła na obwiązaną foliową torebką nogę staruszki.

– Chyba nie myślisz, że miałam z tym coś wspólnego! Kotuła tam cię przeniósł...

– Kto? – Michalina znieruchomiała z filiżanką uniesioną do ust.

– No, twój współnik spod kościoła... Ale rzeczywiście ty możesz nie wszystko kojarzyć. Chociaż jego raczej powinnaś pamiętać...

– Pamiętam – powiedziała krótko, odstawiła filiżankę na talerzyk i ukryła drżącą rękę pod stołem.
– Ale nie wiedziałam, że to on... Że mnie dotyk... To znaczy przeniósł.

– Był tutaj wczoraj i dzisiaj też przyjdzie. Martwi się o ciebie. Tak to już bywa z mężczyznami, którym pada się w ramiona.

– Nelu, nawet tak nie żartuj... On nie może mnie zobaczyć... A już na pewno ja nie mogę zobaczyć jego... Przecież wiesz, że ja teraz...

– A jednak masz skłonności do odgrywania melodramatycznych scen! Więc zapamiętaj sobie dokładnie: w tym domu panują stare, dobre zasady. Przede wszystkim zero hysterii. To po pierwsze. Po drugie, gość w dom, Bóg w dom... No dobrze, nie patrz tak na mnie. Może w punkcie drugim odrobinę przesadziłam, bo przez ostatnie lata raczej unikałam gości... Po trzecie, skoro cię widział brudną i niewyględną, to byłabyś naprawdę niespełna rozumu, gdybyś teraz nie chciała mu się pokazać w całkiem nowej odsłonie. To by znaczyło, że pozbawiona jesteś jednej z podstawowych kobiecych cech: kokieterii. Tym bardziej, że widziałam, jakie na tobie zrobił wrażenie.

– Nelu, jakie to ma w tej chwili znaczenie? Przecież ja jestem w ciąży!

– Wielkie mi halo. – Starsza pani wzruszyła ramionami i wyduła lekceważąco usta. – Maria też była i Józef jakoś musiał się z tym pogodzić.

– Ale jest drobna różnica! W moim przypadku nie wchodzi w grę niepokalane poczęcie! – mimowolnie podniosła głos.

– Ale on o tym nie musi wiedzieć. – Nela zrobiła niewinną minę.

– O tym, że to nie było niepokalane poczęcie? – Dziewczyna spojrzała na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

– O jakimkolwiek poczęciu, głupia dziewucho! Z jakiegoś powodu Kotuła się tobą zainteresował! Nie wiem, co go do tego skłoniło, bo nie przypuszczam, żebyś oczarowała go swoim wyglądem... Chyba że to jakaś dziwna perwersja...

– Dziękuję ci za szczerłość!

– Ależ bardzo proszę. Nie lubię owijać w bawełnę. W każdym razie nie będziesz mi tu odstawiała scen rodem z operetki mydlanej: och, och, nie mogę się mu pokazać! Och, och, jaki on piękny! – zapiszczała. – Jak przyjdzie, ładnie się przywitasz i tyle. Nie każę ci przecież iść z nim do łóżka, tylko zwyczajnie powiedzieć dzień dobry!

– O matko! Może jednak nieco się zreflektujesz i choć trochę zrezygnujesz z mówienia prosto z mostu? – jęknęła Michalina. – Chyba nie jestem na to gotowa...

– A co, myślałaś, że w moim wieku słowo „seks” nie przejdzie mi przez usta? No to się zdziwiłaś. I żeby wszystko było jasne, wiem też, skąd się biorą dzieci i jaki w tym udział miał ten twój wspomniany blondyn. Aha, póki jeszcze pamiętam: poza Kotulą...

– On naprawdę ma tak na imię? – przerwała jej Michalina, czując, że serce zaczyna jej bić szybciej.

– Konstanty, ale to za długo! Ciągnie się to imię jak flaki z olejem. Kotula brzmi lepiej. No i przy okazji pasuje do niego. Znałam jednego Konstantego, dawno temu. Też był zabójczo przystojny, choć ten nasz ma dodatkową zaletę. Wygląda na to, że w głowie ma dobrze poukładane. Jak na mężczyznę rzecz jasna. Ale co ja to miałam ci powiedzieć... Aha, już wiem! Oprócz niego zawita w nasze skromne progi drogi, pełen poświęcenia i chęci niesienia pomocy doktor Judym... A właśnie, pamiętasz, że wmówiliśmy mu, że jesteś moją wnuczką?

– Nie my, tylko ja! Ty zaprzeczyłaś!

– Nie bądźmy drobiazgowe! Tylko na początku. On, biedak, cały czas nie zdaje sobie sprawy, że wtedy wieczorem widzieliśmy się po raz pierwszy. Wprawdzie chodzi i węszy, bo coś mu się nie zgadza, ale jak do tej pory nie ma dowodów... A teraz wróćmy do twojego blondyna... Nadal nie wiem, jak doszło do tego, że wylądowałaś na ulicy.

Michalina już otwierała usta, żeby zapytać, skąd niby Nela ma taką niezbitą pewność, że ona jest bezdomna, ale nieomal natychmiast z tego zrezygnowała. Nie znała Neli zbyt długo, jednak zdążyła się już zorientować, że starsza pani jest baczną obserwatorką. I dysponuje czymś, czego Michalina nie miała, bo mieć nie mogła. Wieloletnim doświadczeniem.

I dobrym sercem, które skrzętnie skrywa pod kolczastym pancerzem.

– Dobrze... Niech ci będzie... – Pokiwała głową i głęboko westchnęła, usiłując przypomnieć sobie, na czym skończyła...

Chyba na tym, że nie chciała żadnych świąt po śmierci babci... A potem Nela mówiła o pustym miejscu przy stole. Było jasne, że wiedziała o smutku tego miejsca dużo więcej niż Michalina, bo o ile dziewczyna zdążyła się zorientować, starsza pani była zupełnie sama. I to nie od roku czy dwóch. Samotność wżarła się w każdy por jej skóry, w każdą zmarszczkę. Michalina poczuła nagle dojmujące współczucie. Jak straszne musiało być czekanie na powrót ukochanej siostry, dzień po dniu, rok po roku, z kulminacją w Wigilię... Michalina nie była głupia i doskonale pojęła, co kryje się w słowach:

„Obiecała, że wróci, a ja obiecałam, że będę na nią czekała do skutku... I czekam. Podobnie jak moja mama nie należę do kobiet, które uciekają. Ani przed wojną, ani przed danymi obietnicami”. Brzmiały krótko i zwięźle. Zwyczajnie. Ale wypełnienie złożonej dawno temu obietnicy wymagało stalowego charakteru. Nie miało nic wspólnego ze zwyczajnością. Na pewno nieraz rozrywało serce kobiety w drobne strzępy. I w tym momencie do Michaliny dotarło, że siedząca przy stole zgryźliwa starsza pani tak naprawdę jest bohaterką. Silną i niezależną. Taką, na której można polegać. Taką, która daje oparcie i nigdy nie zawodzi. Podobną do jej ukochanej babci. I bardzo, bardzo samotną. Potrząsnęła głową, usiłując przywołać się do porządku, bo poczuła, że jeżeli natychmiast nie okiełzna myśli, to z całą pewnością nie powstrzyma łez, które już zdradziecko zaczynały napływać jej do oczu.

– A więc tak jak wspomniałam, babcia zmarła – zaczęła drżącym głosem. – I moje postrzeganie pustego miejsca przy stole też się zmieniło. Owszem, kiedyś musiałam pogodzić się z odejściem mamy. Ale to wyglądało zupełnie inaczej. Nie wiem, czy dlatego, że byłam dzieckiem... Przypuszczam, że raczej to upływ czasu sprawił, że tak bardzo mi jej nie brakowało... Nie chciałabym, żebyś uważała mnie za nieczułą niewdzięcznicę, ale ja prawie jej nie pamiętam. Tyle tylko co ze zdjęć z babcinego albumu. I z opowieści babci. Ale właśnie tak ona do mnie przemawiała. Poprzez babcię. Była jej częścią i dopóki żyła babcia, w jakiś sposób żyła też moja mama. A gdy umarła, słowo „nigdy” nabrało innego znaczenia. To tak jak w tym wierszu Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:

Czyjeś ciało i ziemię całą –

A zostanie tylko, tylko fotografia,

To – to jest bardzo mało...

Wszyscy mówią, że to wiersz o stracie kochanka. A moim zdaniem to tekst o tym, co czuje człowiek, gdy traci kogoś najbliższego na świecie. I niekoniecznie to musi być nieszczęśliwa miłość. To był koszmarny czas. Ale rozumiałam, że nie tylko ja się liczę. Był przecież Wojtuś. Czekał na Świętego Mikołaja, na choinkę, na prezenty... Dla niego święta nadal były magiczne... Jakoś przetrwałam. A latem wyjechałam z przyjaciółmi w góry. Zwykle wakacje spędzałam u babci. Ale pusty, głuchy dom mnie przerażał. Uznałam, że przyda mi się towarzystwo. I tam, w schronisku poznałam Pawła... Może brzmi to egzaltowanie, ale rzeczywiście był śliczny... Prawdziwe ciacho z kremem. No i tak jak wspominałam, rewelacyjnie do całej sytuacji pasuje piosenka, którą śpiewa Basia Stępnia-Wilk. Nie wiem, czy jej słuchałaś, Nelu...

– Nie miałam okazji – mruknęła starsza pani, notując w pamięci, że koniecznie musi sprawdzić, co ta cała Stępnia śpiewa.

– Już ci nuciłam, ale początek tego utworu też jest świetny. I oddaje dokładnie to, co się ze mną

stało:

To był blondyn, to był blondyn

męska odmiana bella biondy

Uśmiech roztaczał w krąg Giocondy,

budząc wśród pań powszechny dreszcz (...)

Właśnie wypisz wymaluj taki był... I nie wiedzieć czemu, właśnie mną się zainteresował. Muszę ci powiedzieć, że w kategoriach wakacyjnych rozrywek naprawdę się sprawdził – dodała i roześmiała się zawstydzona.

– Cóż, muszę koniecznie zanotować, żeby twojemu przyszłemu mężowi przekazać, by nigdy w życiu nie puszczał cię samej na letni wypoczynek – skwitowała Nela. – Rozumiem, że po powrocie zorientowałaś się, że... jak by to powiedzieć? Rozrywka zostawi trwały ślad?

– Dokładnie. Najpierw spanikowałam. Potem wpadłam we wściekłość i pomyślałam, że to cholernie niesprawiedliwe. Że spotkało mnie już tyle zła, że naprawdę to akurat mogłoby mnie ominąć. Tyle tylko, że to „to” było dzieckiem. Nowym życiem. Z dnia na dzień w moim ciele dokonywał się cud. Ale do tego doszłam nieco później... Najpierw wystraszona zdecydowałam się o wszystkim powiedzieć ojcu. A on z miejsca poleciał z tymi rewelacjami do Wandeczki.

– Dupek – skwitowała pogardliwie Nela.

– Właściwie to powinnam była się z tym liczyć... W końcu do kogo miał iść, jeśli nie do swojej żony? – usiłowała go usprawiedliwić, ale sama słyszała, że brzmi to nad wyraz nieprzekonująco.

– Posłuchaj, cokolwiek zrobiłaś, bez względu na to, w jakie kłopoty się wpakowałaś, to właśnie ty jesteś krwią z jego krwi i to ciebie powinien ochraniać. Po to wynaleziono ojców. I matki. Ktoś, kto tego nie rozumie, nigdy nie powinien decydować się na posiadanie dzieci...

Ciekawe, czy właśnie dlatego ty ich nie masz? – pomyślała Michalina, lecz nie odważyła się zadać tego pytania staruszce. Zresztą po chwili okazało się, że nie musiała, bo Nela sama na nie odpowiedziała.

– Z Aleksandrem, moim mężem, próbowaliśmy... Nigdy jednak nie udało mi się donosić ciąży. Widać nie było nam to pisane – powiedziała cicho, a Michalina podziękowała w duchu niebiosom, że utzymała język za zębami. – Ale gdybym miała dzieci, byłyby dla mnie najważniejsze. Wiem o tym. Po prostu wiem – dokończyła mocnym głosem Nela. – No i jak na wiadomość, że zostaniesz mamą, zareagowała nasza ulubiona Wandeczka?

– Widać w jej domu nie przestrzegano tak jasnych zasad jak w twoim, bo najpierw wpadła w histerię – uśmiechnęła się kpiąco Michalina. – Wykrzykiwała, że okryję ich hańbą, że nie mam wstydu, że urodzę bękarta...

– O kurczę! Naprawdę użyła słowa „bękart”? Myślałam, że już nikt nie wie o jego istnieniu i że

umarło śmiercią naturalną...

– Jak widać nie. W każdym razie wrzeszczała, wściekała się. Tym bardziej, że nie chciałam powiedzieć, kim jest ojciec...

– No, tutaj jestem w stanie ją zrozumieć. Przypuszczam, że też bym chciała wiedzieć...

– Ale ona miała tylko jeden cel. Chciała, żeby chłopak dołożył się do zabiegu. Nie powiedziałam ci jeszcze o jednym, bardzo istotnym szczególe... Otóż Wandeczka jest lekarzem. I z miejsca wykoncypowała sobie, że najłatwiej będzie pozbyć się kłopotu. Z jej kontaktami i znajomościami nie stanowiło to żadnego problemu. Szczerze mówiąc, nie zamierzam się wybielać, ale w pierwszym momencie też taki pomysł przyszedł mi do głowy. Nie chciałam tego dziecka. Nie chciałam być samotną matką. Nie chciałam wychowywać go w domu, gdzie rządziła moja macocha. I może bym się zgodziła na jej plan, poszła na ten zabieg, gdyby nie Wojtuś. Cały czas pamiętałam ten moment, gdy po raz pierwszy go zobaczyłam. I chwilę, gdy przekręcił się na brzusek, uśmiechnął się do mnie... Miałam przed oczami jego wyciągnięte w moją stronę rączki... Pierwszy krok. Ale cały czas się wahałam. Bałam się. Panicznie się bałam, że nie dam sobie rady.

– I co przeważało?

– To były pierwsze dni września. Spacerowałam razem z Wojtusiem po ogrodzie, a wtedy mój braciszek spojrział w niebo, wyciągnął ręce do góry i powiedział: „Zobacz, jaki świat jest wielki!”. W jego głosie było tyle zachwytu i tak dużo... Bo ja wiem? Oczekiwania na to, co nadejdzie, że poczułam, jak coś dławi mnie w gardle, i na jego miejscu zobaczyłam zupełnie inne dziecko... Moje własne. I dotarło do mnie, że nigdy nie pozwolę go skrzywdzić. Chyba wtedy zaczęłam je kochać...

– No i? – Nela uniosła pytająco brwi.

– No i spakowałam plecak i uciekłam z domu – zakończyła, nisko pochylając głowę.

– Dlaczego? Przecież, na Boga, byłaś pełnoletnia! Aborcja jest nielegalna! Twoja macocha nie mogłaby cię do niczego zmusić!

– Widać, że jej nie poznałaś. Uwierz, usiłowałyby przeprowadzić swój plan, choćby musiała iść po trupach. A nawet gdyby odpuściła aborcję, chciałyby, żebym oddała dziecko do adopcji... Zniszczyłyby mnie. A poza tym... Zatrwałyby życie ojcu. Było mi go zwyczajnie żal...

– I od września tułasz się po ulicach?

– Trochę mieszkałam w domu babci... Szybko jednak zrozumiałam, że tam przede wszystkim będą mnie szukać... Dlatego musiałam uciec dalej.

– A czyją własnością jest ten dom?

– Babcia przepisała go na mnie. Wandeczka chciała koniecznie, żebym go sprzedała... Jak przypuszczam, chętnie zaopiekowałyby się pieniędzmi.

– Przemiała istota. Naprawdę żywię do niej coraz bardziej intensywne uczucia. – Nela skrzywiła się. – Ale jest jeszcze jedno... Skoro twoja mama zmarła, a ty aż do września nie przerwałaś nauki, to

znaczy, że powinnaś dostawać rentę. Dobrze mi się wydaje?

– Tak, ale już się nie uczę. Wprawdzie złożyłam wszystkie potrzebne zaświadczenia i renta została przyznana, lecz skoro nie chodzę do szkoły...

– Głupia dziewczyno, wydaje ci się, że twoja macocha, chciwa i paskudna, zrezygnowała z tych pieniędzy? Mogę się założyć, że nadal przychodzą na twój dawny adres... Coś mi się wydaje, że to był naprawdę ostatni dzwonek, żeby na twojej drodze stanął ktoś taki jak ja...

– To znaczy?

– To znaczy, że już najwyższy czas na zmiany! Przecież ty prawie zamarzałaś, naiwna, głupia istoto! Nie można cię z tym wszystkim zostawić samej... Zresztą coś mi mówi, że mnie samej też dobrze robi odmiana. A zacniemy od tego, że odczarujemy ten cholerny grudzień, razem ze świętami! Ale najpierw rzeczy najważniejsze. Kiedy byłaś ostatni raz u lekarza?

– Pod koniec sierpnia... Wandeczka mnie tam zaciągnęła...

– No to pięknie! Cudownie! W takim razie zacniemy od tego. Jutro rano zakupy...

– Słucham?

– Słuchaj, słuchaj, bo od teraz z tego głównie będzie składało się twoje życie. Tak jak powiedziałam: zakupy. Trzeba cię przede wszystkim zaopatrzyć w nowe buty i pasującą kurtkę... I trochę ubrań.

– Ale ja nie mam na to pieniędzy. – Michalina ze zgrozą spoglądała na staruszkę.

– Za to ja mam. Oddasz mi, jak odzyskamy twoją zaległą rentę. Zresztą stać mnie na to, żeby kupić ci trochę drobiazgów. Szczególnie jeżeli sprawia mi to przyjemność. Zważ, że od niepamiętnych czasów nic nie wywoływało u mnie zadowolenia... A potem od razu pójdziemy do lekarza... Trzeba sprawdzić, co tam słyhać u malucha... Słyszałaś o tym, że teraz można poznać płeć dziecka, zanim się urodzi?

– No tak, to żadna nowość – wybąkała oszołomiona Michalina.

– Wszystko zależy dla kogo. Ja chcę to zobaczyć na własne oczy. – Nela zatarła ręce i uśmiechnęła się pod nosem. – Coś mi się wydaje, że ten grudzień będzie mi się wyjątkowo podobać! A teraz idź, przeczesz włosy i przygotuj się na obłaskawienie doktora Judyma. Jest na mnie wściekły, bo postawiłam na swoim i ani razu nie użyłam maści, które mi przepisał. Zapamiętaj sobie, moje dziecko, że na skręcenia i stłuczenia najlepsze są okłady z liści kapusty – powiedziała i na potwierdzenie tych słów wysunęła przed siebie nogę obwiązaną foliową torebką.

Dopiero teraz Michalina dostrzegła, że spod osobliwego opatrunku wystają zielone fragmenty. Była jednak zbyt oszołomiona. Za dużo się wydarzyło, żeby mogła po prostu przejść nad tym do porządku dziennego. Z tego wszystkiego zapomniała nawet o tym, że powinna zacząć się denerwować. Bo przecież czekało ją spotkanie z Konstantym, na wspomnienie którego ku swojej irytacji czuła przyspieszone bicie serca.

Konstanty w pierwszej chwili jej nie poznał. Zniknęły szare smugi z czoła. Bładość była tylko wspomnieniem. Lekko zaróżowione policzki, jasne włosy i szeroko otwarte oczy. Kremowy sweter, w którego przydługich rękawach ukryła dłonie. Była śliczna. Stała w szeroko otwartych drzwiach i spojrzała mu prosto w oczy. A on nie mógł się ruszyć. Do tej pory tłumaczył sobie, że interesuje się nią wyłącznie dlatego, że przytłacza go poczucie winy. Że jego obowiązkiem jest dopilnowanie tego, by wydobrzała. Widać tak miało być. Zresztą i tak przychodził do Neli, by zwozić doktora Judyma, więc co mu szkodziło zaglądać też do dziewczyny. Owszem, budziła w nim instynkty opiekuńcze, ale Konstanty nie był głupi i doskonale wiedział, że to naturalne. Był mężczyzną, a mężczyźni powinni być troskliwi wobec kobiet. Szczególnie słabszych. A gdy jeszcze zupełnie nieoczekiwanie okazywało się, że te kobiety są śliczne... Cóż, z losem nie należało dyskutować.

Teraz jednak do poczucia winy i odpowiedzialności dołączyło coś, co nie pozwalało mu oderwać spojrzenia od jej twarzy. Poczł coś niesamowicie miękkiego, ciepłego, coś, co rozchodziło się błogim uczuciem po całym ciele. Przywodziło na myśl gorące letnie dni skąpane w słońcu, błękitne niebo, krople rosy na trawie. Poczł się tak, jakby nagle został przeniesiony w sam środek lata. Musiał z całej siły powstrzymać się, by nie wyciągnąć ręki i nie pogłdzić jej po tych jasnych włosach, które w blasku rzucanym przez zapaloną w przedpokoju lampę wydawały się złotopszeniczne. I nagrzane słońcem... Tak, przywodziła mu na myśl lato. Ale było coś jeszcze... Jedno słowo, które mu umknęło, a które doskonale oddałoby to, co właśnie czuł. Miał je na końcu języka, lecz nie mógł sobie uzmysłwić, jak brzmi.

Michalina też stała bez słowa. Nie mogła się ruszyć. Dokładnie tak go zapamiętała. Ciemne pofalowane włosy zawijające się lekko na końcach, czarne brwi i te oczy. Po nich poznałaby go nawet na końcu świata. Granat i chaber, i lekkie smugi pruskiego błękitu. Wtedy, na kościelnych schodach właśnie ten odcień był dla niej zagadką. Ale teraz przy lepszym świetle bez trudu go rozpoznała.

W takich oczach można by było zatonać – pomyślała z nagłą tęsknotą i pragnieniem, które odbiło się przez ułamek sekundy na jej twarzy. Nie uszło to uwagi Konstantego. I właśnie w tym momencie uświadomił sobie, jakiego słowa mu brakowało.

Szczęście – pomyślał i lekko się uśmiechnął.

Dokładnie o to chodziło. Patrząc w oczy tej dziewczyny, czuł się po prostu szczęśliwy.

Gdy Nela, słysząc dzwonek do drzwi, kazała Michalinie otworzyć, była przekonana, że właśnie przyszedł upierdliwy doktorek. Kotula miał zjawić się nieco później. Ale widać coś mu się pozmieniało w planach, bo przyszedł przed czasem. I tak oto stanął oko w oko z Michaliną. Oczywiście w pierwszym momencie Nela o tym nie wiedziała. Dopiero zaniepokojona panującą w przedpokoju ciszą wyjrzała na korytarz i zobaczyła Michalinę wpatrzoną w Konstantego. I Kotulę zapatrzonego w dziewczynę. Mieli w oczach coś takiego, co z miejsca spowodowało, że Nela na paluszkach wycofała się z powrotem do salonu.

Cóż, młodość ma swoje prawa i przywileje – pomyślała i natychmiast przyszedł jej na myśl fragment wiersza:

Sądzą, że skoro nie znali się wcześniej,
nic między nimi nigdy się nie działo.
A co na to ulice, schody, korytarze,
na których mogli się od dawna mijać?

Nie pamiętała całego utworu, ale potem były jeszcze takie zwrotki:

Były klamki i dzwonki,
na których zawczasu
dotyk kładł się na dotyk.
Walizki obok siebie w przechowalni.
Był może pewnej nocy jednakowy sen,
natychmiast po zbudzeniu zamazany.

Każdy przecież początek
to tylko ciąg dalszy,
a księga zdarzeń
zawsze otwarta w połowie*.

O tak, Wisława Szymborska była jedną z jej ulubionych poetek. I wiedziała o życiu naprawdę wiele. O tych wszystkich drobiazgach, które ludziom zwykle umykają. Znikają w codziennym pędzie. Czasem pewnie też i na zawsze przegapione.

– Cóż, tej dwójce na pewno nic nie umknie – szepnęła Nela, nachylając się do fiołków. Trudno przejść obojętnie wobec miłości od pierwszego wejrzenia. Można się na nią nie godzić, nawet nie

wierzyć w jej istnienie, ale *summa summarum* w końcu i tak się okazuje, że w tym wypadku nie ma się nic do powiedzenia. Taka miłość ma to do siebie, że po prostu się zjawia i zostaje. I na całe szczęście nie pyta ludzi o opinię.

* [Wisława Szymborska](#), *Miłość od pierwszego wejrzenia*.

A Michalina i Konstanty z całą pewnością długo jeszcze by tak stali zapatrzeni w siebie i zawieszeni w czasie, gdyby nie nadejście doktora Leona. Spłoszona i zarumieniona dziewczyna zaprosiła obu panów do środka, postanawiając jednocześnie, że cokolwiek będzie się działo, ona nie ujawni się ze swoimi uczuciami. Jej świat drżał w posadach, serce tłukło się jak oszalałe w piersi i ewidentnie były to symptomy zakochania. I nie zamierzała z tym polemizować. Trudno, stało się. Nie ona pierwsza i nie ostatnia będzie przeżywała nieszczęśliwą miłość. Ale w sytuacji, w której się znalazła, nie mogła nikomu mieszać w życiu. Wystarczająco już sobie samej je skomplikowała.

Zupełnie co innego myślał Konstanty. Może dlatego, że był starszy, a może dlatego, że zwykle zdobywał to, czego chciał, i wiedział, że nie trzeba uciekać przed wyzwaniem, postanowił, że nie da tej dziewczynie zniknąć ze swojego życia. Nie rezygnuje się z lata podarowanego w środku zimy. I nie łamie się obietnic. A takową Konstanty złożył i to nie było komu. Ale o tym Michalina nie miała nawet bladego pojęcia.

Tego dnia Michalina i Konstanty zamienili ze sobą zaledwie parę słów. Ale zdaniem Neli nie musieli za wiele mówić. Wystarczyło, że jedno za drugim wodziło wzrokiem, że Michalina udawała, że nie patrzy, ale jednocześnie gdy poczuła na sobie przelotne spojrzenie Kotuli, spuszczała głowę, żeby ukryć rumieńce.

O tak, patrząc na nich, Nela zaczynała tęsknić za młodością. Za tym, co dawno zostawiła za sobą i co nigdy już nie będzie jej udziałem. Szkoda, że nie mam nikogo do kochania – pomyślała z nagłym smutkiem. – I szkoda, że zostało mi tak niewiele czasu... Ale teraz nie pora na to, żeby poddawać się takim myślom. W końcu jak to było?

Jeszcze w zielone gramy, jeszcze nie umieramy
Jeszcze się spełnią nasze piękne dni, marzenia, plany
Tylko nie ulegajmy przedwczesnym niepokojom
Bądźmy jak stare wróble, które stracha się nie boją
Jeszcze w zielone gramy, choć skroń niejedna siwa
Jeszcze sól będzie mądra, a oliwa sprawiedliwa
Różne drogi nas prowadzą, lecz ta, która w przepaść rwie
Jeszcze nie, długo nie (...)

– Co tam pani mamrocze? – przerwał jej rozmyślania pełen troski Judymowy głos.

– A nic, tak się tylko zastanawiam, czy ktoś ci, młody człowieku, powiedział kiedyś, że kota też można zagłaskać na śmierć... I że miłosierni lekarze naprawdę nie są potrzebni w każdym momencie życia biednych, ciemężonych pacjentów?! – powiedziała zirytowana.

– Cóż, pani jest pierwsza, pani Nelu. Z moich wieloletnich doświadczeń wynika, że pacjenci lubują się w towarzystwie lekarzy. I do tej pory trwałem w przekonaniu, że to raczej ja jestem stroną maltretowaną.

– Widać punkt widzenia zależy od punktu siedzenia – burknęła Nela.

– A tak zupełnie z innej beczki, to chciałem zapytać, w jakim stopniu są państwo ze sobą spokrewnieni.

– Słucham? – Nela spojrzała na niego ze zdumieniem. – Jacy państwo?

– No pani i pani kuzyn, Konstanty...

– A co to pana interesuje?

– Bo widzę, że będą kłopoty... Pani może tego nie dostrzega, ale tych dwoje ma się wyraźnie ku

sobie – zakomunikował konspiracyjnym szeptem. – A przecież jeśli są spokrewnieni...

– A o to niech cię głowa nie boli. – Starsza pani prychnęła śmiechem. – Lecz jedno, młody człowieku, muszę ci przyznać: jesteś spostrzegawczy.

– Cóż, taka moja rola. Dostrzegać pierwsze symptomy i leczyć...

– To może w tym wypadku poprzestaniemy na tym dostrzeganiu. Bo ja tam, szczerze mówiąc, liczę na pogłębienie tej choroby, choć jak mi Bóg miły, zupełnie nie wiem, dlaczego mi tak na tym zależy... Dwoje obcy... – w ostatnim momencie ugryzła się w język, ale i tak widziała, jak oczy doktora wręcz zawisają na jej ustach w oczekiwaniu na to, co powie – obcykanych – dokończyła w natchnieniu i zakaszła nerwowo.

– Jakich?

– Obcykanych... W tych miłosnych sprawach. Jedno i drugie ma sporo za uszami. W kółko jakieś romanse! Można oszaleć... A pan to przypadkiem nie powinien zająć się moją nogą? A nie plotkować po kątach jak stara matrona? – umiejętnie skierowała jego uwagę na inny temat.

– Rozumiem, że nadal pani trwa w tym oślim uporze i nie stosuje zaleconych przeze mnie maści?

– Oczywiście. W moim wieku, mój drogi, można sobie pozwolić na bycie jak ta krowa, która nie zmienia poglądów. W ogóle jakby się tak zastanović, mój wiek ma wiele dobrych stron. A noga mnie już prawie nie boli. Kapusta. Bez recepty, tania i skuteczna. Możesz ją śmiało zalecać swoim pacjentom...

– Nie jestem ortopedą. Rzadko mam do czynienia z urazami kończyn. Dla pani zrobiłem wyjątek.

– O, to jestem niebywale zaszczycona. Ale jutro nie możemy umówić się na wizytę.

– A to czemu? Moim zdaniem jeszcze pani nie wydobrzała...

– A moim zdaniem mam się całkiem nieźle. Jutro natomiast mam do załatwienia na mieście parę rzeczy. Sprawunki. I jeszcze kilka innych zaległych spraw. Zresztą Konstanty obiecał, że podwiezie mnie i moją wnuczkę do miasta i dostarczy z powrotem do domu. Prawda, Kotula? – krzyknęła w stronę kuchni.

– Tak, oczywiście, że tak – odkrzyknął Konstanty entuzjastycznie, nie mając pojęcia, na co się godzi. Szczerze mówiąc, nie miało to najmniejszego znaczenia, bo przez ostatnie dni przekonał się, że jeżeli Nela coś sobie wymyśli, to to zrealizuje. Jakikolwiek opór był bezcelowy. – Dla cioci wszystko, cioteczko!

– No widzi pan, doktorze, będę miała wspaniałą opiekę – powiedziała, obiecując sobie w duchu, że da jeszcze Kotuli popalić za tę cioteczkę. Niech no tylko zostaną sami!

Michalina była wściekła. Po pierwsze, zdenerwowała się nie na żarty, jak tylko usłyszała, co Nela mówi do doktora. Że niby Konstanty ma je zawieźć do miasta! Bo muszą załatwić sprawunki i inne sprawy! Doskonale wiedziała, co Nela miała na myśli, gdy wspomniała o tych pozostałych sprawach!

– Co sobie do diabła myślałaś? Że dam się jemu zawieźć do lekarza? Rozumiem, że chcesz się mną zająć, choć zupełnie nie wiem dlaczego. Ale absolutnie nie zgadzam się...

– Głupia jesteś – przerwała jej bezceremonialnie Nela, stając przed nią i biorąc się wojowniczo pod boki. – Wprawdzie mogę ci to wybaczyć, bo jesteś jeszcze młoda i niedoświadczona, ale wybaczyć, nie znaczy pozwolić na wszystko! Więc przede wszystkim nie będziesz na mnie krzyczała!

– A ty mną rządziła! Po co to wszystko robisz? Przecież nawet mnie nie znasz, nie jestem ci do niczego potrzebna!

– Jesteś. Być może uznasz mnie za niespełna rozumu, ale wierzę, że ty jesteś tym cudem, o który poprosiłam. Nie wiem, co robiłaś wtedy na tych schodach, mam jednak wrażenie, że nie zjawiałaś się tam przypadkiem...

– O matko... – Michalina zakryła usta ręką. – Przecież ja tam w kościele poprosiłam o... O coś bardzo konkretnego. – Rozsądnie postanowiła pominąć szczegóły.

Rzeczywiście prosiła o schronienie. I o opiekę. I o anioła, który by się nią zajął. Spojrzała na staruszkę w zupełnie inny sposób. Nela też prosiła o cud. I obie dostały to, czego chciały. Tyle tylko, że chyba żadna z nich nie oczekiwała takiego rozwoju wypadków.

– No to pięknie – mruknęła Michalina do siebie. – Chyba jednak powinnam cię przeprosić. Nie powinnam na ciebie krzyczeć...

– Zgadzam się. Ja natomiast nie zamierzam cię przeproszać. Jestem na to zbyt uparta i za stara. I absolutnie nie czuję się winna, bo lekarza umówiłam na dwunastą, a dopiero później zrobimy zakupy. O lekarzu nie pisałam Kotuli nawet słówkiem.

– Ale przecież powiedziałaś Judymowi, że Konstanty nas zawiezie i...

– Kłamałam – przerwała jej beztroskim tonem. – Nieraz mi się to zdarza. A teraz ty mi coś obiecasz... I nie będziesz kłamać – zastrzegła.

– Co znowu?

– Że nie powiesz mu o ciąży... Na całe szczęście niewiele po tobie widać. Szczególnie jak masz luźniejszy sweter, to da się to ukryć.

– Judymowi? – zdumiała się Michalina.

– A skąd ci przyszedł do głowy ten doktorek? Mówię o Kotuli.

– Przecież to dla mnie obcy człowiek, Nelu. Nie zamierzałam mu w jakiś szczególny sposób mówić o dziecku, ale też nie miałam zamiaru niczego ukrywać. Po co? Tym bardziej, że za moment i tak brzuch robi się bardziej widoczny.

– Zaufaj mi... I obiecaj, że do świąt niczego mu nie powiesz...

– Dobrze, jeżeli ci na tym tak zależy, to obiecuję. Do świąt nie będę rozmawiała z nikim o dziecku... Do tej pory też milczałam i jakoś nie paliło mi się do zwierzeń – powiedziała, jednocześnie intensywnie zastanawiając się, o co tak naprawdę Neli chodzi.

Bo że o coś chodziło, było jasne – tak jak to, że dwa razy dwa jest cztery.

Zanim położyła się spać, miała już doskonale wszystko zaplanowane. Punkt po punkcie. Nela zawsze umiała podejmować błyskawiczne decyzje. I przewidywać skutki. Ale tego, co miało nastąpić następnego dnia, nie była w stanie wyobrazić sobie nawet w najśmielszych snach.

CZWARTY GRUDNIA



S tało się nagle. W jednej sekundzie. Od pierwszego spojrzenia. Nie przypuszczała, że w jej wieku jest to jeszcze możliwe. Ale wystarczył jeden rzut oka na monitor, na którym wyświetlały się obrazy, a Nela przepadła z kretesem. Nie odzywała się, gdy lekarz pokazywał mikroskopijne rączki i nóżki, milczała, gdy malec na monitorze śmiesznie podskoczył, a następnie się przeciągnął. Wysłuchiwała uważnie wszystkich zaleceń i ku zdumieniu Michaliny poprosiła o wydrukowanie podwójnych zdjęć z USG.

– Z tego, co mogę stwierdzić po tym, co widzę, wszystko jest w porządku – zapewnił je na koniec doktor. – Choć oczywiście bez pani badań obraz jest niekompletny. Musi pani koniecznie zrobić morfologię krwi, sprawdzić poziom glukozy... To dopiero początek, tu ma pani skierowania na wszystkie zaległe badania i na te, które są niezbędne w tej chwili...

Przez moment patrzył na dziewczynę uważnie, zastanawiając się, czy nie strzelić jej kazania na temat haniebnej nieodpowiedzialności i braku wyobraźni. Jak można, będąc w ciąży, ani razu nie pójść do lekarza! Bo tej pierwszej wizyty w ogóle nie wliczał. Z tego, co zrozumiał, to tamten doktor po prostu oznajmił jej, że oczekuje dziecka i że to pierwsze tygodnie. I że wszystko jest jeszcze możliwe. Kiedy to mówiła, przez jej twarz przemknął cień.

– Co takiego miało znaczyć to wszystko? – zapytał łagodnie.

– To, że jak będę miała szczęście, to poronię. A jak mi go zabraknie, to można się postarać załatwić to inaczej – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Tego się nie spodziewał. Nie miał pojęcia, jak mógłby na coś takiego odpowiedzieć. Z całą pewnością natomiast gdyby dorwał tamtego dupka, to z przyjemnością obiłby mu głowę. A on przed sekundą chciał tej małej prawić kazania o braku odpowiedzialności! Nic dziwnego, że po czymś takim unikała lekarzy jak ognia.

– Nie musi się pan tak przejmować. – Dziewczyna chyba domyśliła się, jakim tropem podążają jego myśli. – To był znajomy mojej macochy. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby został do tego przymuszony...

– W tym zawodzie jedną z podstawowych rzeczy, w jakie musi być wyposażony przyzwoity lekarz, jest kręgosłup moralny. Jeżeli ma się z nim problemy, nie powinno się leczyć ludzi – odpowiedział poważnie. – Tamtego człowieka nic nie usprawiedliwia.

– Coś takiego! Wiedziałam, że telewizja i prasa kłamią, ale że aż tak, to nie przypuszczałam – przerwała im Nela. – Drugi Judym w ciągu zaledwie kilku dni! Przypadek? Nie sądzę!

– O co chodzi pani babci? – Zdezorientowany lekarz postanowił na wszelki wypadek zwrócić się do Michaliny.

Starsza pani, nie wiedzieć czemu, nieco go onieśmielała.

– Po prostu po wielu latach odzyskuję wiarę w służbę zdrowia – wyjaśniła mu Nela. – Czyli teraz badania, a potem z wynikami kolejna wizyta?

– Dokładnie... Ale z tego wszystkiego zapomniałem powiedzieć, że ja już wiem, jakiej płci jest dzidzius. Teraz od pań zależy... Mam mówić czy zostawić tę wiedzę dla siebie?

Przez moment w gabinecie panowała cisza. Nela w napięciu czekała na decyzję dziewczyny.

– Tak, poproszę. – Michalina w końcu pokiwała głową.

– Dziewczynka – uśmiechnął się lekarz.

– Dziewczynka – powtórzyła Nela i poczuła, że do oczu podchodzą jej łzy. – Słyszałaś, Michalina? Będziemy miały dziewczynkę!

Michalina nic na to nie odpowiedziała. Z jednej strony cieszyła się, że sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły. Że już nie musiała się martwić o to, gdzie spędzi noc. Że nie jest głodna. Że jej córeczka – po raz pierwszy mogła tak o niej pomyśleć, nie jak o anonimowym dziecku, ale o dziewczynce, której będzie plotła warkoczyki, śpiewała wieczorami kołysanki i co najważniejsze, którą będzie kochała najbardziej na świecie – że jej dziewczynka jest zdrowa, że rośnie i jak na razie, dopóki nosi ją pod sercem, nic jej nie grozi. To wszystko niewątpliwie ją cieszyło i sprawiało, że czuła ulgę. Ale z drugiej strony czuła się osaczona. Nie do końca pojmowała, czemu Nela tyle dla niej robi. Oczywiście cała ta historia z czekaniem na zaginioną siostrę była wzruszająca. Tak samo jak to, że tamtego wieczoru poprosiły kogoś tam w górze o konkretne rzeczy. I wyglądało to tak, jakby ich prośby zostały wysłuchane. Ale jak na jej gust wszystko toczyło się zbyt szybko. I zbyt wiele spraw budziło w niej lęk. Zbyt wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Do tej pory była w bardzo trudnej sytuacji, mogła jednak decydować sama o sobie. A teraz okazuje się, że wszystko toczy się trochę poza nią. Położono ją do łóżka, ubrano w pożyczone ciuchy, załatwiono lekarza... A teraz ten entuzjizm starszej pani... „Będziemy miały dziewczynkę!” – tak dokładnie powiedziała. A co będzie, jeżeli ona jest tak samo wredna jak Wandeczka? I będzie chciała odebrać jej małą? Wiadomo, co to się tłucze w wiekowej głowie?

Ledwo to pomyślała, załała ją fala wstydu. Jak mogła w ogóle porównać Nelę do swojej macochy!

To chyba dlatego, że wszystko pędzi jak szalone, a ja nie wytrzymuję tego tempa –

usprawiedliwiła się w duchu. No i trudno przejść do porządku dziennego nad tym, że z dnia na dzień jakaś szalona staruszka usiłuje wejść ci na głowę – pomyślała i mimowolnie się skrzywiła, słysząc, jak Nela pogania ją, mówiąc, że czas najwyższy ruszyć na zakupy.

O Konstantym profilaktycznie postanowiła w ogóle nie myśleć. I bez niego miała dostateczny mętlik w głowie. Zepchnięcie wszystkiego, co z nim związane, na drugi plan nawet mogło się udać, bo Nela dbała o to, żeby wokół niej nieustannie się coś działo. A jak wiadomo, mnogość zajęć nie sprzyja usychaniu z beznadziejnej tęsknoty. I to akurat Michalinie bardzo, ale to bardzo odpowiadało.

Jeżeli Nela myślała, że wystarczy mieć dobry plan, a wszystko się ułoży i pójdzie jak po maśle, była w błędzie. Zaczęło się już na zakupach. Michalina nie chciała zgodzić się na połowę rzeczy. Kurtka i buty jakoś przeszły. Widać zdawała sobie sprawę, że są jej potrzebne. Potem było gorzej. Wybrała tylko dwie pary spodni i trzy sweterki na zmianę. Już przy tych spodniach porządnie się ścięły, bo starsza pani usiłowała przeforsować tezę, że spódnice są bardziej dziewczęce, a po drugie spodnie na pewno będą niewygodne i będą ścisnąć brzuch, i w ogóle porządne panny nie ubierają się jak chłopczyce.

– Ja nie jestem porządną panną, tylko panną z dzieckiem – uświadomiła jej Michalina. – A poza tym sama przyznaj, że spodnie są naprawdę wygodne!

– Nie wiem, nigdy ich nie nosiłam – odpowiedziała Nela wyniośle.

– O matko, jak to możliwe? Naprawdę nigdy nie miałaś na sobie džinsów? – Dziewczyna nawet nie próbowała ukryć zaskoczenia. – To po prostu nie mieści mi się w głowie! Zamiast mnie wpychać w te niewygodne kiecki, sama powinnaś kupić sobie spodnie i zobaczyć, ile traciłaś! Wiesz, jakie to wygodne?

– Wygoda to nie wszystko – burknęła starsza pani i mimowolnie zerknęła na wieszak z niebieskimi spodniami. – Musimy ci jeszcze kupić kapcie. Mów, co chcesz, ale kapcie musisz mieć, bo od podłogi ciągnie, a ty teraz nie możesz się zaziębić – dodała.

– Dobrze, kupmy te kapcie, ale umówmy się, że za wszystko ci zwrócę. – Michalina dorzuciła do koszyka niebieskie puchate bambosze.

Stojąc w kolejce do kasy, dziewczyna nie odstępowała starszej pani ani na krok. Nela widziała, z jaką uwagą patrzy na to, ile jest do zapłacenia. Widać postanowiła dokładnie zapamiętać kwotę i zapewne tak jak zapowiedziała, oddać wszystko co do grosza.

Dobrze, skoro będzie czuła się z tym lepiej, niech i tak będzie – pomyślała starsza pani. – Właściwie też zawsze byłam zdania, że swoje długi należy regulować co do złotówki.

– No to najważniejsze rzeczy mamy załatwione – powiedziała z zadowoleniem, patrząc na Michalinę, która z miejsca włożyła nową, jasną kurtkę, rękawiczki z jednym palcem i czapkę z pomponem. – Teraz tylko musimy poczekać na Kotulę...

– Ty musisz – przerwała jej dziewczyna.

– Słucham?

– Ty musisz, bo ja mam coś jeszcze do załatwienia... Muszę pójść w jedno miejsce.

– Jak to? Nie wracasz ze mną do domu? Nie zgadzam się!

– Nelu, ja po prostu muszę coś załatwić!

– Jesteś jeszcze za słaba na samotne włóczenie się po mieście. Dodatkowo w kopnym śniegu!

Wracasz ze mną do domu!

Michalina poczuła napływający falami gniew pomieszany ze sprzeciwem. Wszystko się w niej zbuntowało.

– Nie jestem za słaba ani ubezwłasnowolniona! Zanim ciebie spotkałam, decydowałam sama o sobie i...

– I marnie na tym wyszłaś! Powiedziałam, wracasz i koniec!

– Wróć, jak uporam się ze swoimi sprawami! – Michalina wysunęła podbródek i zacisnęła wargi. Usiłowała jeszcze zapanować nad słowami, ale już po chwili zdała sobie sprawę, że nie jest w stanie. Musiała powiedzieć to wszystko, co z taką ogromną siłą cisnęło jej się na usta. – Nie uciekam, nie zostawiam cię... Nie martw się, dobrze zrozumiałam, co mi chciałaś w zawołany sposób powiedzieć. Uważasz, że dostałaś mnie w zastępstwie zaginionej siostry... Wolałabyś ją, ale jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma! I wydaje ci się, że musisz się mną zająć! Ale ja nie jestem tą dawno temu zaginioną, której tak uparcie wypatrujesz!

– Doskonale wiem, że nie jesteś Klarą. Ale za to język masz rozpuszczony zupełnie jak ona – odpowiedziała Nela z kamiennym wyrazem twarzy. – Masz rację, nie mogę cię siłą zatrzymać, nawet jeżeli uważam, że tak by było dla ciebie najlepiej. Adres, jak mniemam, znasz, więc jak już załatwisz to, co masz do załatwienia, wiesz, gdzie mnie szukać – dodała, siłąc się na spokój.

Udało jej się zachować pokerową minę, dopóki zdumiona takim obrotem sprawy dziewczyna nie zniknęła za obrotowymi drzwiami sklepu. Ledwo Nela straciła ją z oczu, cały udawany spokój zniknął. Zaczęła się nerwowo rozglądać i z niecierpliwością przytupywała nogą.

– Kotula, do cholery, gdzie jesteś – mruzczała pod nosem.

Gdy się w końcu zjawił, spojrzała na niego z wyrzutem.

– Spóźniłeś się – powiedziała i ze zdumieniem stwierdziła, że chce jej się płakać. – Spóźniłeś się i już nic nie można zrobić. Zgubiliśmy ją – dodała i pociągnęła nosem. – A właściwie ja ją zgubiłam. I zupełnie nie wiem, co to znaczy i jak to się skończy...

Po raz pierwszy w życiu Michalina odczuwała taką niewiarygodną mieszaninę nastrojów. Była tak samo zdumiona, jak wściekła. Zdumiona tym, że Nela tak po prostu ustąpiła, a wściekła na to, że w tak bezpardonowy sposób usiłowała nią rządzić. Jakby Michalina była jej własnością! Jakby wszystko było Neli wolno! Jakby... się o nią troszczyła – zaszumiała jej w głowie nieproszona myśl i dziewczyna ze złością kopnęła w usypaną ze śniegu zaspę.

– Uchhhh, dlaczego to wszystko jest takie trudne – sapnęła i poczuła napływające wyrzuty sumienia.

Jeszcze przez jakiś czas, dopóki złość w niej kipiała, udawało jej się je zagłuszyć, ale później nie było już wyjścia. Sama przed sobą musiała przyznać, że zachowała się paskudnie.

Będę znów musiała ją przeprosić – pomyślała i rozejrzała się.

Trafiła. Dobrze zapamiętała uliczkę. Przed nią majaczyła opatulona śniegową kołdrą kwiaciarnia. W środku, w rześście oświetlonym wnętrzu stały wiadra i donice z kwiatami. Okna rozświetlono choinkowymi lampkami i zawieszono w nich świąteczne wieńce.

Tego jeszcze kilka dni temu nie było – skostatowała Michalina w myślach.

Gdy podeszła bliżej i przytknęła nos do szyby, zobaczyła, że na parapecie nadal stoi szopka. Była tak ładna, jak ją zapamiętała. Uśmiechnęła się na wspomnienie historii, którą opowiedziała jej kwiaciarka. O szopce i ocaleniu dzieci z pożaru. O aniele, który zaopiekował się ich rodziną.

Cóż, chyba i ja zacznę wierzyć w anioły – zaśmiała się w duchu i podeszła do drzwi. Kiedy je otwierała, usłyszała dźwięk dzwonka zawieszzonego nad wejściem. Kwiaciarka stała za stołem, na którym miała rozłożone szklane bombki, farby i pędzelki. Na widok wchodzącej Michaliny uśmiechnęła się i wytarła ręce w szmatkę przewieszoną przez poręcz krzesła.

– Dzień dobry, już do pani idę – przywitała się uprzejmie.

Ona mnie nie poznaje – uświadomiła sobie Michalina po chwili, gdy kwiaciarka w wyczekującej pozie stanęła za dużym biurkiem.

– Dzień dobry, to ja – powiedziała dziewczyna i uśmiechnęła się promiennie. – Przyszłam oddać pożyczoną kurtkę – dodała i dopiero wtedy w oczach kobiety stojącej za ladą pojawił się błysk rozpoznania.

– To ty. – Wpatrzyła się w nią z niedowierzaniem. – Bogu dziękować, to naprawdę ty! – powtórzyła, a w jej oczach zabłyśły łzy.

— Tak bardzo się bałam, że coś ci się stało! Obwinałam się, że cię nie zatrzymałam, że poprzestałam tylko na tym, że dałam ci kurtkę!

– Zrobiła pani więcej niż większość ludzi przed panią. – Michalina położyła na stole reklamówkę, w której przyniosła wspomnianą kurtkę. – I to pani rozpoczęła ten niezwykły ciąg zdarzeń. Gdyby nie ta opowieść o szopce i herbata, którą mnie pani poczęstowała... Nic z tego, co potem się stało, nie miałoby miejsca. A wydarzyło się naprawdę wiele.

– Właśnie widzę. – Gabrysia obrzuciła uważnym spojrzeniem odmienioną postać. – Wyglądasz zupełnie inaczej. I chwała Bogu, jesteś ciepło ubrana. A może napijesz się ze mną herbaty i wszystko mi opowiesz? Bo ja muszę wracać do pracy. – Wskazała na stół, na którym leżały bombki i farby. – Mam dużo zamówień. A jeszcze czekają na mnie te cyprysiki w doniczkach. Chciałabym je przystroić. Tak żeby przypominały miniaturowe choineczki. Będą pięknie wyglądały na biurkach i parapetach. To co? Zdejmuj kurtkę, bo tym razem nie wypuszczę cię, zanim mi wszystkiego nie opowiesz. Od naszego ostatniego spotkania nie przespałam spokojnie ani jednej nocy, gnębiona wyrzutami sumienia.

– Cóż, o wyrzutach sumienia ja też mogłabym co nieco powiedzieć – mruknęła Michalina i rozpięła kurtkę. – Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale od kilku dni wszyscy usiłują podejmować decyzje za mnie – dodała z westchnieniem. – Mówi się, że wprawa czyni mistrza, więc zapewne w końcu do tego przywyknę. Chyba że najpierw w napadzie złości zamorduję Nelę...

– Nie do końca wiem, o czym mówisz. – Kwiaciarka wzięła z jej rąk kurtkę i powiesiła ją na wieszaku stojącym obok drzwi. – Ale chętnie wszystkiego wysłucham. Tym bardziej że jesteś mi dłużna opowieść.

– Tym razem nie zamierzam uciekać. – Michalina podeszła do stolika i wzięła do ręki przezroczystą bombkę. – Ale dawno nie malowałam. Wydaje mi się, że całe wieki! – powiedziała tęsknie, obracając szklaną kulę w dłoni.

– Jeżeli masz ochotę, to proszę bardzo. Ta bombka jest twoja. Możesz ją sobie przyozdobić według uznania. Tam jeszcze mam plastikowe i styropianowe. Świetnie się sprawdzają przy decoupage...

– Wiem, ale jeżeli mogę, to chętnie bym się zajęła tą szklaną – uśmiechnęła się, chwytając pędzelek. – Uwielbiam malować – dodała i przez moment patrzyła na bombkę z zastanowieniem.

– To co, ta sama herbata co wtedy?

– Poproszę. Już na zawsze zapach cynamonu będzie mi się kojarzył ze szczęśliwym początkiem i będzie mi przypominał, że nigdy nie należy wątpić w ludzi. – Michalina pokiwała głową.

A potem ku swojemu zdumieniu poczuła, że chętnie opowie Gabrysi o wszystkim, co wydarzyło się od momentu, gdy opuściła jej kwiaciarnię. I o tym, co wydarzyło się wcześniej. I zrobiła to. Mówiła o śmierci babci, o ucieczce z domu, o strachu i o poczuciu osamotnienia. O starszym panu w granatowej czapce, który od dłuższego czasu ją dokarmił. O kościele i prośbie o ciepły kąpiel, dach nad głową i o to, by nigdy nie zapomniała, czym jest miłość i radość. O tym, jak zapadła ciemność i jak potknęła się o siedzącą na kościelnych schodach postać. O zjawieniu się Konstantego i o tym, jak transportowali nieprzytomną starszą panią do domu. O wizycie doktora Judyma i udawaniu przed nim wnuczki Neli. O tym, jak zrobiło jej się słabo, a potem jak obudziła się w ciepłym łóżku, okryta pierzyną. Jak starsza pani opowiedziała jej swoją historię i jak usiłowała nią rządzić.

– Boję się, że jej się wydaje, że przyszedłem w zastępstwie jej siostry – powiedziała z westchnieniem i odłożyła trzecią skończoną bombkę na specjalny stojaczek. – Albo nie daj Boże, że jestem jej kolejnym wcieleniem...

– A nawet jeżeli tak by było... Znaczy się, chodzi mi o to, że jeśli ta pani Nela wierzy w to, że jesteś tym zastępstwem, to co w tym złego? – zapytała Gabrysia celnie.

– Nie wiem... – Michalina przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. – Chyba chodzi o to, że boję się, że ona zacznie we mnie widzieć tę wyczekiwaną Klarę... A ja nią nie jestem. I nie będę.

– A może widzi w tobie nadzieję. Jesteś jeszcze młodziutka i możesz nie do końca rozumieć, że nie da się żyć wyłącznie przeszłością; może gdy zjawiłaś się pod jej dachem, dla niej otworzyły się nowe drzwi do tego życia tu i teraz. A może rzeczywiście jesteś tym jej cudem, o który prosiła. Z cudami nigdy nic nie wiadomo – dodała i zaskoczona spojrzała na kolejną bombkę, którą dziewczyna trzymała w rękach.

Do tej pory skupiona na opowieści Michaliny zupełnie nie zwracała uwagi na to, co ona tam smaruje. Teraz, patrząc na miniaturowe obrazki wychodzące spod pędzelka, który dziewczyna trzymała w dłoniach, na moment oniemiała. Na pierwszej bombce widać było kościół otulony śniegiem, schody i siedzącą na nich postać. Widoczne też były drzwi prowadzące do środka. Były uchylone, a zza nich wydobywało się światło. Niebo odbijało się granatem od spadzistego kościelnego dachu ubranego w śniegowe czapy. Obrazek żył. Gabrysia, patrząc na niego, miała wrażenie, że za chwilę drzwi kościoła otworzą się na całą szerokość, blask się rozprzestrzeni, a samotna postać wstanie ze schodów i zostanie przygarnięta przez światło. To samo dotyczyło kolejnej bombki. Widniał na niej anioł, który przysiadł na pniu przewróconego drzewa, a w rękach trzymał tabliczkę z napisem: „Anioł do wynajęcia”. Jego pierzaste skrzydła wyglądały na miękkie i opiekuńcze. Na twarzy miał wypisane miłość i czułość. A w oczach troskę. Gabrysia wprost nie mogła się na niego napatrzeć. Pogratulowała sobie w duchu, że kupując bombki, zdecydowała się na bardzo duży rozmiar szklanych kul. Potem tego trochę żałowała, bo ludzie chętniej sięgali po te mniejsze. Ale te pomalowane przez Michalinę były małymi dziełami sztuki. Gabrysia nie miała wątpliwości, że

z miejsca znajdują nabywców.

– Dziewczyno, ty masz autentyczny talent! – powiedziała, na moment zapominając o opowieści dziewczyny. – Pięknie malujesz!

– Przecież mówiłam, że dostałam imię po Michale Aniele. A to do czegoś zobowiązuje, prawda? – Roześmiała się, ale było widać, że pochwała sprawiła jej przyjemność.

– Słuchaj, a co byś powiedziała na pewną propozycję? – Gabrysia zmrużyła oczy i jeszcze raz popatrzyła na bombki. – Czysto biznesową... Ja mam teraz sporo zamówień na wieńce i inne dekoracje świąteczne. Moją dewizą jest to, że bombki, łańcuszki, no wszystkie dodatki robię sama. Chodzi o to, żeby były robione ręcznie. Ale to, co ja robię, nijak się ma do tego, co ty namalowałaś. Głównie obklejałam bombki, nauczyłam się podcieniowywać, ale malować nie potrafię nawet w połowie tak dobrze jak ty. Jestem przyzwoitym rzemieślnikiem, ty natomiast masz talent. Gdybyś chciała, mogłabym ci dać do świąt pracę. A potem... Potem się zobaczy. Co ty na to?

– Miałabym malować? – upewniła się Michalina.

– Dokładnie.

– Z największą przyjemnością. – Jej buzia aż pojaśniała ze szczęścia. – Będę miała pracę! Nawet pani nie wie, ile to dla mnie znaczy! Nie marzyłam o tym nawet w najśmielszych snach! Bo kto by chciał zatrudnić dziewczynę w ciąży! – dodała z rozpędu i po niewczasie zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała.

Bo opowiedziała wprawdzie Gabrysi swoją historię. Ale pominęła niektóre rzeczy. Nie wspomniała o chłopaku ze stacji benzynowej, bo nie chciała o nim mówić nikomu. Chciała wymazać ten incydent z pamięci. Nie pisnęła ani słówkiem o zauroczeniu Konstantym, bo sama przed sobą usiłowała udawać, że tak naprawdę nic takiego się nie dzieje. No i nie zwierzyła się z tego, że oczekuje dziecka. Po pierwsze, obiecała Neli, że nikomu nie powie, choć *de facto* starszej pani chodziło głównie o Kotulę, a po drugie, nie była gotowa, żeby o tym mówić. Przyzwyczaiła się do tego, że jej córeczka jest sekretem, którego należy strzec. Ale teraz mleko się rozlało.

– W ciąży? – powtórzyła za nią Gabrysia. – A więc tego mi brakowało w twojej opowieści. – Pokiwała głową. – Nie ucieka się z domu wyłącznie dlatego, że nie lubi się macochy. Wiedziałam, że tutaj gdzieś jest dziura, ale stwierdziłam, że nie będę cię ciągnąć za język, skoro sama powiedziałaś mi aż tyle... Dziewczyno, coś ty narobiła? Skazałaś siebie i dziecko na bezdomność?

– Mogłam zgodzić się na aborcję. Albo na adopcję... Nie było nikogo, kto by mi zaproponował inne rozwiązanie. Nie było nikogo, kto by mnie przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Nie było zupełnie nikogo – wyrzuciła z siebie drżącym głosem i poczuła, że płacze. – Zrobiłam to, co mogłam. Uciekłam – dodała i ukryła twarz w dłoniach.

I wtedy poczuła ramiona Gabrysi przytulające ją do siebie.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptała w jej włosy kobieta. – Teraz już wszystko będzie dobrze –

powtórzyła kojąco, a w duchu pomyślała, że podobieństwo, jakie dostrzegła między Michaliną i figurką Marii stojącą na parapecie, było zadziwiająco prawdziwe.

Obie bezdomne, skazane na tułaczkę. I obie oczekujące dzieci, które chciano im odebrać.

Uciekali, uciekali, uciekali

Na osiołku przez pustyni żar

Jak najdalej, jak najdalej, jak najdalej

Ukryć Dziecię, bezcenny ich skarb.

Jeszcze nie wiemy, co nam przeznaczone

I choć przeczucia czasem dręczą złe,

Ojciec Niebieski weźmie nas w obronę

I znowu Anioł zjawi się we śnie

– przemknęły jej przez głowę słowa kolędy. Tyle tylko, że Maria miała przy sobie Józefa, a ta mała była zupełnie sama... Gabrysia poczuła, że serce jej się ściska na samą myśl, co też to dziecko przeżyło. I pomyślała, że tym razem nie pójdzie na łatwiznę i zrobi wszystko, żeby Michalinie pomóc. Żadnych zakończeń rodem z *Dziewczynki z zapalkami* – stwierdziła z nagłą stanowczością. – A jeżeli będzie trzeba, to macochę się zlikwiduje... Ostatecznie paskudne macochy zazwyczaj źle kończyły. To wręcz tradycja, a tradycję należy kultywować. – Pokiwała głową i uśmiechnęła się z satysfakcją.

– No dobrze, skoro już wszystko wiemy, to przejdźmy do konkretów. Dość rozczulania, teraz trzeba działać – powiedziała i podała Michalinie opakowanie chusteczek higienicznych. – Najpierw pogadamy o pracy, a potem na wszelki wypadek podasz mi adres tej starszej pani... A ja dam ci swój. Gdyby coś się działo, po prostu przyjdiesz do mnie. Rozumiemy się?

– A nie miałyśmy najpierw rozmawiać o pracy? – mruknęła Michalina, wydmuchując nos. – Chyba rzeczywiście nie pozostaje mi nic innego jak przywyknąć do tego, że wszyscy usiłują mną rządzić i mówić mi, co mam robić... Pójdiesz, nie pójdiesz, napiszesz, rozumiemy się! Po prostu cudownie!

Gabrysia, patrząc na nią, roześmiała się serdecznie.

– A widzisz, bo prawda jest taka, że nigdy nie można mieć wszystkiego. Gdy nikogo koło ciebie nie było, mogłaś robić, co chciałaś i jak chciałaś. Ale byłaś samotna, prawda?

– No tak – przytaknęła niechętnie Michalina.

– Właśnie. Kiedy zaczynają się wokół ciebie gromadzić ludzie, którym na tobie zależy, to okazują ci troskę. I nie zawsze musi ci się to podobać, bo czasem może ci się wydawać, że usiłują włączyć z butami w twoje życie. Jednak jest to wyznacznik tego, że nie jesteś im obojętna... I tego, że już nie jesteś sama. Nie jest samotny ten, kto ma kogoś do kochania... Nie wiem, kto to powiedział, ale miał

rację. I być może powinnaś o tym pamiętać, gdy będziesz rozmawiała z tą starszą panią, o której mi opowiadałaś. Bo zdaje mi się, że ona właśnie też już nie chce być samotna. I szuka kogoś, kogo mogłaby tak zwyczajnie pokochać.

„Bo zdaje mi się, że ona już nie chce być samotna. I szuka kogoś, kogo mogłaby tak zwyczajnie pokochać”.

Te słowa cały czas szumiały Michalinie w głowie, gdy wyszła z kwaciarni i szła w kierunku domu Neli. A ja na nią tak nakrzyczałam! Byłam podła – dręczyła się, poprawiając raz po raz tobolek, który odebrała od Gabrysi. Muszę koniecznie ją przeprosić i... – Nie zdążyła dokończyć myśli, bo z bramy kamienicy wyszedł mężczyzna i zaszedł dziewczynie drogę. W pierwszym momencie serce jej stanęło z przerażenia, po to tylko by za sekundę zacząć bić jak oszalałe. Mimowolnie jej twarz rozjaśnił uśmiech. Przed nią stał Konstanty.

– Czekałem na ciebie – powiedział, zakładając przed sobą ręce. – Przywiozłem Nelę z zakupów, wmusiłem w nią kubek herbaty i parę łyżek zupy i teraz tak sobie stoję i czekam, aż raczysz wrócić – mówił i było widoczne, że z każdym wypowiedzianym słowem robił się coraz bardziej wściekły.

Jego granatowe oczy pociemniały i przypominały niebo tuż przed burzą. Sine odcienie zakryły całkowicie chabrowe tony, zniknął gdzieś pruski błękit.

– Wiesz, że ona przez ciebie płakała? Powiedziała, że cię zgubiła. Doprowadziłaś ją do rozpacz, a mnie do szaleństwa! Gdzieś ty była?!

– Czy wyście powariowali? Przecież wróciłam! Jeszcze kilka dni temu mogłam umrzeć z głodu, spałam w bramach i pies z kulawą nogą się tym nie przejmował, a teraz co? Opętała was miłość bliźniego?

– Kilka dni temu nie wiedziałem o twoim istnieniu. – Usiłował nie dać po sobie poznać, jak wstrząsnęły nim wykrzyczane przez dziewczynę słowa. – Nie wiedziałem też o Neli. Ale teraz wszystko się zmieniło i...

– I ja sobie z tym nie radzę – przerwała mu. – Nie radzę! Ty nic nie rozumiesz. Wszyscy chcecie dla mnie dobrze, nagle znalazło się mnóstwo ludzi, którzy chcą mi pomóc, a ja się zwyczajnie boję! Jeżeli nikomu nie zaufam, to nie dam się zranić. Nie mogę sobie na to pozwolić! Bo to mnie cholernie osłabi – powiedziała i zamilkła zaskoczona własnymi słowami.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, dlaczego tak bardzo irytowała ją ta cała troska. Dlaczego tak wszystko się w niej burzyło i czemu się buntowała. Ze strachu.

– Przepraszam! Ja nie mogę teraz rozmawiać – wyszeptała, czując, że za chwilę się rozpłacze.

Kolejny raz tego dnia. Łzy już wymykały się spod przymkniętych powiek, a ona absolutnie nie chciała płakać przy tym mężczyźnie. Rzuciła się na oślep do ucieczki, lecz on okazał się szybszy. Zastąpił jej drogę. Michalina poczuła, jak wpada na niego z całym impetem. Przytrzymał ją, jakimś cudem złapał równowagę i dopiero po chwili zorientował się, że trzyma ją w ramionach i że jej drobną

postać wstrząsa płacz.

– No masz ci los – mruknął odruchowo, przytulając ją do siebie. – Nie chciałem doprowadzić cię do łez. Naprawdę. No proszę, nie płacz już – powiedział, kołysząc ją w ramionach. – Zupełnie nie wiem, co się robi z płaczącymi kobietami... – dodał, jednak w odpowiedzi dziewczyna rozszlochała się jeszcze bardziej. – Posłuchaj... – Uniósł jej podbródek i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

I to był błąd. Patrzyła na niego zasmarkana, wstrząsana płaczem, z zaczerwionymi oczami. I nadal wydawała mu się piękna.

– A niech to diabli! – burknął i sam nie wiedział, jak i kiedy pochylił się i poszukał jej ust.

Były ciepłe i miękkie. Smakowały trochę słono. Policzki miała zimne i pachniała mrozem i wiatrem. Niechętnie oderwał usta od jej warg, ale jeszcze nie zamierzał wypuszczać jej z objęć.

– Teraz wszystko będzie dobrze, Chaśka – szepnął jej do ucha i z zadowoleniem stwierdził, że nareszcie przestała płakać.

– Jesteś już drugą osobą, która mi to dzisiaj mówi – mruknęła i skonstatowała, że teraz dla odmiany chce jej się śmiać.

– Mam tylko nadzieję, że ta pierwsza powiedziała ci to w nieco innych okolicznościach... A teraz idź już na górę – jego głos nabrał szorstkości. – Zanim Nela dostanie zawału... Bo osiwieć z niepokoju już nie zdoła – dodał, z niechęcią wypuszczając dziewczynę z objęć.

Poszła, ale przystanęła w bramie.

– Konstanty... Dziękuję – powiedziała cicho. – Za to, że tak się na mnie wściekłeś. To znaczy, że o mnie myślałeś... – dodała i szybko zniknęła w środku.

A Konstanty pomyślał, że oto na własne życzenie i z pełną premedytacją skomplikował sobie życie. Mógł się nią opiekować, mógł jej doglądać. Tak jak sobie obiecał. Dbać o to, żeby nie stała jej się krzywda. Mógł to wszystko robić jak starszy brat. Ale żaden starszy brat nie całuje w taki sposób ukochanej siostrzyczki. No, chyba że jest obrzydliwym zбочeńcem.

– To sobie chłopie nagrabiłeś – mruknął sam do siebie. – Zakochałeś się jak pierwszy lepszy sztubak w niezrównoważonej małolacie, która w jednym momencie płacze, w drugim się wścieka, a potem całuje się tak, że o niczym innym nie można myśleć. I dodatkowo mogę się założyć, że jutro będzie udawała, że nic się nie stało... Nie lepiej było trzymać się Joli? Albo Wiktorii? – I w tym momencie przypomniał sobie, że przecież był wstępnie umówiony z Wiki na jutrzejszy wieczór. Ale gdy proponował spotkanie, nie wiedział jeszcze, że spotka Chaśkę. I że w jego życiu pojawi się starsza pani, która wciągnie go bezpardonowo w swoje plany i w swoją codzienność. I że jak nastolatek będzie się zniecka całował w bramie. Z westchnieniem wyciągnął komórkę, wybrał numer Wiktorii i odwołał spotkanie. Nawet nie musiał się tłumaczyć. Wiki wiedziała, że jego plany dość często się zmieniają. Taka praca – mówił krótko i to wystarczało. Tym bardziej że dla obojga było jasne, że ich spotkania mają charakter czysto rozrywkowy. W końcu oboje byli dorośli i czasem mieli ochotę wypić

piwo, potańczyć, a jeżeli wieczór przebiegał wyjątkowo dobrze, kończył się w łóżku. Lecz w tej sytuacji nawet mowy nie było, żeby poszedł na takie spotkanie. Przez ostatnie dni wszystko uległo zmianie. Obawiał się jednak, że z Michaliną wcale nie pójdzie mu łatwo. Sama powiedziała, że się boi, więc na pewno nie rzuci się w jego ramiona. Dzisiejszy incydent to była po prostu chwila słabości...

Cóż, jeśli nie z tej strony, to z innej – pomyślał. I nagle go olśniło.

– Codziennosc! – mruknął do siebie i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Starsza pani wciągnęła go w swoją codzienność. A dopóki Michalina mieszka razem z nią, to jest ich wspólne życie. Wystarczy, że on, Konstanty, stanie się jego częścią. I wtedy być może Michalina mu zaufa. I nie będzie chciała przed nim uciekać. Bo uciec z całą pewnością by jej nie pozwolił. Wiedział, że wiele rzeczy zdarza się w życiu tylko raz. I jeżeli coś takiego szczególnego się pojawia, nawet w postaci mglistej zapowiedzi szczęścia, trzeba to złapać i trzymać ze wszystkich sił. I tak właśnie zamierzał postąpić.

Kolejne dni zdawały się zadawać kłam stwierdzeniu, że klimat ulega ociepleniu i że o zimach można będzie już niedługo zapomnieć. Śnieg padał nocami, prószył w ciągu dnia i skrzył się magicznie w ostrym zimowym słońcu. W parkach i na skwerach wyrastały bałwany wszelkiej maści i rozmiarów. Jedne były klasyczne z oczami z węgielków i nosami z marchewek, inne, bardziej fantazyjne, nosiły stare kapelusze i szyje miały obwiązane szalikami. Wiezorami mróz skrzypiał pod nogami i szczypał ludzi w policzki i nosy. Lecz w tym momencie u większości ta mroźność i śnieżność wywoływały tylko entuzjazm.

„Jak tak dalej pójdzie, to nareszcie będziemy mieli białe święta” – słyszało się zewsząd.

A śnieg nadal sypał jak na zamówienie. I tak nastał grudzień, dzień dziesiąty.

DZIESIĄTY GRUDNIA



Nela miała problem. A właściwie kilka problemów. Wszystkie były związane z Michaliną. Od pamiętnych zakupów i tego, co potem nastąpiło, pomiędzy starszą panią a dziewczyną zapanował spokój. Michalina wróciła do domu jakaś taka uśmiechnięta, choć po oczach wydawało się Neli, że płakała. Przeprosiła Petronelę i opowiedziała jej o propozycji pracy. Oczywiście w pierwszym momencie kobieta chciała stanowczo zaprotestować, ale tym razem w porę ugryzła się w język. Zrozumiała, że krzykiem, nakazami i zakazami niczego dobrego nie osiągnie. Nawet jeżeli wszystko, co robiła, czyniła wyłącznie z troski. O nią i o tę kruszynę, którą widziała na monitorze. Za jej czasów o takich cudach nawet się nie śniło. A tu proszę: i paluszki, i nóżki, i śmieszne wygibasy – wszystko było widać. A więc pomimo ogromnej ochoty powstrzymała swoje zapędy.

– Pamiętaj, Nelu, że dobrymi chęciami to jest caluteńkie piekło wybrukowane – mruzczała do siebie pod nosem.

W myśl tego powiedzenia powstrzymała się od uwag i zapytała, udając obojętność, czy mogłaby w takim razie pójść razem z Michaliną obejrzeć kwiaty.

– Oczywiście – uśmiechnęła się dziewczyna. – A przy okazji będziesz mogła zlustrować sobie Gabrysię i wszystko sprawdzić...

– Od razu zlustrować i sprawdzić! Myślisz, że ja nie mam nic ciekawszego do roboty, niż chodzić za tobą krok w krok? – sarknęła niezadowolona, że dziewczyna ją rozgryzła. – Po prostu chętnie kupiłabym gwiazdę betlejemską. W końcu idzie Boże Narodzenie... Lubię te kwiaty. Jak się już taką ma i chce się, żeby liście się wybarwiły, to trzeba włożyć ją do szafy.

– A dlaczego akurat do szafy? – zaciekawiała się Michalina.

– Bo tam jest ciemno i brak światła powoduje, że liście zmieniają kolor – cierpliwie wyjaśniła Nela.

I rzeczywiście następnego dnia poszła razem z dziewczyną i wróciła do domu uspokojona. Kwiaciarka okazała się miłą kobietą. Dodatkowo знаła się na fiołkach i miała kilka odmian, których Nela nie mogła do tej pory dostać. Starsza pani dotarła więc do domu bogatsza o trzy doniczki

z pięknie wybarwionymi kwiatuśkami. Zamówiła też wieniec na drzwi. Oczywiście o gwiazdce betlejemskiej na śmierć zapomniała, ale Michalina przyniosła ją wieczorem. Gdy dziewczyna weszła do kuchni i zobaczyła na stole czekającą na nią kolację, poczuła, że wzruszenie ściska ją za gardło, a w oczach stanęły jej łzy.

– Kurczę, nie wiem, co się ze mną dzieje – wyznała, gęsto mrugając. – Na przemian chce mi się płakać i śmiać. Albo wpadam w złość, a już w następnej sekundzie robię się tak sentymentalna, że zbiera mi się na mdłości...

– To się nazywa huśtawka hormonalna – uśmiechnęła się Nela. – W ciąży to norma. Możesz zacząć się przyzwyczajać. A skoro o mdłościach mowa, to chyba nie dokuczały ci za bardzo?

– Nie. Szczerze mówiąc, w ogóle nie czuję się, jakbym była w ciąży... Znaczą, oczywiście mam okrągły brzusek, czuję, jak mała się rusza, ale poza tym nic mi nie jest. Ani się szczególnie nie męczę, ani nigdy nie było mi niedobrze. Jedynie spać mi się bardziej chce, ale nie wiem, czy to w wyniku ciąży, czy dlatego że przez ostatnie miesiące raczej nie miałam warunków do tego, żeby się wysypiać. Może teraz po prostu nadrabiam zaległości – westchnęła i stłumiła ziewnięcie.

Nela oczywiście w pierwszym odruchu chciała zagonić ją do łóżka, ale znów się powstrzymała. Okazało się, że chyba obrała właściwą taktykę, bo od tamtego momentu nie pokłóciła się z Michaliną ani razu.

Kosztowało ją to dużo samozaparcia, bo odwykła od liczenia się z kimkolwiek. Przez ostatnie lata mówiła, co chciała i komu chciała.

Rozpuściłaś się, Nelu, niesamowicie – myślała samokrytycznie. – Zupełnie przestałaś zważać na innych, więc nic dziwnego, że teraz ci trudno.

Ale trzymała się i widać było, że Michalina też się stara, więc jakoś udawało im się dogadywać. Nela nie wiedziała jednak, jak ugryźć tematy, które jej zdaniem musiały zostać poruszone.

Pierwsze zmartwienie starszej pani dotyczyło dziwnego tobołka, który poprzedniego dnia Michalina przyniosła do kuchni. Paczka była owinięta w brudne reklamówki i tym dziwniejsze wydawało się zachowanie dziewczyny, która pogładziła tobołek z czułością. Gdy na niego patrzyła, twarz jej łagodniała, a w oczach zapalały się iskierki. Na pierwszy rzut oka było widać, że to, co tam ma, jest czymś szczególnym.

– Nelu, chciałam cię prosić o przysługę – zaczęła cichym, uroczystym głosem. – Tylko nie wiem, czy się zgodzisz...

Starszej pani przeszły po plecach dreszcze. Podniosły ton, prośba o przysługę... Poczła się dziwnie.

– Jeżeli tylko będę w stanie... – udzieliła wymijającej odpowiedzi.

– Użyczysz mi swojego piekarnika? – Michalina wpatrzyła się w nią błagalnym wzrokiem i złożyła ręce w geście prośby. A Nela zaniemówiła.

Takiej prośby się nie spodziewała.

– Piekarnika? – upewniła się, że na pewno dobrze zrozumiała.

– Tak. Bardzo mi na tym zależy...

– Ależ używaj go sobie do woli – wybąkała skonsternowana.

– Cudownie! – ucieszyła się Michalina. – Ale to nie dzisiaj, tylko jutro, jak wrócę, bo widzisz, mam tu coś. U nas w domu... To znaczy, w domu babci zawsze na święta był pieczony piernik staropolski. Taki, do którego najpierw robi się ciasto, ono przez kilka tygodni dojrzewa, a potem...

– Wiem o piernikach staropolskich wszystko – przerwała jej nieco skołowana Nela. – A co ma wspólnego ta historia rodzinna z tym, co tam masz? – Wskazała podbródkiem paczkę leżącą na stole.

– Bo to właśnie nasze ciasto...

– Twoje i twojej babci? – zapytała z namysłem starsza pani, wpatrując się uważnie w Michalinę. – Przecież ona zmarła we wrześniu zeszłego roku...

– To jest moje ciasto początkowe, ale robione według przepisu babci – wyjaśniła Michalina ze zniecierpliwieniem. – Gdybyś pozwoliła mi mówić, wiedziałabyś już wszystko. Babcia piekła taki piernik na każdą Wigilię. Twierdziła, że jak wyjdzie, to jest dobra wróżba na cały kolejny rok. W zeszłym roku, tuż po jej śmierci, nikt go nie zrobił. Szczerze mówiąc, nawet nie oczekiwałam, że Wandeczka się do tego zabierze, bo samo to, że ciasto piekła moja babcia, sprawiało, że za nic by takiego nie zrobiła. Ale ja też się do tego nie zabrałam. Bo nie chciałam świąt, nie chciałam choinki i tego piernika też nie chciałam. To wszystko zbyt mnie bolało. No i jak widzisz, rok, który nadszedł, nie był dla mnie najłaskawszy. Wszystko się skomplikowało. I tak jakoś pokojarzyło mi się to ze słowami babci o szczęściu i z brakiem piernika na Boże Narodzenie. Nie mogłam pozwolić sobie na to, żeby kolejny też był fatalny. Więc zagmiotłam to ciasto. Jeszcze w listopadzie. Tuż po Wszystkich Świętych pojechałam do domu babci. Na samo święto nie odważyłam się tam zjawić, bo bałam się, że spotkam ojca. I że siłą zabierze mnie ze sobą. A na to nie byłam gotowa. Dlatego przyjechałam kilka dni później. Zapaliłam znicz na grobie babci i poszłam do domu. Wydawał mi się obcy i pusty. I chciało mi się płakać. Jednak wzięłam się w garść, znalazłam zeszyt z przepisami i w babcinej kuchni, przy zapalonych świecach, zrobiłam wszystko, co trzeba. Na początku było mi nieswojo. Czułam się tak, jakbym odprawiała jakiś rytuał. Cienie rzucane przez płomyki świec tańczyły na ścianach i dom wydawał mi się groźny. Ale potem pomyślałam, że nawet jeżeli babcia jest tam, to tylko jako dobra siła, która nade mną czuwa. Kochała mnie jak nikt inny, więc na pewno nie chciałyby mnie skrzywdzić. Babcia zawsze robiła to ciasto w dużym kamionkowym naczyniu. To i ja zrobiłam dokładnie tak samo. No i pilnowałam go potem jak oka w głowie. Tylko miałam ogromny problem, bo nie wiedziałam, gdzie ten piernik będę mogła dokończyć. Sama rozumiesz, że w bramach, w których spałam, raczej nie instalowano piekarników. No i naczynie z kamionki było potwornie ciężkie. Z dnia na dzień z coraz większym trudem je dźwigałam. Kilka razy nawet miałam ochotę zostawić paczkę.

Ale nie mogłam tego zrobić. I na całe szczęście się nie załamalam. Teraz mogę go upiec, przełożyć powidłami i zostawić aż do świąt. I nawet jeżeli to wierutna bzdura, wiesz, coś w rodzaju zabobonów, to ja w to wierzę. I jak upiekę to ciasto i ono wyjdzie, to będę spokojniejsza. No i będę miała świadomość, że nie zapomniałam o tym, co było ważne w moim domu. Gdy mała się urodzi, będę chciała przekazać jej wszystko, czego zdążyłam się nauczyć od babci – dodała i pogładziła się po wypukłości rysującej się pod swetrem. – Zobacz, chyba usłyszała, że o niej mowa – uśmiechnęła się i sięgnęła po rękę Neli, przykładając ją do brzucha.

I Nela to poczuła. Lekkie falowanie, muśnięcie. Przymknęła oczy i wyobraziła sobie malutką rączkę wsuwającą się w jej dłoń, śmiech, który w końcu mógłby odbijać się od ścian tego wielkiego mieszkania. Śmiech, który mógłby to miejsce odczarować. Przecież tyle mogłaby temu maleństwu pokazać, tyle od siebie dać. Tak by było cudownie, gdyby obie zostały razem z nią. Michalina i ta, która już jest, ale dopiero nadejdzie. Wyobraziła sobie kuchnię i Michalinę, która by się w niej panoszyła, piekła te swoje czarodziejskie pierniki i kłóciła się z Nela zawzięcie. Wyobraziła sobie wysokie krzeselko, grzechotki i leżaczek. Zabawki, które poniewierałyby się w nieładzie po podłodze. Wyobraziła sobie pełne, tętniące prawdziwością życie. Dokładnie takie jak to, które teraz czuła pod swoją dłonią. I bardzo, bardzo za tym zatęskniła.

Niech nikt mi tego nie zabierze – poprosiła w duchu najbardziej żarliwie, jak potrafiła. – Skoro już ktoś przypomniał mi, co to znaczy żyć, to niech tak zostanie!

Powoli zabrała rękę z brzucha dziewczyny i trochę nieprzytomnie spojrzała na leżący na stole pakunek.

– Skoro przytargałaś to do mojej kuchni, to może pozbądź się tych brudnych toreb, zanim bakterie, które na nich bytują, przelezą na wszystko, co jest w okolicy i wywołają epidemię! – burknęła, usiłując pod pozorami szorstkości ukryć wzruszenie.

I wtedy to się stało. Michalina odwinęła naczynie i Nela z ciekawości do niego zerknęła. I to wystarczyło. Już na pierwszy rzut oka zobaczyła, że z tego ciasta nic nie będzie. Coś musiało się z nim stać... Może się przemroziło albo w inny sposób zepsuło. A ta głupia dziewczucha wierzyła, że od tego, czy wyjdzie jej ten piernik, zależy jej przyszłe szczęście!

– To kiedy bierzesz się do pieczenia? – zapytała, czym prędzej przesuwając kamionkowe naczynie na brzeg stołu i przykrywając je pokrywką, po którą sięgnęła na suszarkę do naczyń. – Przykryjemy, żeby się nie kurzyło – wyjaśniła w odpowiedzi na pytające spojrzenie Michaliny.

– Jutro, jak tylko wrócę z kwiaciarni. Czyli o jakiejś piątej, szóstej po południu. – Uśmiechnęła się do niej promiennie.

Czyli mam czas do jutra. Muszę coś wymyślić, żeby jakoś zaradzić nieszczęściu – westchnęła w duchu.

I to był pierwszy problem, który gnębił Nelę. Drugim była sprawa, której absolutnie nie można

było zostawić samej sobie. Należało dziewczynę przekonać, żeby skontaktowała się z ojcem i dowiedziała się, jak wygląda kwestia jej renty. No i ostatnia rzecz, bez względu na to, czy świadczenie było nadal wypłacane czy nie – Michalina powinna wrócić do szkoły. Może nie do tej, do której poprzednio chodziła, ale z całą pewnością istnieją jakieś kursy wieczorowe albo zaoczne. Nela się w tym kompletnie nie orientowała, ale przypuszczała, że takie szkoły nadal funkcjonują. I zupełnie nie miała pojęcia, co i jak ma zrobić, żeby dziewczyna zechciała najpierw spokojnie jej wysłuchać, a potem – nadal w spokoju – rozważyć argumenty.

– Cóż, mam całą długą noc na zastanawianie się nad tym wszystkim – westchnęła, gdy została już sama.

Poszła do swojej sypialni, przebrała się w koszulę nocną i położyła do łóżka z solennym postanowieniem, że teraz przeanalizuje wszystko raz jeszcze i podejmie decyzje.

Zepsute ciasto, zepsuty ojciec i zepsuta szkoła – zdołała pomyśleć i to było na tyle. Poczowała ogromne przygnębienie tym powszechnym zepsuciem i najzwyczajniej w świecie zmorzył ją sen.

Za to gdy rano otworzyła oczy, ze zdumieniem stwierdziła, że wie, co ma robić. Poranek nie tylko zwiastował nowy dzień, ale też przynosił gotowe rozwiązania.

JEDENASTY GRUDNIA



Na pierwszy rzut poszło ciasto na piernik. Nela poczekała, aż Michalina wyjdzie z domu, zamknęła drzwi na wszystkie zamki i poszła do kuchni. Odkryła kamionkową misę i przez moment niezdecydowana przyglądała się kluchowatemu ciastu. W końcu wzięła głęboki oddech i zdecydowanym ruchem wyrzuciła zawartość naczynia do kosza. Z miejsca poczuła się jak zbrodniarka.

– Mam nadzieję, że szanowna pani babcia mnie nie przeklnie z zaświatów – zamruczała, żeby dodać sobie otuchy. – Ostatecznie nam obu powinno zależeć na tym, żeby jej wnuczka nie popadła w paranoję z powodu oklapłego ciasta... Słuchaj... Babciu Michaliny – powiedziała, bo uświadomiła sobie, że nie zna imienia rzeczonyj babci. – Wierzę, że robiłaś najlepsze pierniki na świecie. Ale sama rozumiesz, że z tym tutaj coś poszło nie tak. Są takie sytuacje w życiu, że człowiek musi uciec się do oszustwa. I to jest właśnie jedna z nich – mówiła, myjąc misę i wycierając ją do sucha ściereczką.

Następnie podreptała do salonu i z szuflady komody wydobyła kilka pożółkłych zeszytów. Przerzuciła część z nich, aż w końcu na widok jednego, z lekko pogiętą okładką, uśmiechnęła się radośnie.

– Tu jesteś! Pewnie się nie spodziewałeś, że ktokolwiek jeszcze cię stąd wyciągnie – przemówiła do niego pieszczotliwie i pogładziła zagięcia. – Szczerze mówiąc, ja też nie przypuszczałam, że po ciebie sięgnę. A tu widzisz, taka niespodzianka!

Wróciła do kuchni i przekartkowała pożółkłe ze starości kartki. W końcu znalazła to, czego szukała. Rodzinny przepis na piernik długo dojrzewający. Wprawdzie powinien stać dużo dłużej, ale jak się go przełoży wilgotną konfiturą, to i tak będzie dobry – pomyślała i zabrała się do działania.

Miód, cukier i masło podgrzała na wolnym ogniu i powolutku doprowadziła do wrzenia. Wymieszała uważnie, patrząc, czy masa jest gładka. Była. Teraz należało ją wystudzić. Nela zdjęła z parapetu fiołki, uchyliła okno i postawiła garnczek w szczelinie. Nie miała czasu. Każda minuta była jej potrzebna. Gdy zawartość garnka przestygła, dodała do niej mąkę pszenną, sodę rozpuszczoną w mleku, jajka, sól i przyprawę do piernika. Wsypując ją do środka, głęboko wciągnęła powietrze.

Pachniało cynamonem, goździkami, zapowiedzią świąt. Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej tego wszystkiego brakowało. Zanurzyła ręce w cieście i starannie je wyrobiła. Następnie przełożyła całość do kamionkowej miski Michaliny.

– No to część pierwsza za nami – mruknęła do siebie z zadowoleniem.

Teraz telefon. Sięgnęła po notes leżący na stoliczku i poszukała literki „F”, pod którą miała zapisanego pana Stacha. Oczywiście pan Stach powinien być pod inną literą, ale Nela uważała, że skoro był doskonałym fachowcem, należało go wpisać właśnie tam. Zadzwoiła i wybłągała u niego natychmiastową wizytę. Na całe szczęście pan Stach miał do niej sentyment. Nela przypuszczała, że głównie zawdzięcza go temu, iż po każdej wizycie poza wynagrodzeniem dostawał od niej kieliszek przedniego koniaku.

Pan Stach zjawił się akurat w momencie, gdy kończyła sprzątanie miejsca zbrodni. Jeszcze tylko mąka do szafki i nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że w tej kuchni coś się działo.

– Pani Nelu, ale u pani pachnie piernikami – zachwycił się już w progu doskonały fachowiec, który widać poza smykąką do majsterkowania dysponował też doskonałym węchem.

– O cholera, dobrze, że pan wspomniał, trzeba będzie dokładnie wywietrzyć! – zawołała i zamachała w powietrzu ścierką, jakby to miało pomóc w pozbyciu się wypełniającej całe mieszkanie piernikowej woni.

– Ale dlaczego? Jak człowiek czuje taki zapach w powietrzu, to z miejsca robi mu się cieplej na sercu. I czuje się, że święta naprawdę nadchodzą. Wie pani, taką domowość. U nas w domu mamusia zawsze piekła pierniki. Takie do jedzenia, ale też takie cieniutkie. Do ozdabiania choinki. Sami dekorowaliśmy te ciasteczka. Różnie wprowadzie to wychodziło, bo miałem samych braci i wszyscy mieliśmy tak zwane maślane łapy, lecz zabawy przy tym było co niemiara. Mama kręciła lukier, a potem dodawała kolory. Nie takie, co to teraz w sklepach sprzedają, wie pani, sama chemia. Mamusia gotowała buraki na czerwony, a czerwoną kapustę na fioletowy... Echhh, to były czasy...

– Panie Stanisławie, niech no pan się nie rozczula, ostatecznie to nikt panu nie zabrania upiec i zdobić...

– Że niby ja, stary chłop, miałbym się babrać w lukrach?

– A co ma do tego wiek? – Nela wzruszyła ramionami. – Tęsknimy za tym, co sprawiało, że byliśmy szczęśliwi. Dlaczego mielibyśmy sobie tego odmawiać? Bo przybyło nam lat? Cała sztuka polega na tym, żeby zachować dziecięcy entuzjizm. Więc niech pan po powrocie do domu poprosi żonę o upieczenie pierników, a potem...

– A potem to wylecę do domu wariatów. Teresa, moja żona, z miejsca dojdzie do wniosku, że stało się to, co mi od lat przepowiada.

– Czyli? – zaciekawiała się Nela.

– Czyli że piwo mi mózg wyżarło. Ona mi to wieszczy już od niepamiętnych czasów.

– A wnuki pan ma?

– A co mam nie mieć. Pewnie, że mam.

– No to niech pan z nimi to zrobi. Wtedy upiecze pan trzy pieczenie przy jednym ogniu. Żona będzie z pana dumna, wnuki szczęśliwe, a pan będzie bawił się bezkarnie...

– To jest myśl! Ale teraz proszę powiedzieć, co mogę dla pani zrobić? Co się popsuło?

– Jeszcze nic – odpowiedziała ze stoickim spokojem Nela.

– Jak to jeszcze nic? – Pan Stach popatrzył na starszą panią, jakby była niespełna rozumu. – To co ja tu robię?

– Będzie mi pan, panie Stachu, psuł piekarnik.

– Psuł piekarnik? – powtórzył za nią zbity z pantałyku.

– No, tak tylko trochę... Żeby nie można było go odpalić, ale jednocześnie jak pan przyjdzie za półtora tygodnia, to żeby nie było problemu z przywróceniem go do pełnej sprawności. Skoro pan umie naprawiać, to chyba i zepsuć pan umie, prawda?

– Ale ja nie rozumiem... To jakiś podstęp, tak? Chce mnie pani sprawdzić?

– Panie Stachu, czy ja wyglądam na podfruwajkę, która bawi się z poważnym człowiekiem w podchody? – Widząc jego minę, pokiwała głową. – No właśnie. Więc niech pan się nie zastanawia, tylko psuje. Płacę podwójną stawkę i liczę, że po dobrze wykonanej pracy napije się pan ze mną koniaku – dorzuciła.

– No, skoro tak pani stawia sprawę. – Fachowiec z namysłem podrapał się po głowie, a potem z uwagą przyjrzał się piecykowi. – To nie będzie trudne – zawyrokował w końcu, Nela zaś z ulgą wypuściła wstrzymywane w napięciu powietrze.

Michalina już od jakiegoś czasu co chwila zerkała za okna kwiaciarni. Malowała bombki, mieszała farby, czyściła pędzelki i rzucała ukradkowe spojrzenia na zaśnieżony chodnik. Jeszcze go nie było... Ale była pewna, że się zjawi. Przychodził po nią codziennie. Od tamtego wieczoru i pocałunku zjawiał się pod kwiaciarnią i czekał cierpliwie, aż skończy pracę. Gdy Michalina po raz pierwszy zobaczyła, jak stoi i przytupuje z zimna, poczuła wielką radość pomieszaną z równie wielkim smutkiem.

Jaka szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach... – pomyślała tęsknie.

Jaka wielka szkoda, że to nie jego spotkała na górskim szlaku. Jej cudowny blondyn był rozrywką, sposobem na zapomnienie, próbą udowodnienia sobie i światu, że może się bawić i nie myśleć o konsekwencjach. Te ostatnie miały na ten temat inne zdanie i same się upomniały o swoje prawa... Ale gdyby na miejscu pięknego blondyna zjawiał się Konstanty... Wszystko wyglądałoby inaczej. Kotula nie był słodziakiem, nie był jak budyń z pianką, nie pomógłby jej w zapomnieniu. On sam był zapomnieniem. Można się było zatracić w jego oczach, uśmiechu i głosie. Niósł ze sobą pewność tego, co teraz, i tego, co nadejdzie. Ale właśnie dlatego, że był taki... – Michalinie trudno było znaleźć właściwe określenie. – Po prostu taki, jaki był, nie był dla niej. A raczej to ona nie była dla niego. Zamierzała mu to powiedzieć właśnie wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyła go za oknami kwiaciarni. Ale gdy wyszła i spojrzała mu prosto w twarz, stało się coś, czego się nie spodziewała. Poczowała spokój i zadziwiającą pewność, że to wszystko, co się dzieje, musi toczyć się dokładnie tak, jak się toczy. Niczego nie mogła zmienić, bo wiele rzeczy już się wydarzyło i nie można było ich cofnąć. A poza tym Konstanty nie należał do mężczyzn, którym mówiło się „odejdz”, a oni posłusznie odchodzili. Nie, on był myśliwym, cholernie pewnym siebie facetem, który jeżeli czegoś chciał, to potrafił zrobić wszystko, żeby to zdobyć. I Michalina pomyślała, że w tej chwili takiego kogoś potrzebuje najbardziej na świecie. Kogoś, kto jest silny, pewny siebie i nosi w oczach cały świat. Patrząc na Konstantego, poczuła się absurdalnie szczęśliwa.

Skoro i tak niczego to już nie zmieni, to sprezentuję sobie te kilka tygodni – pomyślała. – Podaruję sobie grudzień. A potem – powiem mu prawdę... I nauczę się żyć wspomnieniami. Przynajmniej będę miała za czym płakać i tęsknić, a to też ważne. Nie będę tylko pustą skorupą...

Gdyby zwierzyła się ze swoich myśli Neli albo Gabrysi, obie powiedziałyby jej, jak bardzo jest naiwna i niedojrzała. Może by usłyszała, że w życiu o ważne rzeczy trzeba walczyć i nie można już na starcie się poddawać. I że nie można podejmować decyzji za kogoś drugiego. Ale rzecz jasna dziewczyna nie zamierzała im się z niczego zwierzać. I tak miała po dziurki w nosie ich wszędobylstwa i męczącej troski.

Biedna, naiwna Michalina! Nie miała pojęcia, że to wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. I że jeżeli w grę wchodzi właśnie rodzące się uczucie, to nie ma co liczyć na kompromis. I nie ma sensu wyznaczać żadnych ram czasowych. Do końca grudnia, lipca czy października. Zakochanie i początki miłości rządzą się bowiem swoimi prawami. Zjawiają się w życiu dwojga ludzi i przewracają je do góry nogami. Nie pytają ich o zdanie, tylko robią to, co do nich należy. I bardzo rzadko kierują się rozsądkiem. I dzięki Bogu, bo w przeciwnym razie tyle pięknych miłości trwających lata nie miałyby szansy przetrwać nawet jednego dnia.

Ale o tym wszystkim Michalina miała się dopiero przekonać. Teraz, uspokojona daną sobie obietnicą, że to tylko chwilowe zezwolenie na szczęście, czekała na Konstantego, rozkoszując się spokojem i ciszą. Dobrze jej tu było. Polubiła kwaciarnię, intensywny zapach wielu kwiatów, którym przesiąkały jej włosy, wspólne picie z właścicielką herbaty cynamonowej i popołudniowe słuchanie kolęd i pastorałek.

Co byś chciała pod choinkę?

Może z nieba gwiazdkę małą

Rozjaśniłaby choć krzynkę

Twoją buzię osowiałą

Może chciałabyś niedźwiadka

Z marcepanu, z cukru świnkę

Ach, nie lada to zagadka

Co byś chciała pod choinkę

Może jakiś blask, może jakiś cień

Może jakiś zagubiony, zapomniany dzień

Może jakiś głos, może kilka słów

Coś, co poszło w obce strony, lecz się zjawi znów

Co byś chciała pod świerczyną

Co byś chciała po kolędzie?

Gdy anioły z nieba płyną

Wszystko może być i będzie (...)

– podśpiewywała właśnie, myjąc ostatni pędzelek, gdy drzwi kwaciarni się otworzyły i wszedł mężczyzna, na widok którego Gabrysia mimowolnie jęknęła. Michalina zdezorientowana popatrzyła najpierw na kwaciarkę, a potem na faceta. Wydał jej się jakiś znajomy, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie mogła go widzieć. W każdym razie kimkolwiek był, na pewno nie budził

w Gabrysi wielu ciepłych uczuć.

– Dzień dobry, Kochanieńka! – huknął od progu. – To znowu ja!

– Właśnie widzę. – Gabrysia odwróciła się do Michaliny i sugestywnie przewróciła oczami. –

Czym mogę służyć?

– Jak to czym? Bukiecikiem, rzecz jasna, zaraz pokażę, co bym chciał... No i oczywiście ponawiam ofertę kupienia tych tam figurynek. – Wskazał grubym jak serdelek palcem na anioła stojącego na parapecie.

– A ja ponownie mówię, że nie są na sprzedaż. Co się pan tak uparł na tę moją biedną szopkę? Przecież pan i tak chce jechać pod palmy i tam świętować Boże Narodzenie, wyciągnięty na leżaku, z drinkiem w dłoni...

– O tak! – przewał jej rozmarzonym tonem. – O tym marzę.

– A co na to pana narzeczona? Dała się przekonać? – Gabrysia zauważyła, że Kochanieńki raz po raz popatruje z uwagą na Michalinę.

– A nie, Kamisia Misia nadal uparta! Ale rozmiękczam ją tymi pięknymi bukietami. No i wykupiłem w tajemnicy wycieczkę, bo jak ją przekonam, a przekonam na pewno, to będzie jak znalazł. A wracając do bukietów, to poproszę jak zwykle róże, a potem te takie strzępiaste pomarańczowe i tamto różowe, a w środek doniczkę z tym tam, co kwitnie – rozochocił się Kochanieńki.

– Doniczkę... – Gabrysia na moment znieruchomiała.

– No co się dziwisz, Kochanieńka? Inwencję wykazuję, a ty – chcąc nie chcąc – musisz trochę wzlecieć nad swój zwykły, przeciętny poziom.

Michalina, słysząc ostatnie zdanie, z trudem stłumiła wybuch śmiechu. A to dobre! Przeciętny poziom. I to do kogo ta mowa! Do kobiety, która robiła bukiety dla kilku teatrów i na wiele publicznych uroczystości. Wystarczyło kilka dni, które dziewczyna tu przepracowała, a stało się dla niej jasne, że Gabrysia nie jest zwykłą kwiaciarką. Była pasjonatką i artystką. Kochała kwiaty i była wyczulona na piękno. A ten tutaj mówi jej, żeby nad poziomy wylatywała – mimo usilnych starań Michalina w końcu prychnęła śmiechem, natychmiast maskując go markowanym kaszelkiem.

– A tobie co? – Gabrysia nadal w lekkim szoku po tym, co usłyszała od Kochanieńskiego, odwróciła się do dziewczyny.

– A nic, nic... Tak zniemacka się zachłysnęłam – mruknęła. – A teraz będę się zbierała, bo Konstanty na mnie czeka. – Uśmiechnęła się, widząc pod oknami kwiaciarni znajomą postać. Jutro jestem punktualnie – rzuciła spod drzwi, w biegu zakładając kurtkę, i już jej nie było.

Szczeniara – pomyślała z zazdrością Gabrysia i z niechęcią spojrzała na stos kwiatków, które ułożył przed nią Kochanieńki. Miał irytujący zwyczaj wyciągania wszystkiego, co chciał, żeby znalazło się w bukiecie, i układania tego w wielki stos na jej blacie roboczym. I co ja mam z tym

zrobić? – zapytała się w duchu z rozpaczą. – Każde z innej parafii, znowu wyjdzie z tego potwór...

– To co, bierzemy się do roboty? – Kochanieńki zatarł ręce. – A z tej pani pracownicy to jest niezła szprycha!

– Niezłe co? – zapytała lodowatym tonem.

– No, niezła laska... Znaczą się, ładna jest. Nawet bardzo!

– A widzisz, kochanieńki, a jeszcze parę dni temu kazałeś mi ją posłać do diabła.

– Ja? Chyba musiałbym oszaleć!

– To jest ta sama dziewczyna, która wtedy, gdy pan był u mnie po raz pierwszy, stała przy ogniu.

I którą, jak to pan subtelnie określił? Należałoby odstrzelić? Coś tam jeszcze było o mądrości natury i selekcji naturalnej – pastwiła się nad nim, widząc, że z minuty na minutę robi się coraz bardziej czerwony. – A, pytał pan też, po co toto żyje – przypomniała usłużnie i dopiero wtedy zdecydowała się zamilknąć, bo patrząc na to, jak Kochanieńki mieni się na twarzy, przestraszyła się, że jeszcze gotów dostać ataku apopleksji.

Ale ku swojemu zdumieniu, chyba po raz pierwszy, zdołała nim wstrząsnąć. Nie odezwał się przez cały ten czas, gdy ona biedziła się nad skleceniem bukietu. Jak zwykle wyszedł potwornie. I jak zwykle Kochanieńki tego nie dostrzegął. Zapłacił i wyszedł, rzuciwszy tylko mrukliwe „do widzenia”.

I dobrze – pomyślała Gabrysia nielitościwie. – Bardzo dobrze!

A potem przypomniała sobie, że już dawno nie dzwoniła do Lilki, i sięgnęła po telefon.

* * *

– On mi całkowicie zepsuje reputację! – już po chwili skarżyła się przyjaciółce. – Te jego kompozycje mogłyby startować w kategorii najbrzydszy bukiet roku. Zresztą co ja mówię! Zdobyłyby pierwsze miejsce, nawet gdyby chodziło o ostatnie dwadzieścia lat! Niedługo zasłynę w mieście jako ta od makabrycznych wiechci!

– Przesadzasz – zbagatelizowała jej obawy Lilka. – Ty masz już wyrobioną renomę. Kilka paskudnych bukietów wiosny nie czyni. Tym bardziej że to są jego indywidualne zamówienia. Przecież nie możesz mieć wpływu na czyjś gust! A klient ma prawo dostać to, czego chce, czy nie tak?

– No tak, ale jak patrzę na to, co własnymi rękami muszę składać, to aż serce mnie boli...

– Cóż poradzisz. Życie to nie je bajka, jak mawiała moja ciotka. Zresztą ty jesteś w komfortowej sytuacji. Zamawia paskudztwo, ale jest zachwycony i płaci, i zarabiasz. A ja, jak tak dalej pójdzie, znajdę się na bruku.

– A co, nadal brak ci tego megatematu na rozkładówkę?

– No cóż... Skłaniam się ku banalnej tematyce – historii piernika. Ale gwarantuję ci, że tam u góry, gdzie siedzi szef wszystkich szefów, nasz nadredaktor, nie wzbudzi to zachwyty. Jeśli nie wymyślę niczego przez dwa dni, to kaplica. Zamieszkać u ciebie. Albo nie... Po prostu będę się u ciebie stołować, a mieszkać nadal będę w swoim domu... U ciebie musiałabym palić na zewnątrz, co równa się temu, że równie dobrze mogłabym siedzieć non stop w namiocie... Przecież ja palę jednego po drugim.

– Może byś w końcu rzuciła.

– Akurat. Starych drzew się nie przesadza ani nie pozbawia przyjemności. A ja kocham swój nałóg. To nie papierosy, tylko ich brak by mnie zabił. A jak nasza Anielica?

– Świetnie. Maluje tak, że płakać mi się chce z zazdrości, kiedy patrzę, co ona wyczarowuje zwykłym, malutkim pędzelkiem. I jak widzisz, jest uczciwa. Kurtki nie przepiła, tylko mi ją oddała. Pracuje i jest bardzo miła. Tyle tylko, że strasznie pogubiona i niedojrzała...

– A czego innego chcesz od nastolatki? Nawet pokiereszowanej przez życie? Naście lat to nie jest dobry okres dla powagi i rozsądku. Dobrze, kochana, wypaliłam fajkę, a teraz znikam, bo muszę popracować. Może jednak coś mnie olśni i spłynie na mnie świetlista wizja bożonarodzeniowego tematu. A ty się niczym nie martw... Robisz najładniejsze bukiety w całej Warszawie. A właśnie, już dawno miałam ci to powiedzieć. Rzadko mi się to zdarza, muszę jednak przyznać, że tym razem to ty miałaś rację, a ja się myliłam. Świat nie zawsze jest taki potwornie zły i przewidywalny.

– Lila, o czym ty mówisz?

– O Anielicy rzecz jasna. Miałaś rację – powtórzyła, tłumiąc kaszel. – Chyba muszę nad sobą popracować, bo obawiam się, że zaczęła mnie łąpać znieczulica. Mądrze to wtedy powiedziałaś, że nie trzeba zbawiać całego świata, wystarczy zatroszczyć się o konkretnego człowieka... A teraz natychmiast zapomnij to, co w tej chwili usłyszałaś, bo przyznawanie komuś racji nie jest moją mocną stroną – zakończyła i bezzwłocznie się rozłączyła, a Gabrysia, patrząc na telefon, uśmiechnęła się szeroko.

Lila należała do osób, które były najukochańsze na świecie i miały wielkie serce. Nauczyły się je skutecznie ukrywać, co wcale nie zmieniało faktu, że ich serca nadal były na miejscu.

Gabrysia już miała zamykać kwiaciarnię, ale jeszcze na moment wróciła do środka. Obejrzała jeszcze raz bombki ozdobione przez Michalinę. Na żadnej nie powtórzył się motyw z aniołem, który trzymał przed sobą tabliczkę „do wynajęcia”. Były inne, świetliste, promienne, żaden jednak z nich nie miał na twarzy takiej melancholii pomieszanej z wyrazem oczekiwania. Tamtą bombkę dziewczyna zabrała dla siebie. Widać było, że jest dla niej szczególna. Te dzisiejsze też były z aniołami, z białymi kościółkami, z kolorowymi choinkami, z dzwoneczkami, które wyglądały tak, jakby za moment miały się rozkołysać i rozdzwięczeć. Dziewczyna miała talent. To, co malowała, przestawało być tylko obrazkiem, a stawało się żywe i prawdziwe. Gabrysia pochyliła się nad ostatnią z bombek. To była jedna z tych ogromnych kul. Namalowane było na niej okno, otwarte okiennice, odsłonięte białe firanki. A w oknie stała postać z nieomal przyklejoną do szyby twarzą. W oddali ciągnęła się zasypana śniegiem uliczka, którą rozświetlały latarnie. Śnieg mienił się srebrem i błękitem. Uliczka była pusta i Gabrysia była przekonana, że postać w oknie wypatruje kogoś wytęsknionego. Kogoś, kto niekoniecznie się zjawi. Boże Narodzenie poza ogromną radością niosło też smutek. Smutek mającego się nigdy nie skończyć oczekiwania. Smutek tęsknoty. I raptownie poczuła, że spływa na nią nagłe uczucie zrozumienia. Już wiedziała, że zamknie kwiaciarnię i pojedzie w całkiem odwrotnym kierunku niż do domu. Koniecznie musiała coś załatwić.

Nela, widząc ją w progu, wyglądała na zaskoczoną.

– Dobry wieczór – odchrząknęła speszona nagle Gabrysia i wyciągnęła przed siebie doniczkę z dopiero co wyhodowaną, niewielką sadzonką. – To dla pani. Pamiętam, że jest pani miłośniczką fiołków, a to moja własna, wyhodowana z listka russkaja krasawica. Mam nadzieję, że takiej jeszcze pani nie ma.

– Proszę wejść. – Nela otrząsnęła się ze zdumienia i wpuściła Gabrysię do środka – Nie, krasawicy nie mam. Miałam kilka razy listki, ale nie udało mi się ich utrzymać. Za to widzę, że pani urosły już całkiem spore – dodała, odwinąwszy doniczkę z papieru. Pewnie pani szuka Michaliny. Wyszła do sklepu, zaraz wróci – ciągnęła starsza pani, prowadząc kobietę do kuchni. – Może zanim przyjdzie, napijemy się herbaty?

– Tak naprawdę przyszłam do pani. – Gabrysia nabrała głęboko powietrza. – Adres rzeczywiście miałam od Michaliny. Wymusiłam na niej, żeby mi go podała... Proszę się nie gniewać, ale martwiłam się o nią. Przypuszczam, że opowiedziała pani swoją historię i zapewne wspomniała też o tym, że tamtego dnia, zanim się spotkałyście, była u mnie w kwiaciarni. I ja wtedy pozwoliłam jej odejść. Nawet się pani nie domyśla, jak później tego żałowałam. Na dworze był wiatr, temperatura spadała, potem zaczął padać śnieg. A ja cały czas myślałam o tym, że tak naprawdę nie zrobiłam dla niej nic. Więc jak się pojawiła, chciałam mieć pewność, że tym razem niczego nie zaniedbam. Wzięłabym ją do siebie, ale ona chciała wracać do pani, więc poprosiłam o napisanie, gdzie mieszka.

– Rozumiem, nie musi mi pani tego tłumaczyć. Natomiast nadal nie pojmuję, czemu mnie pani szukała. Michalina coś zmalowała?

– Z tym poradziłabym sobie we własnym zakresie. Ostatecznie to dorosła dziewczyna. Nie, przyszłam z innego powodu. Moja przyjaciółka ma kłopot. Ogromny kłopot. – Zamilkła na chwilę i spojrzała Neli prosto w oczy.

– A co ja mam z tym kłopotem wspólnego? – Starsza pani zmarszczyła siwe brwi.

– Z nim nic. Ale jest pani w stanie mu zaradzić. – Gabrysia złożyła błagalnie ręce. – Tylko musiałyby pani podzielić się ze mną częścią swoich wspomnień...

I kwiaciarka opowiedziała Neli o Lilce. O braku tematu na rozkładówkę, o niezadowoleniu szefa wszystkich szefów.

– Więc mam opowiedzieć o przedwojennych Wigiliach, tak?

– Gdyby pani była tak dobra. Lilka nie wie, że tu przyszłam, nie wiem też, co powie na mój pomysł. Ale mam telefon komórkowy, a w nim dyktafon. Więc jeśliby się pani przychyliła do mojej prośby, to może wspólnie uratowałybyśmy jej skórę. Jeżeli nie, to zrozumiem.

– Wie pani, jest taki wiersz napisany przez Jana Twardowskiego, *Dawna Wigilia*. Zna go pani?

– Niestety nie kojarzę. – Gabrysia poczuła, że pot spływa jej cienką strużką po plecach. Nie dość, że kurtka była ciepła, a mieszkanie porządnie ogrzane, to dodatkowo potwornie się stremowała, czując na sobie świdrujący wzrok staruszki.

– To niech pani zdejmie kurtkę, bo zapewne jest pani spocona jak mysz – widać Nela czytała jej w myślach – a ja pójdę i poszukam tej książki, w której jest zapisany. Jak pani go przeczyta, to wyjaśnię, dlaczego wspomniałam właśnie o tym utworze – dodała i wyszła z kuchni.

Wróciła w momencie, gdy Gabrysia składała w równą kosteczkę zrobiony na drutach szalik. Starsza pani wskazała jej miejsce przy stole; przez chwilę panowała cisza przerywana jedynie przerzucaniem kartek w książce. W końcu Nela odnalazła to, czego szukała, i podsunęła Gabrysi tomik wierszy.

Przyszła mi na wigilię zziębnięta głuchociemna
z gwiazdą jak z jasną twarzą – wigilia przedwojenna
z domem co został jeszcze na cienkiej fotografii
z sercem co nigdy umrzeć porządnie nie potrafi

Przeczytała cicho i poczuła, że coś ściska ją za gardło.

z niemądrym bardzo piórem skrobiącym w kałamarzu
z przedpotopowym świętym z Piłsudskim w kalendarzu
z mamusią co od nieszczęść zasłonić chciała łzami
podając barszcz czerwony co śmieszył nas uszkami
z lampką z czajnikiem starym wydartym chyba niebu
z całą rodziną jeszcze to znaczy sprzed pogrzebów
Nad stołem mym samotnym zwiesiła czułą głowę
Nad wszystkie figi z makiem – dziś już posoborowe

Przyszła usiadła sobie. Jak żołnierz pomilczała
Jezusa z klasy pierwszej z opłatkiem mi podała

Doczytała do końca i przez chwilę siedziała ze spuszczoną głową.

– Przepraszam – powiedziała w końcu i uniosła znad książki pełne łez oczy. – Przepraszam! Nie chciałam budzić w pani tych wszystkich wspomnień. To znaczy chciałam, ale nie tak...

– Nie bądź niemądra dzie...! – Tu Nela jednak się zreflektowała. – Niech pani nie będzie niemądra – poprawiła się już dużo spokojniej. – Taka przedwojenna Wigilia przychodzi do mnie rok w rok. Ma pani ten dyktafon? To niech go pani włączy – w jej głosie były spokój i zdecydowanie. – Przychodzi

właśnie dlatego, że serce nadal bije, a święta tak jak za dawnych czasów nawet w takich zgorzkniałych staruszkach jak ja budzą nadzieję. I wspomnienia przychodzą nieproszone. Siadają przy stole, zajmując nie jedno, lecz wiele pustych miejsc. Jednak dzięki temu, że wciąż wracają, to dawne, drogie naszemu sercu nie umiera nigdy.

Nela na moment zamilkła, a potem przymknęła oczy. Pod zamkniętymi powiekami pojawiły się obrazy: wielka choinka, wspólne robienie ozdób przy wielkim stole, mama w przepięknej koronkowej sukni, tata przynoszący do domu paczki z bakaliami, suszonymi i kandyzowanymi owocami, Klara, jej siostra, z roziskrzonymi oczami i zarumienionymi policzkami.

– Święta... Święta zaczynały się jeszcze na długo przed samą Wigilią – zaczęła cicho. – Z początkiem grudnia zaczynał się już w domu ruch...

I słowa nieoczekiwanie popłynęły. Nela opowiedziała o tych Wigiliach, gdy jeszcze wszyscy byli razem, a o wojnie nikt nawet nie myślał. O czasie, który biegł wolniej, bo jakoś nikt się nie spieszył. O wigilijnych potrawach, o pierogach lepionych z sercem, ciastach, których aromat leniwie rozprzestrzeniał się po wszystkich pokojach. O tym, że nieważne były ilości jedzenia stojącego na stole, ale to, żeby wszyscy zgodnie do tego stołu usiedli. O świerku, który w poranek wigilijny ustawiany był w salonie, o świeczkach, które w specjalnych koszykach przymocowywano do gałązek. I o pełnej radości twarzy taty. Jaki on był wtedy szczęśliwy! Wieszając na drzewku łańcuchy ze słomy i bibuły i patrząc na rozpromienione twarze córek. Powiedziała też o tym, że nie trzeba było ciągle powtarzać: „Poczuj magię świąt”. Ta magia po prostu była. W ludziach. Potem wspomniała o tych całkiem innych, tych cichych, wojennych świętach. I o tym, jak później, co roku, przygotowywała całą wieczerę z nadzieją, że za którymś razem drzwi mieszkania się otworzą i stanie w nich jej siostra. O tym, jak na moment odczarowała ten czas, gdy w jej życiu pojawił się Aleksander. I o rozpaczy, gdy znów została sama.

– Ale w tym roku jest inaczej. Poprosiłam o cud i go dostałam. Otworzyłam drzwi i choć nie stanęła w nich Klara, pojawił się ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto sprawił, że utwierdziłam się w przekonaniu, że i moje serce nie umarło do końca. I mam nadzieję, że przed moją siostrą, gdziekolwiek była, kiedyś ktoś też otworzył szeroko drzwi... Wszystko jedno, czy były to drzwi ziemskie, czy niebiańskie – zakończyła i po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że jest spokojna.

Takim głębokim, mocnym spokojem opartym na wielkiej miłości i wierze w to, że wszystko, co się wydarzyło, miało głęboki sens.

Być może musiałam przejść przez to wszystko, żeby w ten konkretny dzień spotkać Michalinę i się od niej nie odwrócić – pomyślała. – Być może, nie wiedząc o tym, uratowałyśmy się nawzajem. I możliwe, że to Klara daje mi znak, że czas się pożegnać, a zarazem przygotować na przywitanie. Kiedyś, w nieodgadnionej przyszłości.

Ale tego już nie powiedziała głośno. Nie było takiej potrzeby.

Opowieść była skończona i Nela nie zamierzała nic do niej dodawać. Pomyślała tylko, że być może szkoda, że Michalina tego wszystkiego nie usłyszała. Może wtedy lepiej by ją rozumiała i łatwiej by jej było dogadać się z nią w tych kilku bardzo istotnych sprawach.

Nela nie wiedziała, że tym razem się myli. Michalina bowiem wróciła już jakiś czas temu i wysłuchiwała opowieści Neli, stojąc pod drzwiami w kuchni. Podśluchiwała i oczywiście wiedziała, że źle robi. Równocześnie nie czuła wyrzutów sumienia, a jedynie głębokie współczucie pomieszane ze smutkiem i z mocnym postanowieniem, że cokolwiek będzie się działo i jakkolwiek starsza pani będzie jej działać na nerwy, to na pewno nie zostawi jej samej.

Już nigdy – powtórzyła w duchu i cichutko wycofała się do przedpokoju, gdzie zaczęła ostentacyjnie głośno tupać. Dopiero potem poszła do kuchni i na widok siedzącej przy stole Gabrysi zrobiła zaskoczona minę.

– A co pani tu robi? – zapytała, stawiając siatkę z zakupami na stole.

– Ratuję tyłek mojej koleżance. – Gabrysia bez większego powodzenia usiłowała ukryć wzruszenie. – I uczę się wciąż na nowo, że najważniejszy jest drugi człowiek – powiedziała pozornie bez związku i pociągnawszy nosem, wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

Ledwo znalazła się na ulicy, a w oczy uderzyły ją podświetlone banery z hasłami świątecznymi i reklamami wmawiającymi ludziom, że bez określonej kawy, napojów, góry jedzenia ich święta będą wybrakowane. Sami zabijamy w sobie to, o czym Nela tak pięknie mówiła – pomyślała ze smutkiem. – Krzyczymy o magii świąt, a zapominamy, czym ona rzeczywiście jest... Grunt jednak, żeby się nie dać, żeby nie pójść z tłumem... – Wyciągnęła komórkę z torebki i sprawdziła, czy opowieść starszej pani się nagrała. A gdy stwierdziła, że tak – wybrała numer Lilki.

– Mam dla ciebie temat na tę nieszczęsną rozkładówkę – powiedziała krótko. – A jeżeli mi powiesz, że to niemodne, to obiecuję, że nie odezwę się do ciebie do końca życia. I będziesz musiała sama iść do tej staruszki i powiedzieć jej, że całe jej życie wrzuciłaś do kosza, bo jest niepoczytne.

– Nic z tego nie rozumiem, choć brzmi ciekawie – westchnęła Lilka. – Przyjedź do mnie, to mi wyjaśnisz, jaka staruszka i czemu mi grozisz – dodała i nie czekając na odpowiedź, rozłączyła się.

Nela postanowiła odłożyć poważną rozmowę z Michaliną na następny dzień. Chciała wprawdzie to załatwić jak najszybciej, ale po wyjściu Gabrysi poczuła się wykończona. Widać pół dnia kręcenia się po kuchni, a potem powrót do przeszłości to było za wiele jak na jeden raz. Na całe szczęście dziewczyna w miarę spokojnie przyjęła do wiadomości, że piekarnik nie chce się uruchomić. Nela omamiła ją rychłą wizytą doskonałego fachowca – pana Stacha, następnie uspokoiła Michalinę stwierdzeniem, że przecież nawet na cztery dni przed Wigilią zdążą z pieczeniem i na tym sprawa się skończyła.

Teraz, leżąc już w łóżku, starsza pani usiłowała zasnąć. Ale nie mogła. Coś nie dawało jej spokoju. Coś, co budziło w niej lęk, a jednocześnie było dziwnie znajome. Kiedy w końcu dotarło do niej, co to jest, aż usiadła ze zdziwienia w pościeli.

Najzwyczajniej w świecie chciała świąt. Chciała tego wszystkiego, o czym dziś opowiadała kwiaciarce. Chciała radosnego klejenia ozdób, wycinania pierników, słuchania pastorałek. Chciała kolacji, przy której najpierw się śpiewa kolędy i dzieli opłatkiem. Chciała pierogów, karpia i miłości wyczuwalnej na każdym kroku. Chciała tego wszystkiego, przed czym przez te wszystkie lata się broniła. Gdy zdała sobie z tego sprawę, opadła na poduszki i poczuła, jak po jej pomarszczonej twarzy spływają łzy...

– Dziękuję – szepnęła w ciemność wypełniającą pokój. – Dziękuję za to, że znów to wszystko czuję!

I tak oto nastał grudzień, dzień dwunasty. I magia świąt wróciła.

DWUNASTY GRUDNIA



Michalina szła, trzymając się z Konstantym za rękę. Nawet nie wiedziała, kiedy dokładnie stało się to ich zwyczajem. Wychodziła z kwaciarni, przez moment szli w milczeniu, potem on odwracał ją twarzą do siebie, poprawiał szalik i jakby nigdy nic, brał za rękę. I on, i ona mieli rękawiczki, a pomimo tego czuła, jak od jego dłoni rozchodzi się ciepło, które obejmowało ją całą. Miała też wrażenie, że przy Konstantym mała częściej się rusza. Jakby wyrywała się, żeby go poznać. Brzuch lekko falował, a ona dziękowała losowi, że jest zima i może maskować powiększające się zaokrąglenie kurtką albo luźnym swetrem. Z jednej strony najchętniej by mu powiedziała wszystko, ale z drugiej – wdzięczna była Neli, która wymusiła na niej tę dziwną i niezrozumiałą obietnicę. Dzięki temu miała wymówkę dla swojego postępowania. Ostatecznie dała słowo, prawda? A obietnic się nie łamie.

Szli powoli przez park, po którym, korzystając z białego, zimnego dobrobytu, biegały zaczerwienione od mrozu dzieci. Niektóre ciągnęły za sobą sanki, inne obrzucały się śnieżkami.

– Ale im zazdrozczę – westchnęła Michalina, patrząc na rozgorzałą śnieżkową wojnę.

Ledwo zdążyła to powiedzieć, jeszcze na dobre nie wybrzmiało jej tęskne westchnienie, a już poczuła wypełnione śniegiem ręce Konstantego na policzkach. Zapiszczała tak, że aż jakaś ciasno objęta para obejrzała się za siebie, sprawdzając, co się dzieje. Widać jednak uznali, że to zabawa zakochanych, takich jak oni, bo tylko radośnie się uśmiechnęli i pomaszerowali dalej.

– Och ty! – roześmiała się Michalina i odskoczyła do tyłu. – Lojalnie uprzedzam, że wypowiedziałeś mi wojnę! – dodała, nabierając śniegu w rękawiczki i lepiąc z niego kulkę.

Zanim jednak zdążyła ją rzucić, już w jej kierunku poszybowała śnieżka. Uchyliła się i rzuciła, trafiając mężczyznę prosto w ramię. A potem była następna kulka. I następna. Michalina poczuła się tak, jakby czas się cofnął. Jakby nie miała żadnych problemów ani tajemnic, które musi skrzętnie ukrywać.

Zadyszana, roześmiana odskoczyła, gdy Konstanty usiłował ją złapać i wrzucić śnieżkę za kołnierz. Skupiona na ucieczce, straciła równowagę i niechybnie by się przewróciła, gdyby nie silna

ręka Kotuli. Złapał ją mocno, przytrzymał, a potem powoli i bezpiecznie opuścił w śnieg, kładąc się tuż koło niej.

– Ale na pewno, proszę pana? – roześmiała się, podparłszy się na łokciu. – Nie szkoda panu tego eleganckiego płaszcza na leżenie i taplanie się w śniegu? Czy aby pan to przemyślał?

– Proszę pani, nigdy w życiu nie byłem niczego tak pewny – odpowiedział, przyciągając ją do siebie tak, że jego twarz znalazła się nad jej twarzą. – Nigdy w życiu – powtórzył miękko.

Powoli pochylił się nad nią tak, że ich usta dzielił zaledwie milimetr.

– I właśnie dlatego, że to, co się między nami zaczyna dziać, nie przypomina niczego, co do tej pory przeżywałem, w tej chwili cię nie pocałuję. Mimo że mam na to ogromną ochotę – wyszeptał, patrząc jej głęboko w oczy. – Przyznaję, to się dzieje szybko. Ale nie znaczy, że jest mniej ważne. To ma być na poważnie, rozumiesz? Ty i ja. My.

Michalina poczuła, jak topnieje pod intensywnością tego spojrzenia. Miała wrażenie, że nawet śnieg tego nie wytrzyma i za chwilę wokół nich go nie będzie. Uniosła dłonie i objęła twarz Konstantego, potem pojechała ręką wyżej i zanurzyła palce w jego ciemnych włosach. Były tak miękkie, jak to sobie zawsze wyobrażała. Zdziwiająco – znała go zaledwie kilka dni, a myślała o nim w kategoriach „zawsze”.

– Od dłuższego czasu brałam tylko to, co los mi przyniósł – odszepnęła, głębiej zanurzając rękę w jego czuprynie. – I nie liczyłam na nic. Byłam potulna jak baranek... Ale teraz pozwolisz, że nie ty będziesz o wszystkim decydował, a ja zrobię to, czego pragnę. – Przyciągnęła jego głowę i wtuliła swoje wargi w jego usta.

Michalina miała wrażenie, że świat się zatrzymał. Że mieści się tylko w tym dotyku, czułości, w głębokiej barwie jego oczu. W tym pocałunku było wszystko, czego pragnęła. Spokój zimowych wieczorów i zapowiedź letnich burz. Zamglone poranki i słoneczne popołudnia.

– Ty i ja... – powtórzyła, gdy w końcu oderwał usta od jej ust.

– Nie. – Przecząco pokręcił głową. – Nie ty i ja. My, Chaśka. Po prostu my.

Nela była coraz bardziej zniecierpliwiona. Michalina się haniebnie spóźniała, a ona, po pierwsze, musiała z nią porozmawiać i spróbować przekonać ją do swoich racji, a po drugie, chciała z nią skonsultować kilka spraw, bo w ciągu dnia przekartkowała stary zeszyt z przepisami i zrobiła listę zakupów, i ustaliła, jak to wszystko będzie wyglądać. A potem pomyślała, że tak naprawdę nie ma pewności, czy Michalina w ogóle zamierza z nią zostać i czy Kotula, którego też chciała zaprosić na święta, nie ma innych planów. W końcu się doczekała. Dziewczyna wpadła do domu jak burza i zniemacka pocałowała Nelę w oba policzki.

– A to niby za co? – Odgoniła się od niej, ale nie zdołała powstrzymać uśmiechu, który przemknął jej po twarzy. – A w ogóle to jak ty wyglądasz? Włosy przemoczone, na butach pełno śniegu! Kałuże będą na całej podłodze! I zaziębisz się na śmierć!

– Nie będzie żadnych kałuż, bo stoję na dywanie – roześmiała się Michalina, nic sobie nie robiąc z utyskiwań starszej pani. – Wsiąknie i nic nie będzie widać. – Uchyliła się przed ścierką, którą Nela machnęła w jej kierunku. – A zaziębić się nie zaziębię, bo zaraz wysuszę włosy i napiję się twojej pysznej herbaty lipowej. Z miodem i cytryną. I będę rozgrzana, że ho, ho!

– Ho, ho! – przedrzeźniała ją staruszka. – Zero powagi! Naprawdę temu twojemu biednemu dziecku przyda się przyzwoita babka. Oczywiście mówię o sobie – dodała i jakby nigdy nic zaczęła wyjmować kubeczki z szafki.

– Ty i babka? A kto mi jeszcze niedawno mówił, że na babcię się nie nadaje? – wytknęła jej Michalina, wycierając włosy w ścierkę kuchenną.

– Dlatego nie powiedziałam babcia, tylko babka. Babka ma w sobie o wiele więcej powagi. I respekt budzi, i ma coś z czarownicy. Ostatecznie kiedyś były babki, które zajmowały się czarami i zamawianiem. I taką babką z czystym sumieniem mogę być...

– Nie wiem, czy dziecko zrozumie tę całą pokrętną logikę – westchnęła Michalina.

– O to się nie martw. Czy mi się wydaje, czy też zbecześciłaś moją ścierkę? Naprawdę nie mogłaś pójść do łazienki po ręcznik?

– Nie mogłam, bo gdybym była tam, nie mogłabym być tutaj z tobą – udzieliła jej błyskotliwej odpowiedzi.

– Dobrze, to skoro już zdjęłaś kurtkę, a ja zrobiłam herbatę i podgrzałam zupę...

– Nelu, a co z piekarnikiem? – przerwała jej Michalina.

– Pan Stach był tu dzisiaj, ale potrzebne są jakieś części, które musi dokupić. Obiecał, że piekarnik zostanie zrobiony tak, żebyśmy zdążyły wszystko upiec – skłamała gładko, pocieszając się, że to nie do końca kłamstwo, bo przecież piekarnik rzeczywiście zostanie zrobiony w odpowiednim czasie. –

A teraz siadaj, jedz i mnie posłuchaj. Nie przerywając. – Postawiła przed dziewczyną talerz z parującą zupą zacierkową.

– Nie przerywając? – Michalina z miejsca zrobiła się czujna.

– Tak, bo wiem, że to, co powiem, nie przypadnie ci do gustu. Ale wiem też, że mam rację i żebyś miała szansę spokojnie to ocenić, musisz mnie wysłuchać.

– Jeszcze na dobre nie zaczęłaś, a już mi się nie podoba – mruknęła Michalina, przyglądając się uważnie zupie. – Nigdy takiej nie jadłam...

– Wyszła z mody. Tak jak wiele dań i rzeczy przed nią – uśmiechnęła się Nela. – A mnie jakoś tak dziś naszło na wspominki i w ich wyniku wskrzesiłam zacierkową. A teraz posłuchaj... Wiem, że mi zaufałaś i opowiedziałaś wszystko o sobie...

– Miałaś rację, nie spodoba mi się. – Michalina przełknęła pierwszą łyżkę i z uznaniem uniosła brwi. Zupa smakowała nad podziw dobrze. A nawet więcej, była pyszna.

– Miałaś nie przerywać – westchnęła Nela. – Widzisz, są dwie sprawy, które mnie męczą. Pierwsza to twój ojciec.

– Nelu... Okej. Zapomniałam. Miałam doczekać do końca. Już nic nie mówię. – Widząc minę starszej pani, podniosła rękę w geście poddania.

– Twój ojciec to palant. – Nela postanowiła nie owijać w bawełnę. – Zresztą od początku nie ukrywałam, że nie żywię do niego zbyt ciepłych uczuć. O tej całej Wandeczce nawet nie chce mi się mówić, bo szkoda języka strzępić na takie jak ona. Ale ojciec to ojciec. Nawet jeżeli ci się trafił gorszy egzemplarz, nawet jeżeli jest pantoflarzem, który boi się nosa wychylić spod bucika drugiej żony, to jednak zasługuje na to, by wiedzieć, że żyjesz i masz się dobrze. Mówiłaś też, że kochasz swojego przyrodniego brata. Jego matka postanowiła was rozdzielić. Ukrywając się, tylko jej pomagasz. Ona nie może decydować o tym, jak się będą układały sprawy między tobą a jej synem. Nie powinnaś odpuszczać. To po pierwsze. Nieobecni nigdy nie mają racji. A po drugie, ja tam bym jej chętnie nieco utrudniła życie. Nie znosiłam głupich i małostkowych fląder. I ta niechęć utrzymała się we mnie do dziś.

– Nelu, ale ja nie czuję się gotowa na konfrontację. Nie chcę się denerwować. Nie zafunduję mojemu dziecku nerwicy już w brzuchu.

– Dobrze. Rozumiem. W takim razie ja tam pojedę. Porozmawiam z twoim ojcem, powiem mu, że jesteś cała i zdrowa, i zapytam o to, jak wygląda sprawa świadczeń po twojej mamie. I powiem mu, że jak na odpowiedzialnego człowieka przystało, od stycznia wracasz do szkoły.

– Ja wracam? – Michalina znieruchomiała z podniesioną łyżką, na której w odmętach zupy apetycznie kołysała się zacierka.

– Ty, przecież nie ja. Musisz wrócić do szkoły i zdać maturę. Teraz będziesz mamą. Musisz dbać o swoją przyszłość, bo tym samym dbasz o przyszłość swojej córki. Ja ci we wszystkim pomogę. Nie

jesteś już sama, Michalino – oświadczyła Nela i zamilkła zdumiona, że to koniec.

Powiedziała to, co miało zostać powiedziane. Jak na razie obie to przeżyły i żadna nie skoczyła drugiej do oczu. Niewątpliwie był to duży plus.

A Michalina milczała, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nagle wokół niej znalazło się tyle osób, o które mogła się troszczyć i które troszczyły się o nią. Już nie była samotna. Miała kogo kochać.

– Ty też już nie jesteś sama, Nelu – powiedziała w końcu, z trudem wydobywając głos ze ściśniętego wzruszeniem gardła, i położyła dłoń na pomarszczonej ręce starszej pani. – I masz rację. Pójdę do szkoły i zawiadomię ojca... Może wystarczy, że napiszę do niego list albo wyślę esemesa...

– Nie. Trzeba mieć pewność, że on wie. Że to nie Wandeczka dorwała się do wiadomości, tylko dotarło to do niego. No i należy koniecznie ustalić, jak to jest z rentą po twojej mamie. A do tego trzeba osobistego kontaktu. Tak jak powiedziałam, ja pojedę.

– Nie znasz Wandy. Musiałabym nie mieć serca, żeby cię wysyłać prosto w jej rozwartą paszczę.

– Dziecko, a ty nie znasz mnie. Ja też potrafię być żmiją, jeżeli sytuacja tego wymaga. Gdyby było inaczej, nie przeżyłabym tych wszystkich lat, które mam za sobą. Zresztą uwierz, to będzie dla mnie w pewnym sensie... rozrywka. A teraz po prostu podasz mi adres.

– Tak, po prostu podam ci adres! Jak ostatni tchórz!

– Jak rozsądna osoba, która wie, że więcej tam wskóra poseł niż sam zainteresowany. – Nela podsunęła jej przygotowaną wcześniej kartkę. – Napisz mi tu adres. Pojadę tam pojutrze. Bo na jutro mamy inne plany. Musimy zrobić świąteczne zakupy. Kupimy mak, na kutię i na makowiec, i śledzie, ale takie prawdziwe, z beczki. Zamarynuję je tak, jak robiła to moja mamusia. I jeszcze śledzie w cebulce... I kapustę wigilijną – rozmarzyła się Nela. – I pierogi z kapustą i grzybami...

– I pękniemy z przejedzenia... – przerwała jej ze śmiechem te rojenia Michalina. – I kto to wszystko zje?

– Może Kotula przyjdzie. Mężczyzna zawsze ma większy apetyt... – rzuciła Nela niby od niechcienia.

– Coś mi się wydaje, że on ma swoją rodzinę. – Dziewczyna nagle posmutniała. – Wspominał raz czy dwa, że jego rodzice mieszkają gdzieś indziej. To pewnie do nich pojedzie na święta...

– Pewnie tak. – Ku swojemu niezadowoleniu Nela też zmarkotniała. – Ja go jednak zapytam, co ty na to?

– Zapytaj. – Michalina wzruszyła ramionami. – Ale przecież to logiczne, że pojedzie do swoich – ostatnie słowo wymówiła z wyraźnym trudem. – Chyba rzeczywiście przemarzłam, bo jakoś tak mi zimno. Pójdę się położyć – dodała i cicho poszła do swojego pokoju.

Ale Nela wiedziała swoje. Michalinie po prostu zrobiło się przykro.

– Stara jesteś, a głupia – mruknęła starsza pani do siebie. – Jakbyś nie mogła trzymać tego swojego jęzora za zębami! Najpierw było wybadać chłopaka, a dopiero potem cokolwiek mówić!

Cóż, może jeszcze da się to jakoś odwrócić... – pomyślała, zrywając kartkę z kalendarza.
Po kilku godzinach zegar wybił dwudziestą czwartą. I nastał grudzień, dzień trzynasty.

TRZYNASTY GRUDNIA



Nela od samego rana dzwoniła do Kotuli, ale ten jak na złość nie dość, że nie odbierał telefonów, to jego aparat mówił irytująco piskliwym, kobiecym głosem: „Abonent czasowo niedostępny”.

– Co to do cholery ma być! – Starsza pani ze złością cisnęła słuchawkę na widełki.

Po co mi to gada do ucha! Jakbym sama się nie domyślała, że skoro nie odbiera, to znaczy, że niedostępny! A swoją drogą to najpierw szpanują tymi komórkami, nigdzie się bez nich nie ruszają, a potem jak przychodzi co do czego, to nie można się do nich dodzwonić – myślała z irytacją.

Cały czas czuła się winna po wczorajszej rozmowie z Michaliną. Słyszała, stojąc pod drzwiami jej pokoju, że dziewczyna cicho płakała, i widziała, że rano wyszła do pracy z zaczerwienionymi oczami. A przecież wczoraj, zanim Nela nieopatrnie wyskoczyła z tymi świętami i z ideą zaproszenia Kotuli, mała miała doskonały humor. Starsza pani zaryzykowałaby nawet stwierdzenie, że po raz pierwszy widziała ją tak po prostu szczęśliwą. I teraz gnębiona wyrzutami sumienia usiłowała naprawić fatalne skutki swojego wczorajszego mielenia jęzorem. A on jak na złość nie odbierał!

Oddzwonił dopiero po trzynastej.

– Pani Nelu, stało się coś? – zagadnął. W tle było słycać szum samochodów. – Zaniepokoiłem się, bo dzwoniła pani do mnie jedenaście razy.

– Gdyby coś się stało i potrzebowałabym pomocy, to z taką reakcją z twojej strony już dawno leżałabym martwa! – sarknęła.

– Cóż... Sądząc po tonie, to albo doskonale się pani maskuje, albo jeszcze długo skonanie pani nie grozi – roześmiał się. – Nie mogłem odebrać, bo byłem w pracy. Musiałem wyłączyć komórkę.

– W pracy? – zdumiała się Nela.

– Cóż, tacy zwykli śmiertelnicy jak ja nie mają wyjścia. Muszą pracować – uświadomił jej pogodnym tonem.

– Ale zwykle jak do ciebie dzwoniłam przed południem, to odbierałeś...

– Nienormowane godziny pracy. Zresztą z tego też żyję. Z odbierania telefonów. Choć nie jest to

moje główne zajęcie – wyjaśnił, lecz oczywiście nic konkretnego nie powiedział.

Nela już niejednokrotnie usiłowała wybadać, czym Konstanty się zajmuje, i zawsze uzyskiwała wymijające odpowiedzi. Wciągnęła nawet w tę grę Michalinę i obie usiłowały wydobyć z Kotuli zeznania, ale jak do tej pory z marnym skutkiem.

Może jest telemarketerem i z jakichś powodów wstydzi się do tego przyznać? – przemknęło jej przez głowę.

Ale nie, jego sposób bycia i ubierania z czymś się Neli kojarzyły, a to coś nie miało nic wspólnego z telefonami.

– Dzwoniłam, bo muszę z tobą, chłopcze, porozmawiać o świętach. – Łaskawie postanowiła przestać się dąsać i przejść do sedna sprawy. – A zależy mi, żeby nie było przy tym Michaliny...

– Cóż, ja też chciałbym z panią porozmawiać o tym samym. I też sam na sam – stwierdził ku jej zaskoczeniu. – Jeżeli jest pani w domu, to może teraz bym mógł podjechać? Mam wolne dwie godziny...

– W takim razie czekam – odpowiedziała krótko i odłożyła słuchawkę.

Ciekawe, co też on ma jej do powiedzenia... Widać nie tylko jej sprawa świąt leżała na sercu. Choć w głębi duszy Nela przypuszczała, że tym, co leżało na sercu Konstantemu, była Michalina. I cóż, kłamałaby, gdyby powiedziała, że jej to nie cieszy.

Konstanty wysłuchał starszej pani w skupieniu, a potem cichym głosem wyłuszczył jej swój plan. Następnie punkt po punkcie rozwiązał jej wątpliwości. Nela nie we wszystkim przyznała mu rację, ale w dużej części się z nim zgadzała.

– Nie chciałabym być tylko dla nikogo ciężarem – powiedziała.

– I nie będzie pani. Pani Nelu, poznała mnie pani już trochę. Nie zaproponowałbym niczego, co by niosło ze sobą jakiegokolwiek przykrości. Tak dla pani, jak i dla Michaliny.

– Wiem – odpowiedziała krótko i pomyślała, że wszystkie plany, które miała, właśnie biorą w łeb.

Chociaż jakby się tak głębiej nad tym zastanowić, to nie musiała rezygnować z niczego... I tak obowiązywała ją tajemnica, a żeby ją utrzymać, musiała stwarzać pozory. Więc najkorzystniej byłoby ich nie stwarzać, tylko zamienić je w coś autentycznego... I gdy na to wpadła, nagle plan Konstantego przestał budzić jej wątpliwości.

– To jak, pani Nelu, umowa stoi? – zapytał z uśmiechem. – Tajemnica?

– Tajemnica! – Nela wyciągnęła do niego dłoń i mocno uścisnęła podaną rękę.

Gabrysia spojrzała za okno i mimowolnie jęknęła. Ten dźwięk Michalina już rozpoznawała. Znaczył on mianowicie, że nadchodzi jakiś kłopotliwy klient. Im dźwięk był dłuższy, tym większego upierdliwca zapowiadał. Tym razem jęknięcie trwało i trwało. Zaciekawiona dziewczyna aż oderwała się od malowania drewnienek, które miały służyć jako bileciki przyczepiane do prezentów. W ostatnich dniach wyprodukowała ich mnóstwo, ale cieszyły się takim powodzeniem, że nie nadążała z dorabianiem wciąż nowych. Zaciekawiona, kto w kwaciarce budzi aż taki „entuzjazm”, spojrzała z wyczekiwaniem na drzwi. Otworzyły się niemal w tej samej sekundzie i do środka wszedł facet – był tu już któryś raz z rzędu i wydawał się Michalinie dziwnie znajomy. Ostentacyjne bogactwo aż od niego biło. Złote sygnety, płaszcz, za który zapewne niejedna rodzina przeżyłaby kilka miesięcy. Zresztą co tam płaszcz! Michalina przypuszczała, że spieniężenie samego szalika wystarczyłoby na kilka tygodni dostatniego życia. Zwykle gdy nadchodził, roztaczał wokół atmosferę niczym niezmaconej pewności siebie, wręcz ocierającej się o arogancję. Ale tym razem coś było nie tak. Wszedł ze zwieszoną głową i z miejsca klapnął na krzesło stojące przy blacie roboczym Gabrysi.

– O rany! – skwitowała jego zachowanie kwaciarka, a potem na moment zapadła cisza. – Panie Kochanieńki, stało się coś? – zagadnęła go w końcu skonfundowana, zauważając jednocześnie na głowie klienta guza pokaźnych rozmiarów. – Ktoś pana pobił? – usiłowała go podpytać, widząc, że sam nie kwapi się, by cokolwiek powiedzieć.

– Katastrofa – rzekł w końcu złamanym głosem. – Mówię pani, zupełna katastrofa!

– Ale co się stało?

– Moje życie się skończyło! – odparł patetycznie i spojrział na Gabrysię załzawionymi oczami.

O matko, tylko nie to! – pomyślała spanikowana. – Żeby mi tu tylko nie zaczął płakać! Co ja zrobię z pogrążonym we łzach Kochanieńkim?

– Nie no, panie... Jak pan ma w ogóle na imię? – zapytała, usiłując odwrócić jego uwagę i zapobiec pogrążaniu się w otchłani rozpacz.

– Patryk! Patryk, kochanieńka!

– W takim razie, panie Patryku, nigdy nie jest tak źle, żeby...

– Nie mogło być gorzej – zakończyła usłudze Michalina i została obrzucona przez Gabrysię takim spojrzeniem, że natychmiast zamilkła, obiecując sobie, że nie odezwie się już ani słowem.

– Żeby nie mogło być lepiej – powiedziała Gabrysia, kręcąc z naganą głową.

Michalina doskonale zdawała sobie sprawę, dla kogo ta nagana była przeznaczona.

– To co się takiego stało? – zapytała następnie kwaciarka.

– Miłość mojego życia wyrzuciła mnie z domu na zbity pysk! I jeszcze za mną tym bukietem

rzuciła... I dostałem w głowę doniczką, bo tam przecież była doniczka w środku – wyznał płacząco.
– Ale nawet to jej nie wzruszyło! Mogłaby mnie zabić z zimną krwią i nawet serce by jej nie drgnęło!

– A mówiłam, że kwiatek doniczkowy w bukiecie to nie najlepszy pomysł – nie mogła się powstrzymać Gabrysia.

– Szkoda, że nie mówiła pani, że może się stać narzędziem zbrodni! – wytknął jej Kochanieńki.

– Mniejsza o to. A czemu to pana narzeczona rzucała w pana kwiatkami? – zapytała, choć obawiała się, że zna odpowiedź.

Po prostu nie mogła już znieść tych potworków i przestała nad sobą panować.

– Bo przyniosłem jej w prezencie ten bukiet... – Gabrysia znieruchomiała, słysząc, jak potwierdza się jej przypuszczenie. – Ale dodatkowo kupiłem jej coś jeszcze – ciągnął tragicznym tonem Kochanieńki i to pozwoliło kwiaciarce mieć nadzieję, że jednak nie tylko ona przyczyniła się do obudzenia morderczych żądz narzeczonej. – Kupiłem jej piękny kostium i dałem razem z biletem na naszą świąteczną wyprawę... A potem dostała szału. Krzyczała, że w ogóle jej nie słucham, że nie nadaję się, żeby mieć rodzinę, bo w ogóle nie rozumiem, co w życiu jest ważne, że za nic mam tradycję i potrzeby innych! No i rzuciła we mnie kostiumem, a na schodach dogonił mnie jeszcze ten nieszczęsny bukiet! Kazała mi się wynosić i już więcej nie wracać. – Kochanieńki pociągnął kilka razy nosem. – A ja ją tak bardzo kocham – wyznał następnie. – Pani jest kobietą, prawda?

– Tak mi się do tej pory wydawało – wydukała Gabrysia, zbyt zdumiona, żeby być stuprocentowo pewna czegokolwiek.

– To niech mi pani powie, co ja mam robić? Bo ja nic z tego nie rozumiem! Przecież ja jej chciałem nieba przychylić! Gwiazdkę z nieba podarować! A co mam w zamian? Guza na głowie! I czuję jeden wielki mętlik!

– Cóż ja mogę panu powiedzieć... Może rzeczywiście pan jej nie słuchał? Ja rozumiem, że to było wszystko z miłości – zastrzegła, widząc jego minę. – Ale już przy pierwszej wizycie u mnie mówił pan, że narzeczona nigdzie nie chce jechać, tylko nastawia się na tradycyjne święta... To może skoro pan ją tak kocha, to zamiast tej gwiazdki z nieba da jej to, na czym naprawdę jej zależy? Choinkę, opłatek, stół i Wigilię z rodziną – wytłumaczyła, zastanawiając się jednocześnie, czy aby na pewno dobrze zrozumiała intencje bądź co bądź nieznannej narzeczonej.

– Myśli pani? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Przynajmniej w przeciwieństwie do niektórych się staram – mruknęła, ale tak jak przypuszczała, Kochanieńki nie wziął tego do siebie.

– To w takim razie ja do niej pójdę...

– Raczej niech pan to przełoży na jutro, a jeszcze lepiej na pojutrze – poradziła mu Gabrysia. – Niech kobieta trochę ochłonie – dodała wyjaśniająco.

Jeszcze chwilę zajęło jej uspokajanie Kochanieńskiego, a dopiero gdy w końcu zdecydował się

pójść i zamknęły się za nim drzwi, odetchnęła z ulgą.

– No i co się tak przyglądasz? – zapytała Michalinę, która nie spuszczała z niej rozbawionego spojrzenia. – Człowiek był w potrzebie, to jakoś trzeba było zareagować... Nawet jeżeli myślenie nie jest jego mocną stroną.

– Przecież ja nic nie mówię. – Michalina z niewinną miną sięgnęła po kolejne drewnienko. – Myślę tylko, że oprócz sprzedaży kwiatów powinna pani założyć poradnię dla sercowców. Kącik złamanych serc – dodała i parsknęła śmiechem, przypominając sobie minę Kochanieńskiego, gdy dotarło do niego, że rozwiązanie jego problemu nie musi być aż tak bardzo skomplikowane. Że może wystarczy, jak przeprosi.

Ale po chwili spoważniała, bo pomyślała, że tak naprawdę to ona pierwsza powinna stanąć w kolejce po Gabryśine porady. Bo przecież było jasne, że już niedługo sama będzie w dużo gorszym stanie niż Kochanieńki.

Ale to jeszcze nie teraz. Jeszcze mamy grudzień – pocieszyła się w duchu i stwierdziła, że zdolność niemyślenia byłaby czasami naprawdę pożądanym darem. I że w niektórych wypadkach takim Kochanieńkim z ich brakiem pojmowania jest dużo, dużo prościej.

Tej nocy w mieszkaniu Neli panowała cisza, przerywana jedynie cykaniem starego zegara. Jego wskazówki przesuwały się nieomal niedostrzegalnie. Cyk, cyk, cyk... i do przodu. Cyk, cyk, cyk... Odmierzały kolejne minuty i godziny. I niepostrzeżenie przyszedł świt. I nastał grudzień. Dzień czternasty.

CZTERNASTY GRUDNIA



Przy śniadaniu Nela oznajmiła Michalinie, że tego dnia jednak nie pojedzie do jej ojca.

– Jutro. Zrobię to jutro – powiedziała, nakładając na kanapkę sporą górkę twarogu wymieszanego ze szczypiorkiem i pomidorem. – Dzisiaj jakoś mnie w krzyżu łamie – jęknęła i pomasowała sobie plecy. – Zadziwiające... – dodała, zagadkowo wpatrując się w kanapkę.

– To absolutnie nie ruszaj się z domu. – Michalina próbowała nie pokazać po sobie, jak bardzo jej ulżyło, gdy usłyszała, że Nela odłożyła tę podróż na później. – Nie ma co ryzykować. Tym bardziej że na dworze jest zimno. Mróz złapał i nie wygląda na to, żeby było lepiej. Ale o czymś mówiłaś... Co zadziwiające? – przypomniała sobie ostatnie słowo wypowiedziane przez starszą panią.

– To, że teraz nawet w środku zimy można jeść kanapkę z pomidorem – mruknęła Nela. – Kiedyś to się nam nawet o tym nie śniło. Pamiętasz piosenkę Kabaretu Starszych Panów?

Addio pomidory

Addio ulubione

Słoneczka zachodzące za mój zimowy stół

Nadchodzą znów wieczory sałatki niejedzonej

Tęsknoty dojmującej i łyzy przelkniętej w pół (...)

– zanuciła.

– Słyszałam raz czy dwa, ale nigdy jakoś specjalnie nie wsłuchiwałam się w słowa – mruknęła Michalina.

– No tak, niby taki mały, czerwony, zwyczajny pomidor, a można w nim dostrzec symbol podzielenia światów. Na ten wcześniejszy, gdzie pomidor był dobrem wyczekiwany, i na ten późniejszy. Czas niczym nieograniczonego dobrobytu... Czy ty wiesz, że kiedyś na mandarynki i pomarańcze trzeba było czatować jak na najprawdziwszą zwierzynę? Przed świętami wszyscy się zasadzali na takie rarytasy. A jaką dumę się czuło, gdy coś tak ekskluzywnego i rzadkiego udało się

zdobyć...

– Przepraszam cię, Nelu, ale ja tego nie pamiętam. Z opowieści znam historie o zdobywaniu papieru toaletowego i pokątnym handlowaniu mięsem, ale mnie te ciekawe czasy ominęły. – Michalina popiła kanapkę herbatą, sięgnęła po plasterek cytryny leżący na kryształowym spodeczku i zjadła go ze smakiem. – Ostatnio mam niepohamowany apetyt na kwaśne... Muszę lecieć. – Cmoknęła starszą panią w policzek i rzeczywiście poleciała.

Zbiegała po schodach z takim impetem, że Nela w kuchni słyszała echo. Muszę jej zwrócić uwagę, żeby nie gnała jak szalona, bo jak się z tym brzuchem przewróci, to zrobi krzywdę sobie i małej – pomyślała i podeszła do okna. Patrzyła, jak Michalina szybkim krokiem idzie przed siebie, co jakiś czas przeskakując sterty śniegu zalegające na chodnikach.

– Coś mi się wydaje, że mogę sobie darować wszelkie uwagi. To tak jakbym gadała do wiatru – zamruczała, kręcąc głową. – Ona zupełnie nie wygląda na przyszłą, stateczną matkę...

Ale czy wszystkie matki muszą być stateczne? – zapytała się natychmiast w duchu. Nie trzeba być poukładanym, żeby być dobrym rodzicem. A Michalina nie byłaby sobą, gdyby nie była spontaniczna, żywiołowa i pyskata. Zupełnie tak jak ja – przemknęło jej przez głowę.

No a teraz dość już mitrżenia czasu. Pora się zbierać – pogoniła samą siebie. Cała ta gadka o bolącym kręgosłupie była zwykłą ściemą. Tak samo zresztą jak pogadanka na temat pomidorów i dawnych czasów – miały one na celu tylko jedno: odwrócenie uwagi Michaliny od poprzedniego tematu. Nela nie chciała, żeby dziewczyna wiedziała, że jedzie załatwić sprawę z jej ojcem. W końcu przyszła matka miała rację, gdy powiedziała, że jak tak dalej pójdzie, to dziecko nabawi się nerwicy, zanim się urodzi. Dlatego lepiej było, żeby Michalina przeżyła ten dzień w błogiej nieświadomości. Jej nerwy w niczym nikomu nie pomogą – myślała Nela, wyjmując z przepastnej szafy długą wełnianą sukienkę. Do tego eleganckie buty, na niewielkim obcasiku. I rzecz jasna futro, skórzane rękawiczki obszyte futerkiem i mufka. Grunt to dobrze wyglądać, bo to natychmiast pokazuje typom wandeczkopodobnym ich miejsce. Jeszcze delikatne pociągnięcie pomadką ust i była gotowa. W samą porę zresztą, bo pod kamienicę zajechała właśnie zamówiona wcześniej taksówka.

Taksówka dotarła pod wskazany adres i Nela przez chwilę z namysłem przyglądała się okazałemu domowi, z dużym podwórkiem, na którym pyszniła się wielka rodzina bałwanów. No tak, Michalina mówiła przecież, że w domu jest mały chłopczyk i zapewne to on był twórcą tego bałwanowego stada. Starsza pani przez moment siedziała na tylnym siedzeniu samochodu i zbierała się w sobie. Taksówkarz popatrywał na nią, ale jako że został już poinformowany, iż ma poczekać, bo zaraz będą wracali, nie ponaglał pasażerki. W końcu wzięła głęboki oddech i wysiadła. Zrobiła to jednak w ten sposób, że kierowca mimowolnie gwizdnął z uznaniem. Tak to z wozów wychodziły tylko wielkie gwiazdy albo arystokratki. Zresztą pasażerka przez całą podróż kogoś mu przypominała i teraz nareszcie olśniło go kogóż to. Miała coś z jego ulubionej aktorki, pani Beaty Tyszkiewicz, choć w tym wypadku powinien raczej stwierdzić, że to Tyszkiewicz miała coś z tej kobiety. Bo jego pasażerka była z całą pewnością starsza. Miała wszakże klasę i szyk! To trzeba było przyznać. Patrząc, jak podchodzi do furtki wielkiego domu, zastanawiał się, po co tu przyjechała. Coś w wyrazie jej twarzy mówiło mu, że nie jest to czysto towarzyska wizyta.

No, stary, daj sobie na wstrzymanie. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Jesteś jedynie prostym taksówkarzem. Masz zawieźć i przywieźć klienta pod wskazany adres. A nie niuchać niczym ciekawskie babsko... – napomniął sam siebie.

Ale przecież nikt mi nie zabroni i nikomu nie zaszkodzi, jeżeli wyjdę z samochodu rozprostować kości i zapalić papierosa... – pomyślał i sięgnął po leżącą w schowku paczkę.

Nela tymczasem po raz kolejny nacisnęła dzwonek przy furtce. Wzięta na spytki Michalina wyznała, że jej ojciec pracuje w domu i że zawsze można go tam zastać do godziny szesnastej. Więc o tej porze powinien być na miejscu. W końcu drzwi się otworzyły i wyjrzała zza nich wysoka kobieta z wymodelowanymi starannie włosami. Obrzuciła Nelę niechętnym spojrzeniem i na moment zniknęła w środku. Gdy znów się pojawiła, zarzucała na siebie kurtkę. Zdecydowanym, kołyszącym krokiem podeszła do furtki.

No to mamy Wandeczkę we własnej osobie – pomyślała Nela i mimowolnie się skrzywiła. Cóż, kobieta niewątpliwie była atrakcyjna. Chodziła, wypychając biodra do przodu, i zapewne kołysała pupą. Tego Nela nie mogła zobaczyć, niemniej znała ten typ na tyle dobrze, żeby wiedzieć takie rzeczy. Flądra i suka – pomyślała, patrząc w zimne oczy kobiety. Takie najczęściej zawracają w głowach mężczyznom, co niestety nie najlepiej świadczy o tych ostatnich. Choć oczywiście nie należy generalizować. Jej Aleksander by się na takie tanie sztuczki nie dał nabrać. Nie przypuszczała też, by Wandeczka wskórała cokolwiek u Kotuli...

– Słucham panią. – Kobieta bezceremonialnie przerwała jej rozmyślenia. – W czym mogę pomóc?

– Pani Wanda, prawda? – Nela odruchowo wyprostowała plecy i uniosła wyżej głowę.

– Tak. Ale nie przypominam sobie, żebyśmy się znały...

– Bo nigdy się nie spotkałyśmy. Znam panią tylko z opowiadań Michaliny – powiedziała spokojnie i zobaczyła, jak policzki Wandeczki pokrywa krwisty rumieniec.

Niestety, nie łudziła się, że wystąpił tam z powodu wstydu, o nie! Ta kobieta nie była zdolna do takich uczuć. Ewentualnie mogłoby jej się zrobić wstyd, gdyby publicznie przyłapać ją na oszustwie – pomyślała Nela. – Gdyby tak na przykład przypomnieć jej namawianie do pozbycia się dziecka... To byłoby nawet ciekawe. Taki swoisty eksperyment. Ale nie po to tu przyjechałaś – przywołała się do porządku. Masz po prostu załatwić sprawę.

– Michaliny... No cóż. To moja pasierbica. Strasznie nieźrównoważona dziewczyna. Mamy z nią z mężem same kłopoty. Zniknęła jakiś czas temu. Rozumiem, że pani coś o niej wie?

– Wiem i o niej, i o pani, i o pani mężu. Wiem o dziecku, którego kazała jej się pani pozbyć. – Jednak nie zdołała się powstrzymać. – Ale nie będę o tym rozmawiała z panią. Bo kimże pani jest dla tej dziewczyny? Obcą kobietą. – Nela ostentacyjnie strzepnęła z rękawa futra płatek śniegu.

Zrobiła to tak sugestywnie, że Wanda miała wrażenie, iż to ją usuwa jak nieważny paproch. Jakby nic nie znaczyła! A tego Wandeczka nie zamierzała tolerować.

– Jak pani śmie...

– Chcę rozmawiać z jej ojcem i oszczędź nam, proszę, scen, dziecko – przerwała bezceremonialnie

Nela. – To naprawdę niesmaczne. Sceny robiły kiedyś tylko służące. I to te najbardziej prostackie. Więc z łaski swojej zawołaj ojca Michaliny i miejmy to za sobą!

– Chyba sobie kpisz, stara... – wysyczała, ale nie zdążyła dokończyć, bo w drzwiach pojawił się mężczyzna.

Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby Nela rozpoznała w nim ojca dziewczyny. Miał taki sam kolor włosów. I podobnie zarysowany podbródek.

– Dzięki Bogu sam się tu przyprowadził – westchnęła z autentyczną ulgą.

– Kochanie, kto przyszedł? – zawołał mężczyzna od progu.

– Nikt ważny, handlarka starzyzną – odkrzyknęła do niego Wandeczka i spojrzała na Nelę tryumfująco.

Ale jeżeli myślała, że tak pokona starszą panią, to musiała zupełnie nie znać się na ludziach.

– Dzień dobry, ja właśnie do pana, w sprawie Michaliny – krzyknęła donośnie, a na twarzy macochy dziewczyny odbiło się niedające się ukryć zaskoczenie.

Nie spodziewała się, że ktoś tak stary i drobny może tak gromko krzyżeć.

– W młodości ćwiczyłam głos. Mama miała ambicję, żebyśmy razem z siostrą umiały śpiewać. Ja kompletnie się do tego nie nadawałam, lecz pewne umiejętności pozostały. Sekret to umiejętna praca przeponą... – Nela czytała w twarzy kobiety niczym w otwartej książce, z zadowoleniem rejestrując, że facet nawet nie zatroszczył się o założenie palta, tylko natychmiast zbiegł ze schodów i szybkim krokiem podszedł do furki. Na jego twarzy widać było niepokój.

– Co pani powiedziała? – zapytał, odsuwając Wandę i stając tuż przed staruszką. – Wie pani coś o mojej córce?

– Tak, mieszka u mnie – powiedziała spokojnie i obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– To dlaczego powiedziałaś, że to jest handlarka starzyzną? – zwrócił się do Wandeczki. – Przecież na pierwszy rzut oka widać, że ta kobieta nie przyszła po prośbie... Czemu mnie nie zawołałaś, wiedząc, że ma mi coś do powiedzenia na temat mojego dziecka?!

– Bo najpierw chciałam zobaczyć, czy to nie oszustka. – Wandeczka ostentacyjnie wzruszyła ramionami.

– Będę rozmawiać tylko z panem – przerwała im Nela. – Wyłącznie z panem! – podkreśliła twardo.

– Dobrze. To może wejdziemy do środka...

– Nie, zostaniemy tutaj. Przekazanie panu tego, z czym przysłam, nie zajmie mi dużo czasu. A w domu, o ile wiem, jest dziecko, które niekoniecznie musi usłyszeć to, co powiem – zamilkła i sugestywnie popatrzyła na jego żonę.

– Wanda, idź do domu. – W lot pojął, co oznacza to spojrzenie.

– Słucham? Niby z jakiej racji odsyłasz mnie, jakbym była pierwszą lepszą... – tu widać zabrakło

jej słów.

– Proszę. Nie teraz. – Spojrzał na nią wymownie. – Naprawdę zdążymy jeszcze się pokłócić, to nie ucieknie – dodał zmęczonym głosem.

Wanda przez moment stała w miejscu i widać było, że wszystko się w niej gotuje. Ale w końcu odwróciła się na pięcie i zadzierając nos, pomaszerowała do domu. Wszedłszy do środka, trzasnęła mocno drzwiami.

– Proszę pani... Cokolwiek pani wie, proszę mi powiedzieć. Od zniknięcia Michaśki nie mogę spać, jeść... Nie wiem, gdzie jej szukać.

– I dobrze. Było nie pozwolić jej odejść – powiedziała Nela twardo. – Nie mam o panu zbyt wysokiego mniemania. Ojciec, który pozwala, by ktoś krzywdził jego dziecko, by je przymuszał do złych rzeczy, nie pasuje do świata nadrzędnych wartości, które cenię, a którymi, nawiasem mówiąc, powinien cechować się każdy człowiek. A rodzic w szczególności. Ale wiem też, że każdy, nawet najgorszy ojciec powinien dostać drugą szansę.

– Michalina też to wie? – zapytał zdławionym głosem.

Nie próbował się bronić ani wybielać. To Neli zaimponowało. Nawet trochę zrobiło jej się go żal.

– Nie, Michalina nie ma o tym pojęcia. Wie, że została od pana odsunięta i że pan na to przystał. Ma pan drugie dziecko i ono jest najważniejsze. Co więcej, pozwoliłby pan, żeby pana córce w taki czy inny sposób odebrano jej córeczkę... – Obserwowała go uważnie i zobaczyła, że gdy to powiedziała, oczy mu zwilgotniały.

– Córeczkę – powtórzył drżącym głosem. – Będę miał wnuczkę.

– Nie, nie będzie jej pan miał, jeżeli w końcu się pan nie obudzi. Na bycie dziadkiem trzeba sobie zasłużyć – oświadczyła, patrząc mężczyźnie prosto w oczy. – Na to się pracuje przez długie lata. Michalina wie, że tu przyjechałam. Dała mi ten adres, ale myśli, że poinformuję pana jedynie o tym, że żyje i ma się dobrze. Choć mogło być inaczej.

I Nela bez znieczulenia i ubierania w gładkie słowa opowiedziała ojcu dziewczyny o tym, że jego córka wiele nocy spędziła w bramach, że była głodna i tak wycieńczona, że gdy do niej trafiła, spała niemal dwa dni. A przedtem marzła, mokła i była samotna.

– Tego się nie da zapomnieć – zakończyła. – Ale niewykluczone, że można jeszcze jakoś to naprawić. Jeżeli o mnie chodzi, zrobiłam to, co do mnie należało. Reszta należy do pana. – Wcisnęła mu w rękę kartkę ze swoim adresem. – A, mam jeszcze jedno pytanie: czy Michalina nadal dostaje rentę?

– Tak. Nie wycofywałem papierów. Łudziłem się, że jeszcze do mnie wróci...

– O naiwności ludzka! A po co? Żebyście zmusili ją do aborcji? Albo do zrzeczenia się praw do dziecka? Żeby Wandeczka, tfu, na psa urok, mogła się nad nią pastwić? Czemu miałyby dobrowolnie wracać do tego piekła, które jej zgotowaliście? – Słowa Neli cięły niczym bezlitosny bat. Starsza pani

nie owijała w bawełnę. – A z rentą wyszło bardzo dobrze. Mała wróci od stycznia do szkoły. Mam nadzieję, że te pieniądze za zeszłe miesiące zostaną jej wypłacone? – zapytała, wpijając świdrujące spojrzenie w twarz mężczyzny.

– Tak. Oczywiście, że tak... Ja nie miałem pojęcia... – urwał i bezradnie przejechał ręką po jasnych włosach. – Domyślam się, że pewnie w pani oczach wyszedłem na potwora. O tym, jak mnie widzi i co o mnie mówi moje własne dziecko, wolę w ogóle nie myśleć. – Spuścił głowę i zagryzł wargi.

– Faktycznie nie czułam do pana zbytnej sympatii – przytaknęła. – Choć o jednym mogę pana zapewnić: Michalina nie mówi o panu źle. Ani też źle o panu nie myśli. Ona pana żałuje. Żal jej pana i tego, kim się pan stał przy drugiej żonie. Jednak na pewno poczuła się zdradzona i osamotniona.

– Wie pani, to żadne usprawiedliwienie, ale... Ludzie się czasami gubią – powiedział mężczyzna schrypniętym głosem.

– Wiem. – Pokiwała w zamyśleniu głową. – Lecz najważniejsze w tym wszystkim jest to, żeby się odnaleźli – dodała i odwróciła głowę, udając, że nie widzi, jak z oczu ojca Michaliny płyną łzy. – Już niedługo Boże Narodzenie. Wigilia. To szczególny dzień. Łatwiej wtedy rozwiązują się wszelkie spory – rzuciła pozornie bez związku, ale ojciec dziewczyny doskonale zrozumiał, co chciała mu przekazać.

Bez słowa wziął ją za rękę i pochylając się, ucałował jej dłoń w rękawiczce.

– Dziękuję – powiedział cicho. – Dziękuję za to, że była pani ze mną szczerą. Czasem trzeba usłyszeć prawdę, nawet jeżeli jest krew... Przepraszam, nie powinienem. Okropnie bolesna – wyznał i bez słowa patrzył, jak starsza pani idzie do stojącej nieopodal taksówki i wsiada do środka.

Nela nie obejrzała się za siebie ani razu. Nie musiała. I tak wiedziała, że ojciec Michaliny wciąż tam stoi i będzie stał jeszcze jakiś czas. Aż do momentu gdy zdoła powstrzymać łzy i z suchymi oczami wrócić do domu. Nawet on chyba już zrozumiał, że przy Wandeczce nie wolno pokazywać słabości.

Starsza pani zdumiona wlepiła wzrok w taksówkarza.

– Jak to nie chce pan pieniędzy za kurs? – zapytała, patrząc na niego jak na wariata.

– Po prostu nie chcę. No dobrze, powiem pani. Słyszałem całą tę rozmowę. Wszedłem na papierosa i tak jakoś... Zresztą, co ja będę ściemniał. Specjalnie wszedłem, bo mnie ciekawość gryzła. I po tym wszystkim nie mogę się pozbierać! Wie pani, pięć lat temu przy porodzie zmarła moja córka. Dziecka też nie udało się uratować. Przecież ja bym bez wahania oddał wszystko, żeby ich uratować! I jak słyszałem to, co wygadywała tamta paniusia, a potem popatrzyłem na tego faceta... Dużo mnie kosztowało, żeby nie podejść i nie dać mu tak po prostu w mordę. Żeby go otrzeźwić.

– Ale nie zrobił pan tego – zauważyła spokojnie Nela.

– Nie. Tylko dlatego, że zrozumiałem, że pani walczy o lepsze życie dla tej małej. I dlatego nie chcę pieniędzy. To będzie mój wkład w to, co pani zrobiła. I zadośćuczynienie za to, że nie skułem temu facetowi ryja. Bo według prostych zasad, które wyznaję, powinienem właśnie tak zrobić. Wie pani, wychowywałem się na Pradze – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało, i uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Rozumiem – pokiwała głową Nela i poprosiła go o wizytówkę.

Nie chciał pieniędzy i starsza pani nie zamierzała mu ich już proponować. Pragnęła jednak jakoś się odwdzięczyć. A że właśnie nadchodziła Wigilia, nikt nie powinien odmówić przyjęcia drobnego upominku. Nie wiedziała jeszcze, co mu podaruje, lecz z całą pewnością coś wymyśli.

– Będzie pan moim ulubionym taksówkarzem – powiedziała na odchodnym i poczekała, aż samochód odjedzie.

Dopiero potem z wysiłkiem otworzyła bramę kamienicy i powolutku wspięła się po schodach. Była zmęczona i jedyne, o czym marzyła, to gorąca kąpiel i wygodne, miękkie łóżko. Niestety, nie wszystkie marzenia mogą się spełnić. Nawet jeżeli dotyczą czegoś tak zwykłego jak woda z aromatyczną pianą i czysta, ciepła pościel.

Po wejściu do domu najpierw musiała usiąść. Serce tłukło jej się w piersi i przez moment nie mogła złapać tchu. Dopiero gdy oddech się jej wyrównał, zdjęła futro i kozaczki i powolutku poszła do kuchni. Wypiła duszkiem dwie szklanki wody i stwierdziła, że kąpiel przesunie o pół godziny. Żeby jej się słabo w wannie nie zrobiło. Przezorny zawsze ubezpieczony.

A gdy już wstawiała z zamiarem napuszczenia sobie wody, przyszli Michalina z Kotulą. Wpadli roześmiani, zaróżowieni od mrozu i tacy młodzi i beztroscy, że i jej z miejsca zrobiło się lepiej. Wspólnie przygotowali kolację: dziewczyna i Kotula kroili chleb i wędlinę, a ona starannie układała na kromkach plasterki szynki, baleronu i polędwicy. Już siadali do stołu, gdy w przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

– Ki diabeł? – zdumiała się Nela.

– Pójdę otworzyć. – Pierwsza poderwała się Michalina i w podskokach pobiegła do drzwi.

A potem wydarzenia potoczyły się w oszałamiającym tempie.

W otwartych drzwiach z zaciętymi z wściekłości ustami stała Wanda. Michalina odruchowo cofnęła się, ale jej macocha była szybsza. Złapała ją za ramię i zacisnęła palce tak mocno, że dziewczyna była pewna, że następnego dnia będzie miała tam siniaki. Usiłowała się wyrwać, ale Wanda nie zamierzała jej na to pozwolić.

– Co myślałaś, że pozwolę ci tak mnie poniżyć? – wysyczała. – Uruchomiłam wszystkie swoje znajomości, żeby uchronić naszą rodzinę przed wstydem, a ty miałaś czelność wystawić mnie do wiatru! I jeszcze dodatkowo wysłałaś do nas tę starą jędzę! Ale na tym koniec! Wrócisz ze mną do domu i zrobisz to, co ci każę!

– Puść mnie! – Dziewczyna rozpaczliwie starała się wyrwać. – Nigdzie z tobą nie pojedę! – Szamocząc się, wpadła na wieszak i go przewróciła.

– Jak ty niewiele wiesz o życiu, ty mała ladacznico! Pojedziesz, pojedziesz. Wyjdiesz stąd ze mną dobrowolnie albo wyciągnę cię za te twoje blond kudły! Jakoś nie widzę, żeby ktoś spieszył ci na ratunek. – Wściekłość wykrzywiła jej twarz tak, że wyglądała groteskowo.

W tej chwili tuż obok Michaliny, bezszelestnie niczym kot, pojawił się Konstanty.

Jego twarz była nieprzenikniona, tylko oczy mu rozgorzały. Przyskoczył do kobiety i ścisnął ją za rękę w taki sposób, że palce Wandeczki same odskoczyły od ramienia dziewczyny.

– No i proszę jej więcej nie dotykać – powiedział spokojnym, opanowanym głosem, choć widać było, że w środku aż wrze. – Nie wiem, czy pani sobie zdaje sprawę, ale to jest czynna napaść, najście, groźby i szarganie dobrego imienia. A te wszystkie punkty, które wymieniłem, znaczą jedno: kłopoty. Czy jest pani pewna, że chce dalej w to brnąć?

Takiego obrotu sprawy Wandeczka nie przewidziała. Na wszelki wypadek postanowiła w miarę nad sobą panować i przyglądnęła się Konstantemu uważnie. Zastanawiała się, czy nie stroi sobie z niej żartów. Ale nie, jego twarz była poważna i spokojna. Tylko w oczach czaiły się wściekłość i ukryta groźba.

– A kim pan w ogóle jest? To moja pasierbica i mam prawo...

– Michalina jest dorosła i nie interesuje mnie, czy jest pani jej macochą, ciotką czy inną krewną. Dziewczyna skończyła osiemnaście lat i może decydować sama o sobie – przerwał jej bezceremonialnie.

– Pana zdanie niewiele mnie obchodzi! – warknęła i postąpiła krok naprzód.

– Proszę nawet nie próbować jej dotknąć. – Konstanty otoczył Michalinę ramieniem. – Bo to się nie skończy dla pani dobrze.

– Może się zdarzyć, że to za pani kudełki ktoś złapie i wyprowadzi panią na zewnątrz – dodała

Nela, która w tej samej chwili pojawiła się w przedpokoju i stanęła u drugiego boku dziewczyny. – A szkoda by było tej misternie ułożonej fryzury. Nikt tu pani nie zapraszał. Więc fora ze dwora. I jeżeli pani myślała, że my ot tak oddamy naszą Michalinę, to była pani w ogromnym błędzie. Wszystko się zmieniło i nic już nie będzie takie samo! Nastają nowe porządki, do których nawet takie zołzy jak ty będą musiały przywyknąć. A wiesz dlaczego? Bo Michalina ma rodzinę. – Nela, jak to ona, płynnie przeszła od oficjalnej formy do bezpośredniego tykania.

– Nie jest i już nigdy nie będzie sama – dodał Kotula. – I nikt bezkarnie nie będzie się nad nią znęcał. Widzi pani, ona ma mnie.

– I mnie – dodała Nela. – I Gabrysię, i jeszcze paru innych ludzi, którzy, gwarantuję, chętnie pokazaliby pani, gdzie raki zimują. I nie zawahają się tego zrobić, jeżeli będzie taka potrzeba.

– Pani mi grozi? – Wanda w końcu odzyskała głos.

– Nie, Nela ci nie grozi. Ani Konstanty, ani ja... Tyle tylko, że to ty, nie ja, nic nie rozumiesz. Ja już nie jestem tą samą dziewczyną, która z podkulonym ogonem przed tobą uciekała. Nie boję się ciebie. I nie obchodzi mnie, co o mnie myślisz – przemówiła Michalina nadspodziewanie pewnym głosem. – Mam kogo kochać, a to daje siłę. W sumie szkoda, że ty tego nigdy nie zrozumiesz. Bardzo mi cię w związku z tym żal. Zakisisz się we własnym gniewie. A przy okazji zatrujesz życie ojcu i Wojtusowi... Ale nie mnie. Już nie. To koniec, Wanda. Przegrałaś – zakończyła z westchnieniem. – I najlepsze, co możesz zrobić, to po prostu sobie pójść...

– Pokazać pani drzwi czy sama pani trafi? – zapytał ofiarnie Konstanty.

Wanda mu nie odpowiedziała. Obrzuciła tylko całą trójkę nienawistnym spojrzeniem i wyszła, trzaskając drzwiami.

– Urocza kobieta – mruknęła Nela. – A jaka siła w tej drobnej rączce – dodała, patrząc sugestywnie na drzwi, które aż jęknęły na skutek uderzenia. – Twój ojciec, Michalino, widać lubi silne osobowości. Ale w tym wszystkim nurtuje mnie co innego. Kotula, coś ty jej naopowiadał o czynnych napaściach i najściach?

– A co, źle wypadłem? – zapytał nieuważnie, cały czas tuląc do siebie dziewczynę.

– Nie, doskonale, tylko skąd ci to przyszło do głowy?

– Cóż, obejrzałem wszystkie sezony *Prawa Agaty* i *CSI. Kryminalne zagadki Las Vegas*. To trochę podłapałem żargonu. A jeszcze miałem epizod z byciem statystą w filmie. Nawet przez krótki czas myślałem, czy nie zostać aktorem...

– Byłbyś naprawdę niezły – skwitowała Nela.

– Podobnie jak ty. – Michalina wyswobodziła się z objęć Kotuli i stanęła przed starszą panią, trzymając się pod boki. – Kto mi dzisiaj naopowiadał bajek o bolącym kręgosłupie i zmianach planów? I jeszcze te żalosne miny i pojękiwania! Ty to byś dopiero mogła grać! Masz niezaprzeczone zdolności! Najpierw bezczelnie mnie okłamałaś, a potem pojechałaś do mojego ojca!

– Bezczelna to ty jesteś! Niewdzięczne dziewczusko! Pojechałam, bo tak postanowiłam. A ty przynajmniej miałaś święty spokój i nie musiałaś przez pół dnia się denerwować. Ale oczywiście teraz to mnie lżyj i poniżaj!

– Nelu, ciebie nie da się lżyć i poniżać. – Michalina niespodziewanie dla samej siebie roześmiała się. – Ty zupełnie się do tego nie nadajesz! Ciebie można jedynie podziwiać. I kochać – dodała, pociągając nosem. – Chociaż potrafisz wyprowadzić człowieka z równowagi jak nikt inny.

– Jestem utalentowana w wielu dziedzinach! Kotula, jestem z ciebie dumna – dodała Nela, zwracając się do mężczyzny. – Najchętniej skwitowałabym to: moja krew!

– To niech sobie pani nie żałuje. Chętnie dam się urodzinnic – uśmiechnął się.

– Nadal nie rozumiem, skąd ona się tu wzięła – mruknęła Michalina, patrząc na Konstantego, który zabrał się do podnoszenia wieszaka. – Śledziła cię czy co?

– Nie mogła mnie śledzić. Nie zdążyłaby wyjść z domu, zbyt szybko stamtąd odjechałam. Ale widać dorwała się do mojego adresu, który zostawiłam twojemu ojcu. No nie patrz tak, jakbyś chciała mnie zamordować ze szczególnym okrucieństwem! Zostawiłam ten adres twojemu tacie, bo dogadaliśmy się w sprawie renty i w ogóle chyba podczas twojej nieobecności kilka rzeczy sobie dokładnie przemyślał. I nie przypuszczam, żeby to on jej go dał. Raczej go ukradła...

– A może dokończymy tę rozmowę przy stole? – Konstanty niedbale oparł się o framugę drzwi i uśmiechnął się lekko. – Ta mała potyczka zaostrzyła mój apetyt – dodał i zmrużonymi oczami spojrzął na Michalinę, która spłonęła rumieńcem.

Patrząc na niego, miała wrażenie, że mówiąc o apetycie, nie do końca miał na myśli kanapki.

– Szczerze mówiąc, chciałbym też dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi. I kim była ta wściekła baba – ciągnął, nie odrywając oczu od Michaliny. – I myślę, że obie mi to wyjaśnicie przy kolacji. Bo coś czuję, że ominęły mnie istotne szczegóły. A skoro jesteśmy rodziną, bo ja wcale nie żartowałem, mówiąc, że dam się urodzinnic, to powinniśmy trzymać się razem, prawda? – I nie czekając na ich odpowiedź, poszedł do kuchni.

Rodziną – pomyślała ze wzruszeniem Nela.

Rodziną – zachłysnęła się tym słowem Michalina.

I obie w jednej chwili poczuły się najzwyczajniej w świecie szczęśliwe.

Przez kolejne pięć dni śnieg nie padał, za to zrobiło się zimniej. Powrócił przejmujący wiatr i chłostał lodowatymi podmuchami każdego, kto odważył się wyjść na dwór. A takich śmiazków nie brakowało. Wielkimi krokami zbliżały się święta. W sklepach panował tłok, na ulicach Warszawy aż roiło się od ludzi uginających się pod ciężarem toreb ze sprawunkami, do sklepowych kas ciągnęły się gigantyczne kolejki, a dźwięki kolęd rozbrzmiewały nieomal wszędzie. Na ulicach sprzedawano choinki, jemiołę i migoczące wszystkimi kolorami lampki. Dzieci coraz częściej przyklejały nosy do okiennych szyb i wypatrywały śladu sań Mikołaja. Wszędzie wyczuwało się atmosferę wyczekiwania na ten jeden jedyny, najbardziej szczególny dzień w roku. Powietrze było aż gęste od emocji. Atmosfera zmieniła się nieco szóstego dnia. Ciśnienie spadło i znów zaczął sypać śnieg. I zrobiło się jeszcze bardziej zimowo i świątecznie. I nastał grudzień, dzień dwudziesty.

DWUDZIESTY GRUDNIA



Zasepiona Michalina patrzyła na rzędy uroczo udekorowanych cyprysików i choineczek, tworzących miniaturowy odświeżony las na podłodze kwaciarni. Właściwie mogłaby zamknąć oczy i wylosować dziesięć z nich, bo wszystkie bez wyjątku były śliczne. W końcu wzięła pięć choinek i pięć cyprysów z pierwszego rzędu i ustawiła je pod swoim stołem. Po skończonej pracy miała zabrać je do domu. I właśnie to ją martwiło. Nie drzewka same w sobie. Ale to, że Nela nie chciała standardowej choinki. Uparła się i koniec. Stwierdziła, że udekorują mieszkanie małutkimi drzewkami i stroikami. I Michalinie, nie wiedzieć czemu, było z tego powodu trochę smutno. Ale w końcu to było mieszkanie starszej pani, nie jej. I skoro ona nie życzyła sobie wielkiej choinki, a taka przecież idealnie pasowałaby do wysokiego, przestronnego salonu, to ona, Michalina, niewiele mogła z tym zrobić. A jak na złość jakoś tak z dnia na dzień coraz bardziej tęskniła za świętami. Za zapachem pomarańczy nadziewanych goździkami, za piernikowym aromatem, który wypełniłby kuchnię i wszystkie inne pomieszczenia w domu, za kręceniem maku i za strojeniem świątecznego drzewka. Tęskniła też za babcią, ale na tę tęsknotę nie mogła nic poradzić. Zaczynała powoli rozumieć, że będzie musiała się z nią zżyć, bo przecież ona nigdy nie zniknie. Może się zmieni, nie będzie aż tak doskwierać, ale nie przepadnie raz na zawsze. Zresztą Michalina nie chciałaby, by minęła. Nie umiała może ubrać tego w słowa, lecz instynktownie czuła, że gdyby całkowicie zapomniała o tej tęsknocie, to wtedy jej babcia całkowicie by umarła. A tak, choć fizycznie jej nie było, nadal mogła być obecna w jej życiu i w życiu jej córeczki.

– Nie martw się, mama zawsze będzie pamiętać. I ciebie też tego nauczy – szepnęła, kładąc rękę na brzuchu.

I będziemy razem ubierać choinkę, czekać na Mikołaja, śpiewać kolędy – myślała, głaszcząc brzuch. – Będę ci opowiadała o tym, jak pięknie razem spędzałyśmy Wigilie z twoją prababcią... W ogóle wszystko ci opowiem. I o mojej zimowej tułaczce, i o tym, jak czekałam, aż ktoś otworzy przede mną drzwi, o aniele do wynajęcia i o Neli, która pewnie będzie twoją przyszywaną babcią... O pardon, babką. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Zresztą jakkolwiek trudno w to uwierzyć, to

właśnie ona jest tym aniołem, o którego prosiłam... A potem w przyszłości ty to samo opowiesz swoim dzieciom. Nasze puste miejsce przy stole nigdy tak naprawdę takie nie będzie. Uchroni je od tego pamięć...

Jej rozmyślania przerwał dźwięk dzwoneczka zawieszzonego nad drzwiami kwiaciarni. Do środka weszła wysoka, zgrabna kobieta. Rozejrzała się, obrzuciła przelotnym spojrzeniem Michalinę i Gabrysię, a potem spojrzała na choinki i cyprysy, na dłużej zawiesiła wzrok na bukietach, obejrzała wyeksponowane na półkach bombki. Na pytanie Gabrysi, czy może w czymś pomóc, potrząsnęła przecząco głową. Jeszcze raz obeszła wnętrze kwiaciarni, oglądając wszystko dokładnie. Na jej twarzy malowało się widoczne gołym okiem zdziwienie. Stała jeszcze chwilę przy parapecie, przyglądając się szopce, a potem bez słowa wyszła.

Gabrysia i Michalina spojrzały najpierw na zamykające się drzwi, a potem na siebie.

– Dziwne – mruknęła Gabrysia. – Nie sądzisz... – nie dokończyła, bo drzwi znów się otworzyły i stanęła w nich ta sama kobieta.

– Przepraszam, ale ja jednak muszę wiedzieć – przemówiła i zdecydowanym krokiem podeszła do stołu, za którym stała Gabrysia. – Niech mi pani powie: dlaczego? – I wskazała na stojące w wiaderkach i w wazonach gotowe bukiety.

– Dlaczego co? – Kwiaciarka w zdumieniu uniosła brwi.

– Dlaczego te są takie ładne, a ja dostawałam zawsze takie... No nie wiem, jak mam to delikatnie powiedzieć... Paskudne wiechcie? Specjalnie przyszłam zobaczyć, jakim cudem kwiaciarnia, która robi tak okropne bukiety, utrzymuje się na rynku. I co widzę? Widzę śliczne kwiaty, piękne bombki. Aż się ręce same do nich wyciągają. Więc dlaczego ja dostawałam takie okropieństwa?

– O mamó – wyszeptała Michalina. – Ja chyba wiem...

– Ja też chyba wiem – przerwała jej czerwona ze wstydu Gabrysia. – Pani jest narzeczoną pana Patryka, prawda?

– No... powiedzmy – westchnęła zakłopotana.

– Tak myślałam. – Kwiaciarka pokiwała głową. – Cóż ja mam pani powiedzieć? Robiłam te bukiety zgodnie z zamówieniem...

– Czemu ja na to wcześniej nie wpadłam? – mruknęła narzeczona Kochanieńskiego i westchnęła głęboko. – Patryk po prostu nie ma gustu. Ani wyczucia... Zresztą, co ja będę pani mówić. Patrząc na bukiety, które ma pani w sprzedaży, domyślam się, co pani czuła, przygotowując te moje. Wstyd się przyznać, ale naprawdę ogromną przyjemność sprawiło mi rzucenie w Patryka tym ostatnim. A potem nie mogłam wyjść ze zdumienia, jakim cudem po moim rzucie ciętymi kwiatami on dostał doniczką...

– Hmm... Kazał ją tam umieścić – bąknęła Gabrysia. – Ale o ile na bukietach rzeczywiście się nie wyznaje, to panią bardzo kocha. – Sama nie wiedziała, dlaczego to mówi.

Może to nadchodzące święta sprawiły, że nagle żal jej się zrobiło Kochanieńskiego. Był bucowaty

i irytujący. Podczas swoich wizyt doprowadzał ją do białej gorączki, ale niewątpliwie tę swoją Karolę kochał i wielbił.

– A skąd pani to wie? – zdumiała się kobieta.

– Sam nam to wyznał, prawda Michalino? – zwróciła się do dziewczyny.

– Dokładnie. Siedział na tamtym krześle, przy którym teraz pani stoi, i mówił o tym, że przecież kocha panią nad życie i że on chciał jak najlepiej, gwiazdkę z nieba nawet by pani podarował – potwierdziła dziewczyna z uśmiechem.

– Naprawdę, nie oczekuję tak wiele... Ale on mnie w ogóle nie słuchał! Nic nie rozumiał, a co więcej, nawet nie chciał zrozumieć...

– Myślę, że teraz miał czas na przemyślenie tego i owego i na pewno sporo pojął. Ja tam bym dała mu szansę na poprawę – uśmiechnęła się Gabrysia promiennie. – W końcu on panią kocha, a miłości warto czasem wybaczyć drobne błędy. I dać szansę...

– Wiem, od samego początku wiedziałam, że w końcu mu wybaczę. Pusto mi bez niego i jakoś markotnie – westchnęła przyszła pani Kochanieńka. – Cóż, w każdym razie dziękuję za wysłuchanie. A te bombki są na sprzedaż?

– Tak. I choineczki, i mamy przepiękne stroiki. – Michalina wyszła do Karoli zza lady i zaczęła ustawiać przed kobietą świąteczne dekoracje.

Widząc to, Gabrysia uśmiechnęła się nieznacznie. Doskonale wiedziała, że narzeczona Kochanieńskiego nie wyjdzie stąd z pustymi rękami. Michalina miała dryg do handlu.

– I proszę spojrzeć, jakby do tego jeszcze dobrać te świeczki i kilka takich bombek... – mówiła, układając wspomniane wyżej rzeczy na stole. – Toby to wszystko wyglądało elegancko, a zarazem tak domowo i ciepło...

Kobieta jak urzeczona z zachwytem kiwała głową. I tak jak przypuszczała Gabrysia, opuściła kwiaciarnię z dwiema wielkimi torbami wypełnionymi bombkami, bilecikami do prezentów, udekorowanymi cyprysikami, sznurem lampek. Na koniec Michalina namówiła ją jeszcze na ogromny świąteczny wieniec na drzwi.

– Dziewczyno, ty nie masz litości – roześmiała się kwiaciarka, patrząc za znikającą w oddali narzeczoną pana Patryka.

– Ja? Zupełnie nie rozumiem, o co pani chodzi. – Michalina uśmiechnęła się niewinnie. – Ja dbam tylko o to, żeby święta miały odpowiednią oprawę.

Kilka godzin później do kwiaciarni zawitał Kochanieński we własnej osobie. Wyglądał na znękanego. Wyznał Gabrysi, że jeszcze nie ośmielił się pójść do narzeczonej.

– Ale bilety na wycieczkę zwróciłem – dodał z westchnieniem. – Tylko nie wiem, czy nie za późno. Czy Karola w ogóle będzie chciała ze mną gadać...

– Coś mi mówi, że będzie chciała – zapewniła go Gabrysia. – Zaraz zrobimy piękny bukiet... Ale

tym razem to ja wybieram kwiaty – dodała, zobaczywszy na twarzy Kochanieńskiego ożywienie i chęć tworzenia nowych kompozycji. – Zobacz pan, że mam rację – zapewniła go, udając, że nie widzi u klienta grymasu niezadowolenia. – I jak pan będzie szedł do narzeczonej, niech pan kupi choinkę. To będzie dla niej znak, że chce pan z nią spędzić święta tak, jak ona sobie to wymarzyła – zawołała za nim, gdy już kierował się do wyjścia.

Potem poczekała, aż za Kochanieńkim zamkną się drzwi, i spojrzała z ukosa na Michalinę.

– No co? Nie musisz na mnie tak kpiąco patrzeć. Przecież ta jego Karola, niunia kochana, sama nam wyznała, że dopiero jutro będzie kupowała drzewko – mruknęła obronnie. – A tak przynajmniej zrobiliśmy dobry uczynek.

Michalina, chcąc nie chcąc, przyznała jej rację. Być może wspólnie z kwiaciarką uratowały czyjeś święta.

Po powrocie do domu Michalina zastała w kuchni spory rozgardiasz. Zarumieniona Nela kręciła się jak fryga po mieszkaniu i wyglądała tak, jakby zniecka ubyłoby jej lat.

– Piekarnik działa – zakomunikowała uradowana. – Będzie można upiec pierniczki i ciastka cynamonowe! I jeszcze mak trzeba namoczyć, ale to już jutro, i przekręcić przez maszynkę. Makowiec musowo musi być... I kutia. Bez kutii to nie to samo... A i śledziki już w słoju dochodzą i...

– Nelu, nie poznaję cię – roześmiała się Michalina. – Ale też się cieszę! I w końcu będę mogła upiec swój piernik! Widzisz, a ja mam jeszcze jedną dobrą nowinę! Dostałam wypłatę od pani Gabrysi. I to całkiem sporą! Z premią świąteczną! Kupiłam pomarańcze i goździki, to dzisiaj ponabijamy, będą pięknie pachnieć. A jutro po pracy idę na zakupy! W końcu stać mnie na prezenty, choć część już mam. Muszę jednak dokupić jeszcze to i owo. No i oczywiście później wracam i będę ci pomagać w kuchni. Jak to dobrze, że mi ta ciąża nie sprawia żadnych kłopotów! Jakoś tak wręcz przeciwnie, zdaje mi się, że mam więcej energii. To co? Wstawię swój piernik, a potem jestem do twojej dyspozycji. Co mam robić?

– Posiekamy migdały i orzechy. Zrobimy ciasto na pierniczki, bo ono musi poleżakować do jutra w lodówce, ponabijamy te pomarańcze... Huk roboty! – Nela z zadowoleniem zatarła ręce.

Patrząc na swoją zabałaganioną kuchnię, na rozsypaną na blacie mąkę, na pomarańcze, które ognistymi kulami wysypały się z torby na stół, poczuła ogromną radość. Tym większą, że miała się nią z kim dzielić.

Otulony piernikowym aromatem pomieszany z zapachem pomarańczy i goździków nastał grudzień, dzień dwudziesty pierwszy.

DWUDZIESTY PIERWSZY GRUDNIA



Z samego rana, tuż po otwarciu, do kwiaciarni wpadła Lila. Położyła przed koleżanką plik czasopism.

– No to nie pozostaje mi nic innego, jak podzielić się z tobą moją pensją – powiedziała z szerokim uśmiechem. – W końcu to ty wpadłaś na ten pomysł z przedwojennymi Wigiliami...

– I co, szacowny i budzący grozę nadredaktor zaakceptował? – Gabrysia niecierpliwie zaczęła przerzucać kartki magazynu.

– Nie wiem. – Lilka wzruszyła ramionami. – Nie zapytałam. W końcu jestem naczelną. Zresztą tak było lepiej. Bo czy by się zgodził, czy nie, i tak bym to puściła. To lepiej było nie pytać. Ta opowieść ma w sobie coś takiego, że gdy się ją czyta, z miejsca zaczyna się rozglądać za choinką, chce się piec pierniki i podbiec do telefonu, żeby zadzwonić do swoich bliskich. Budzi coś takiego w człowieku... Sama nie wiem, jak to nazwać...

– To jest właśnie ta nieuchwytna magia świąt – uśmiechnęła się Gabrysia. – Autentyczna, niepodrasowana, płynąca prosto z serca. Wiesz, na czym polega siła tej opowieści? Na miłości. Pełno jej w każdym słowie. I w czytającym też się ona budzi. Tak jak w tej kolędzie:

Do naszych serc, do wszystkich serc uśpionych

Dziś zabrzmiał dzwon, już człowiek obudzony.

Bo nadszedł czas i dziecię się zrodziło

A razem z Nim maleńka przyszła miłość.

Opowieść Neli o tym przypomina. O tym, co w tych świątach jest najważniejsze. Nadal żałujesz, że twój celebryta się wycelebrycił i zniknął?

– No cóż, nie przypuszczałam, że to powiem, ale mam go w nosie. Za to Nelę i jej historię pokochałam od pierwszego słowa. I o ile mój dziennikarski węch się nie stępił, to nie będę jedyna. Myślę, że to będzie prawdziwa wigilijna gwiazda. I to w każdym tego słowa znaczeniu. Zostawię ci

kilka egzemplarzy, to jej je przekażesz, dobrze?

– Dobrze. Dam je Michalinie. Ona u niej mieszka.

– I co, dalej u ciebie pracuje?

– Tak. Ale dziś przychodzi ostatni dzień przed świętami. A potem...

– Co, potem się zobaczy?

– Nie, nie zobaczy. Ja już dokładnie wiem, co wtedy będzie. Ale wybacz, Lilu, to jest jedna z tych nielicznych spraw, o których nie mogę ci powiedzieć. Po prostu pierwsza musi się o tym dowiedzieć Michalina.

– Nic z tego nie rozumiem i masz szczęście, że nie mam teraz czasu ciągnąć cię za język. Za to wieczorem wpadnę do ciebie z winem i nic cię nie uratuje, niewdzięcznico!

– Wieczorem o wszystkim powiem ci sama, nawet bez upajania mnie alkoholem. Obiecuję! – Gabrysia podniosła dwa palce.

– Dobrze, dobrze. Wino i tak przyniosę. A teraz lecę. Mamy dziś redakcyjną wigilię – powiedziała i szybkim krokiem ruszyła do drzwi. – Do wieczora – rzuciła jeszcze na odchodnym.

– Do wieczora. – Gabrysia pomachała jej i z uśmiechem spojrzała na biurko, za którym za moment stanie Michalina.

Szczerze mówiąc, nie mogła się już doczekać, żeby zobaczyć minę dziewczyny, gdy usłyszy, co kwiaciarka ma jej do powiedzenia.

Michalina nadal była oszołomiona. Minęło już kilka godzin, była na zakupach, nabyła kilka brakujących drobiazgów i ozdobny papier w złote gwiazdki. Kupiła też telefon komórkowy. Najprostszy i najtańszy. Wróciła do domu, pomogła Neli przekręcić mak przez przedpotopową maszynkę do mielenia, która na początku zgrzytała i zacinała się niemiłosiernie. Dopiero potem trochę się rozruszała i niechętnie godząc się ze swoim losem, zaczęła z nimi współpracować. Przełożyła piernik (wyszedł rewelacyjnie) konfiturą i nadal nie mogła uwierzyć w to, co się dzisiaj wydarzyło.

Teraz została przez Nelę wypędzona z kuchni ze stanowczym nakazem odpoczynku, usiadła więc w fotelu w salonie i co chwila kiwała z niedowierzaniem głową.

W końcu jej zachowanie wzbudziło niepokój w starszej pani.

– Dziecko, co ci jest? Siedzisz tu i kolebiesz tą głową jak pijana kaczką. Stało się coś?

– No właśnie tak. – Michalina znów pokiwała głową, co wzbudziło w Neli niezrozumiałą irytację.

– Przestań się tak kiwać, na litość boską. Nie przywykłam do tego, że mi w kółko potakujesz! Zresztą, żebyś ty potakiwała, ale nie! Ty tu siedzisz, mruczysz coś do siebie i co chwila jakby na zgodę z samą sobą kiwasz głową. O co chodzi?

– Dostałam pracę – powiedziała Michalina powoli. – W kwiaciarni...

– No to ja już nic z tego nie rozumiem – burknęła Nela. – Z tego, co wiem, już ją od jakiegoś czasu miałaś i nigdy nie budziła w tobie aż takiej ekscytacji.

– Bo nigdy nie zaproponowano mi mojego własnego interesu – wyszeptała Michalina. – Widzisz, Gabrysia podarowała mi coś nadzwyczajnego! Posprzątała część zaplecza, wstawiła tam ściankę i powiedziała, że to jest moja pracownia... Po świętach zostanie połączona z kwiaciarnią. To miejsce, gdzie do tej pory malowałam, nadal będzie moje. Będę tam sprzedawała i rozmawiała z klientami... Rozumiesz, Nelu?

– Rozumiem, ale to chyba nie powód, żeby zachowywać się jak pijana gęś!

– Przed momentem mówiłaś coś o kacze.

– Drób to drób. – Nela lekceważąco wzruszyła ramionami. – Gabrysia to dobry człowiek i cieszę się razem z tobą, ale pamiętaj, że ona też skorzysta na twojej obecności. Twoje prace przyciągają klientów i to takich, którzy nie weszliby do kwiaciarni, a tak prawdopodobnie część z nich skusi się na bukiet albo inne zielsko...

– Wiem, Gabrysia mi to samo powiedziała, ale nadal nie mogę w to uwierzyć! W to ogromne szczęście. Wiesz, Nelu, ja wtedy w kościele poprosiłam o kilka rzeczy. A dostałam o wiele, wiele więcej. I nawet jeżeli część z tego stracę, to i tak będę niewymownie wdzięczna. Jak Kopciuszek za tę

jedną piękną noc...

– Zawsze mnie irytowała ta bajka – prychnęła Nela. – Ucinanie pięt, palców dla jakiegoś gamonia, który nie jest w stanie rozpoznać swojej ukochanej inaczej, jak tylko przez włożenie jej na stopę bucika! Cholerny fetyszysta!

– Nelu, jesteś po prostu niemożliwa – prychnęła śmiechem Michalina. – Tak czy inaczej jestem szczęśliwa i spokojna. Bo wiesz, zastanawiałam się, co będzie po świętach. Niby mam rentę, ale jak na razie, to praca jest kluczowa. Jak mała się urodzi, to będę potrzebowała pieniędzy. Nie ma co się oszukiwać.

– Taaa. Istniało kiedyś takie powiedzenie, że jak Bóg dał dziecko, to da i na dziecko, ale też jestem zdania, że w praktyce nie do końca się to sprawdza. Ale nie martw się na zapas. Na razie, jak widzisz, wszystko się układa.

Chciała jeszcze dodać, że w razie czego ona im pomoże, ale pomyślała, że Michalinie dobrze zrobi, gdy będzie miała świadomość, że nie musi nikomu nic zawdzięczać. Dlatego wspomniała o tym, że Gabrysia też skorzysta z jej obecności. Ta dziewczyna absolutnie nie była Kopciuszkiem i dobrze by było, żeby to sobie jak najszybciej uświadomiła. Była silna, mądra i zdeterminowana. I umiała zawalczyć o siebie i o swoje dziecko. Kopciuszek mógłby jej ewentualnie buty czyścić.

– Nelu, tak mi się skojarzyło z tą kaczką... – przerwała jej rozmyślenia. – Mamy ciasta i ciastka, mamy śledzie, ale trzeba chyba kupić jakiegoś karpia, kapustę kiszoną... Grzybków suszonych też nie mamy...

– Tak, tak, pamiętam o tym wszystkim – weszła jej w słowo Nela – ale to jutro. Bo teraz wszystkiego jest w bród, nie to co kiedyś. Wejdzie się do pierwszego lepszego sklepu i kupi się to, czego brakuje. A i tak byśmy się nie wyrobiły z tym pieczeniem, smaženiem, gotowaniem. A tak jutro masz wolne, na spokojnie dokupimy i zrobimy...

– Jutro jeszcze muszę zobaczyć się z Konstantym... Bo w Wigilię raczej się nie spotkamy. Może go, Nelu, zaprosimy na kawałek makowca, co? Tak żeby go czymś wigilijnym poczęstować. I się pożegnać – powiedziała jakby do siebie i zapatrzyła się w okno.

– A tak, Kotula – mruknęła Nela i uciekła oczami w bok. – Oczywiście jutro możemy go poczęstować makowcem, pierniczkami. Myślę, że będziesz miała ku temu wiele okazji...

– Tak ci się wydaje? A czemu?

– Bo każdy mężczyzna to łasuch, więc na pewno się nie oprze – powiedziała krótko. – A teraz koniec tego gadania i jeżeli już odsapnęłaś, to zapraszam cię do kuchni. Ciasto na pierniczki czeka. Na całe szczęście one nie muszą leżakować. Są pyszne od razu po wyjęciu z pieca i takie zostają. To co, ja wałkuję, a ty wykrawasz?

– Może być i tak – uśmiechnęła się dziewczyna. – A potem się zamienimy. Żebyś za bardzo się nie zmęczyła... Ale najpierw zawińmy makowce. To one już będą się piekły, a my w tym czasie będziemy

wykrawać...

– Masz rację – zgodziła się Nela. – Coś mi się wydaje, że nie pójdziemy spać przed północą. Dobrze, że jutro nie musisz iść do kwiaciarni, przynajmniej się wyśpisz. Wprawdzie wiem, że ciąża to nie choroba, ale jednak trochę dbałości o siebie i małą ci nie zaszkodzi – dodała i pieszczotliwie pogładziła brzuch Michaliny.

I jak zwykle w takim momencie mała poruszyła się pod jej ręką.

To będzie radosne dziecko – pomyślała z czułością. – I na pewno będzie bardzo, bardzo kochane.

Gdy Nela i Michalina kładły się do łóżek, niebo było czyste i usiane świecącymi mroźnym, jasnym światłem gwiazdami. Puszki, w które popakowano pierniki, stały w równych rzędach na blacie w kuchni, na stole przykryte ściereczkami drzemały świeżutki, pachnące makowce. Kutia w wielkiej szklanej misce panoszyła się w lodówce. Za oknem już nastał grudzień, dzień dwudziesty drugi.

DWUDZIESTY DRUGI GRUDNIA



Michalina wstała rano i jeszcze zanim wyszła z pokoju, ze swojego starego plecaka wydobyła gęsto zapisany notes. Przekartkowała go i znalazła zanotowany tam numer telefonu. Wstukała go do swojej komórki i wysłała esemesa:

„To mój nowy numer. Jeżeli byś chciał, odezwij się do mnie, tato. Michalina”.

Odetchnęła głęboko i już miała na chwilę jeszcze zapaść się w puchowe poduszki, gdy usłyszała, że w korytarzu panuje jakieś poruszenie. Ewidentnie ktoś był u Neli. Coś szurało i dźwięczało. Zawinęła się w szlafrok i wyjrzała za drzwi. Pierwsze, co zobaczyła, to trzy duże torby podróżne stojące w przedpokoju. Koło nich leżały jeszcze jakieś pakunki pozawijane w foliowe siatki. Przez moment dziewczyna stała, gapiąc się na to wszystko i nie mogąc zrozumieć, co to właściwie znaczy. I tak zastała ją Nela, która elegancko ubrana, podmalowana, wynosiła z kuchni kolejną torbę.

– Ktoś przyjechał? – zapytała Michalina mało inteligentnie, bo jeżeli to ktoś by się u nich zjawił, to raczej Nela nie dokładałaby bagaży.

– Nie, ale za to my za chwilę wyjeżdżamy – odpowiedziała starsza pani pogodnie.

– Jak to wyjeżdżamy? – Michalina otworzyła szeroko oczy.

– Po prostu. Teraz lepiej szybko się ubierz, bo czasu jest niewiele. No już, już. Nie ma się nad czym zastanawiać.

– Właśnie, księżniczko, samochód czeka, przenoszę ostatnie torby. – Ku jej zaskoczeniu w przedpokoju pojawił się Konstanty i uśmiechnął się do niej promiennie.

– Ale ja nic z tego nie rozumiem... Nie jestem gotowa... – wybąkała zdumiona.

– Jesteś, jesteś. Spakowałam cię, masz wszystko. Moje bagaże też już są gotowe. Wskakuj w ubranie, śniadanie zjemy w samochodzie, bo dobrze by było, żebyśmy dojechali przed zmrokiem – pogoniła ją Nela. – Nie lubię jeździć po ciemku.

– Ubrać się? – upewniła się oszołomiona Michalina.

– Dokładnie – potwierdził, uśmiechając się słodko, Konstanty.

Gdy dziewczyna zniknęła w swoim pokoju, oboje z Nelą odetchnęli z ulgą. Ich plan wzięcia jej z zaskoczenia chyba się powiódł. Teraz należało nie dopuścić do tego, żeby ochłonęła. A przynajmniej dopóki nie znajdzie się w aucie.

Dopiero gdy wyjechali poza Warszawę, Michalina oderwała wzrok od zaśnieżonego krajobrazu migającego za oknami i wzięła głęboki oddech.

– Dokąd jedziemy? – zapytała, siląc się na spokój, choć wściekłość narastała w niej z minuty na minutę.

– Słuchaj, a może skusisz się na makowczyka? – zagadnęła pogodnie Nela. – Pyszny jest!

– Cudownie. Na zdrowie! To dokąd jedziemy?

– To może pierniczka?

– Cholera jasna! Nie chcę makowczyka, pierniczka, kutii ani śledzia! – ryknęła nieswoim głosem.

– Czy ktoś mi w końcu powie, dokąd mnie wywozicie?

– Śledzia nikt ci nie proponował – zauważyła ze stoickim spokojem Nela. – Zasmrodziłabyś całe auto. A poza tym nieładnie jest tak wrzeszczeć. Widziałaś, jak biedny Kotula cały podskoczył? Jeszcze, nie daj Boże, zestresuje się i spowoduje wypadek. A wiesz, jakie to niedogodne na dwa dni przed świętami?

– Ja za chwilę oszaleję – poinformowała Michalina ośnieżone pobocze jezdni.

– To może się wstrzymaj, aż dojedziemy do rodziców Konstantego. Powiedziałam jego matce przez telefon, że jesteś zrównoważona i mądra. Nie chciałabym wyjść na kłamczuchę – rzuciła niewinnie Nela, otwierając puszkę z piernikami.

– Do twoich rodziców? – powtórzyła Michalina, groźnie wbijając wzrok w plecy Kotuli. – Czy ja dobrze usłyszałam? – upewniła się, a w jej głosie zaczęły się przebijać histeryczne nuty.

– Do moich rodziców – odezwał się w końcu Konstanty. – Są mili, dobrzy, wychowali mnie na przyzwoitego człowieka i z wielką przyjemnością spędzą z nami wszystkimi święta.

– Matko jedyna, ja naprawdę zwariuję! – zapowiedziała Michalina, łapiąc się za głowę. – Co ma wspólnego to, że wychowali cię na przyzwoitego człowieka, z tym, że mnie do nich wiesz?

– Chyba nic – przyznał uczciwie Konstanty. – Po prostu chciałem przedstawić ich z dobrej strony. A wiozę ciebie i Nelę z prostej przyczyny: nie umiem się rozdwoić. A święta chciałem spędzić z nimi, ale też z wami. To chyba brzmi logicznie?

– Logicznie? A dlaczego ani ty, ani ty – wskazała na nich oskarżycielsko palcem – dlaczego żadne z was nie uprzedziło mnie o tym planie?

– Bo nie chciałybyś jechać. – Konstanty złowił jej spojrzenie w lusterku i w jego oczach zabłysnęły ciepłe ogniki. – A to by tylko skomplikowało sprawę, bo musiałbym cię siłą wpakować do auta. Wolałem tego uniknąć.

– O nie! O nie! – zagotowała się Michalina. – Ja tego tak...

– Zostały dwa dni do świąt – rzuciła Nela w przestrzeń.

– I co z tego? – głos Michaliny stał się piskliwy.

– To z tego, że po prosu zamilcz, bo jesteś rozdarta jak stare prześcieradło. I nie psuj nastroju.

Pamiętasz? Pierniki pieczone z miłością! A ty nad nimi wrzeszczysz. I to z jakiego powodu? Bo komuś zależy na tym, żebyś zasiadła razem z nim do kolacji wigilijnej! Żebyś przełamała się opłatkiem! A abstrahując już od tego szczególnego czasu, to gdybym ja kiedykolwiek urządziła taką scenę, to nie usiadłabym przez tydzień na tyłku!

– Akurat! Może byś i nie usiadła, ale i tak by cię to nie powstrzymało od robienia scen – wytknęła jej Michalina dużo spokojniejszym tonem. – Już ja cię zdążyłam poznać na tyle, żeby wiedzieć, że z ciebie, moja droga, jest niezłe ziółko.

– Wyszuszone – uśmiechnęła się Nela i Michalina mimowolnie prychnęła śmiechem.

– No to chyba wszyscy jednak przeżyjemy – skwitował Konstanty. – Nie ukrywam, że trochę się obawiałem twojej reakcji...

– I słusznie – mruknęła. – To teraz skoro już macie mnie w samochodzie i nigdzie wam nie ucieknę, to czy możecie mi powiedzieć, dokąd jedziemy? Poza tym, że do twoich rodziców.

– W Sudety. Byłaś kiedyś?

– Nie – Michalina pokręciła głową.

– To nie wiesz, ile straciłaś – uśmiechnął się Konstanty. – Tam jest tak pięknie, że zapiera dech. A ja go tracę bardzo rzadko – dodał i znów złowił spojrzenie Michaliny w lusterku.

W jego oczach odbiło się coś szczególnego, coś, co sprawiło, że stały się jeszcze bardziej granatowe, a chabrowe punkciki lśniły jak nigdy dotąd.

Tak, do tej pory dech zapierała mu tylko jedna rzecz. Widok ze szczytów, które zdobywał i z których roztaczały się krajobrazy dające mu poczucie, że wszystko, co widzi, leży u jego stóp. Tak było, zanim poznał Michalinę. Bo gdy się pojawiła na jego drodze, na jej widok czuł ucisk w piersi i coś, co sprawiało, że przez moment brakowało mu tchu. I wiedział, że stała się elementem niezbędnym w jego życiu, chciał nią oddychać, chciał ją kochać, czerpać z niej siłę i oddawać jej w dwójnasób wszystko, co dostawał od niej. Nie był na to przygotowany i nikt nie pytał go o zgodę. Ale to nie zmieniało faktu, że tak się stało. Była jego powietrzem. A przecież nikt nie mógł od niego wymagać, żeby nagle przestał oddychać...

Michalina zaś nie mogła oderwać oczu od granatu jego spojrzenia. Z jednej strony czuła się najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Z drugiej – wiedziała, że czas na szczęście, który sobie wyznaczyła, mija i za chwilę przeminie bezpowrotnie.

Jak ja mu to wszystko powiem? Jak wyjaśnię? – pomyślała z nagłym bolesnym szarpnięciem. Ale jego oczy i uśmiech, który widziała w lusterku, sprawiły, że zdołała odsunąć od siebie wszystkie

obawy.

Pamiętaj, liczy się tu i teraz. Masz jeszcze święta. Ciesz się nimi do upadłego – nakazała sobie i z ulgą stwierdziła, że ucisk w piersi zelżał, a po chwili zniknął zupełnie.

Gdy dojechali na miejsce, ziemię oczywiście otulał już mrok. Tym głębszy, że zabrakło świateł, neonów i lamp. Dom rodzinny Konstantego stał w lesie. Przez moment jechali w zupełnej ciemności rozświetlanej jedynie samochodowymi reflektorami. Dopiero gdy droga wyprowadziła ich pod szeroko otwartą bramę, zrobiło się jasno. Budynek był rzęsiście oświetlony i na pierwszy rzut oka widać było, że mieszkańcy czekają na gości. Ganek tonął w blasku setek lampek choinkowych.

Michalina wysiadła z samochodu i obrzuciła dom uważnym spojrzeniem. Był uroczy. Odśnieżona droga prowadziła wprost na schody ganku, na spadzistym dachu osadziła się śnieżna czapa, a okna wtulały się w przyjazne objęcia okiennic. Wszystko to tchnęło aurą spokoju i bezpieczeństwa. Miała ochotę jeszcze długi czas stać i patrzeć na ten cichy, zasypany śniegiem bajkowy obrazek, ale nie było jej to dane, bo drzwi domu otworzyły się i wypadł z nich pies, który rzucił się ku nim, merdając opętańczo ogonem. Zdumiona Michalina została obskoczona, oblizana i tak samo nagle porzucona, bo psisko na widok wychodzącego z auta Konstantego natychmiast do niego pognało. Kotuła przykucnęła, otwierając ramiona i to był jego błąd, bo rozpędzony pies wpadł na niego z impetem i powalił w śnieg, a widząc swojego pana leżącego tuż przed nim, oszalał z radości i dał jej wyraz, skacząc po Konstantym, który nie mógł powstrzymać śmiechu. Michalinę tak zajęło obserwowanie tej sceny, że nie zauważyła, kiedy z domu wyszli gospodarze. Ojciec i matka Kotuli. W związku z tym nie zdążyła się zdenerwować, spać ani nabrać dystansu. Z miejsca została wyściskana przez niską, pulchną panią, której głowa tonęła w czarnych lokach, gdzieniegdzie poprząkanych siwizną. Lekko skołowana oddała uścisk i zanim zdążyła się zorientować, znów znalazła się w mocnych, tym razem męskich ramionach postawnego pana, który był starszą wersją Konstantego.

No, on by się nie wyparł syna, nawet gdyby bardzo chciał – przemknęło dziewczynie przez głowę.

A potem z miejsca zostały razem z Nelą zaprowadzone do środka, usadzone w fotelach, poczęstowane herbatą. Wszystko działo się w takim tempie, że nawet nie zarejestrowała, od kiedy zupełnie swobodnie siedziała przy rozpalonym kominku, dokładała drewno, śmiała się i żartowała.

Jedno było pewne – Konstanty z całą pewnością nie przesadził, gdy mówił, że jego rodzice to dobrzy ludzie. I nic dziwnego, że dorastając w takim ciepłym, pogodnym domu, wyrósł na pewnego siebie, empatycznego człowieka. Zасыpiając, Michalina miała wrażenie, że widzi go stojącego w drzwiach. Ale zmęczona podróżą i emocjami, w jakie obfitowały dzień i wieczór, nie miała nawet siły, żeby podnieść powieki. Zapadła w sen ze świadomością, że jest bezpieczna. Śniło jej się, że zamieszkała pod anielskimi skrzydłami. Ciepłymi, niezawodnymi, dającymi schronienie.

A Konstanty, upewniwszy się, że Michalina śpi głęboko, podszedł do niej, okrył ją starannie kołdrą i z tkliwością pogładził jej włosy.

– Moja mała dziewczynka – powiedział w jej śnie anioł o ciemnej falującej czuprynie.

I NASTAŁ GRUDZIEŃ, DZIEŃ DWUDZIESTY TRZECI.

DWUDZIESTY TRZECI GRUDNIA



Michalinę obudził szcęk garnków i zapach gotującej się kapusty przemieszany z grzybowym aromatem. Szybko wstała, ubrała się i poszła do kuchni, którą już opanowały obie panie: Nela i Irena, mama Konstantego.

– Kochanie, tam na szafce zostawiłam ci śniadanie. Dzisiaj zupełnie nie ma czasu, żeby siadać przy stole – uśmiechnęła się do niej pani Irenka. – Zrobić ci coś do picia?

– Poradzę sobie, może ktoś oprócz mnie ma ochotę na herbatę? – zapytała, podchodząc do kuchenki i stawiając czajnik na gazie.

– Nie, my dopiero skończyliśmy.

– To ja się szybko uwinę ze śniadaniem i będę mogła pomagać – powiedziała, obrzucając kuchnię uważnym spojrzeniem.

Nareszcie zrozumiała, dlaczego Nela nie kupiła ani karpia, ani innej ryby, ani kapusty. Widać panie podzieliły się potrawami i Neli przypadły w udziale ciasta i ciastka, które łatwiej było przetransportować. Teraz obie, Nela i pani Irena, stały przy szerokim blacie kuchennego stołu i na gigantycznej stolnicy wycinały i lepiły pierogi z kapustą i grzybami.

– Jedz spokojnie, bo z tego, co wiem, to Konstanty ma dzisiaj trochę inne plany – uśmiechnęła się Nela.

– Chce cię zabrać do miasteczka. Zobaczysz, jaki mamy śliczny rynek. Od momentu gdy Malownicze kilka lat temu zajęło pierwsze miejsce w konkursie na najpiękniej udekorowane świątecznie miasteczko, burmistrz dba, żeby co roku było jeszcze bardziej urocze. I się udaje. Malownicze jest naprawdę malownicze – uśmiechnęła się pani Irenka i umączoną ręką odgarnęła włosy. – A przy okazji dam ci listę ostatnich zakupów. Okazało się, że nie o wszystkim pamiętałam. A od nas do miasteczka jest spory kawałek, więc dobrze by było załatwić to wszystko dzisiaj. Zajmiesz się tym, kochanie? Bo wiesz, kobiece oko konia tuczy – mrugnęła do niej, a Michalina mimowolnie się uśmiechnęła.

Już wczoraj miała wrażenie, że rodzice Konstantego są niesamowicie mili. Tacy... swojscy,

bezpretensjonalni. Teraz utwierdziła się w tym przekonaniu. Rozejrzała się w poszukiwaniu pana Leszka, taty Kotuli.

– Cóż, nauczona wieloletnim doświadczeniem, staram się w takich momentach znaleźć mu inne zajęcia. Byleby tylko nie kręcił mi się w kuchni pod nogami – odpowiedziała roześmiana pani Irena na jej pytanie. – Już się tak utarło, że dzień przed Wigilią Leszek jedzie do naszego przyjaciela leśniczego i przywozi drzewko. Jutro będziecie razem z Konstantym je ubierać. A właśnie, o wilku mowa. – Cała się rozpromieniła na widok wchodzącego do kuchni syna.

Kotula stanął w progu i ogarnął spojrzeniem jasne, przestronne wnętrze, zatrzymując wzrok na dziewczynie.

Michalina została z miejsca złowiona w to spojrzenie. I już nie mogła oderwać od niego oczu. Wyglądał zupełnie inaczej niż w Warszawie. Tam zwykle widywała go w garniturze, eleganckiego i odprasowanego. Teraz miał na sobie dzinsy opinające muskularne uda i gruby szary sweter, który podkreślał szerokie, ładnie umięśnione ramiona. Był przystojny i seksowny. I patrzył na nią z zadowolonym, leniwym uśmiechem.

– To co, lecimy? – zapytał, opierając się o framugę. – Mama już ci pewnie powiedziała, że nam przypadła rola tragarzy.

– Już. – Michalina szybko przełknęła ostatnią porcję sałatki jarzynowej. – Właściwie umyję zęby i możemy jechać...

– Poczekajcie, na wszelki wypadek zrobię jeszcze przegląd tego, co mam i co jeszcze musimy zrobić, i czego potencjalnie nam brakuje. – Pani Irena otrzepała ręce z mąki. – Tak żeby już więcej nie trzeba było jechać do miasteczka... – Otworzyła drzwi prowadzące do spiżarki, a potem zajrzała do lodówki i mrużąc coś do siebie, dopisała kilka rzeczy do listy, a potem podała kartkę synowi. – Nie goń jej za bardzo – powiedziała do niego i przeczesła mu włosy palcami. – I pokaż jej obraz z naszym malowniczym aniołem...

– Z kim? – Michalina pojawiła się, zaplatając długie włosy w warkocz.

– Z aniołem. Konstanty ci wszystko opowie – uśmiechnęła się Irena i spojrzała synowi prosto w oczy.

Dostrzegła tam spokój, pewność i ogromne pokłady czułości. I to jej wystarczyło. Odkąd jej syn przyszedł na świat, miała tylko jedno życzenie: jakkolwiek potoczą się jego losy, pragnęła, żeby został szczęśliwym człowiekiem. I coś jej mówiło, że to właśnie się dzieje. Spełnia się to, o co dla niego prosiła.

Droga do miasteczka nie była długa. Zostawili samochód na parkingu pod jednym ze sklepów i Michalina myślała, że tam właśnie zrobią zakupy.

– Chyba żartujesz – roześmiał się Kotula. – Od razu widać, że nie wychowywałaś się w małym miasteczku. Najpierw idziemy na rynek. Gdyby ktoś z miejscowych dowiedział się, że najpierw wszedłem do supermarketu zamiast, jak tradycja nakazuje, iść do nich, z miejsca bym został wyklęty. Tutaj takich rzeczy się nie wybacza!

– Ale skąd by ktoś wiedział... – zaczęła, lecz Kotula położył jej palec na ustach i z uśmiechem pokręcił głową.

– Tutaj wszyscy wiedzą wszystko. Poczta pantoflowa działa tak sprawnie, jak nigdy nie będzie funkcjonować ta prawdziwa – wyjaśnił. – A język Kraśniakowej jest słynny na całe miasteczko. Tak samo zresztą jak ciastka i kawa migdałowa z herbaciarni Krysi. Warzywa kupuje się w konkretnym warzywniaku, a książki... No właśnie, od niedawna stara księgarnia jest w nowych rękach, ale nadal tam należy chodzić po książkowe zakupy. A jak szuka się drobiazgu z duszą, idzie się do „Kufierka Leontyny”. To jasne dla każdego, kto stąd pochodzi. – Roześmiał się, widząc lekki popłoch na twarzy dziewczyny. – Nie bój się, we wszystkim ci pomogę. Poprowadzę i będę nad tobą czuwał – dorzucił już całkiem innym tonem i Michalina wiedziała, że w tej chwili nie mówi wcale o zakupach. – Chodź, uporamy się z listą od mamy, a potem zabieram cię na spacer. Pokażę ci najpiękniejsze zakątki tego miasteczka. – Uśmiechnął się do niej i tak jak w Warszawie wziął ją za rękę, jakby to było coś najbardziej naturalnego na świecie, i poprowadził uliczką opadającą stromo w dół.

Już po chwili znaleźli się na rynku. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Michalina oniemiała z zachwytu. Ogromna choina pyszniła się na środku placu. Cała spowita w złote łańcuchy, bombki, w których odbijało się pochmurne niebo, i szklane sopte, błyszczące małymi ulotnymi tęczkami. Górowała nad rynkiem, migotała, błyszczała i wabiła. Dziewczyna jak zahipnotyzowana podeszła do niej i zobaczyła, że pod baldachimem utworzonym z zielonych gałęzi stoi szopka naturalnych rozmiarów. Maria pochylona nad spoczywającym w żłóbku Jezusem, Józef, który otaczał ją ramieniem, jakby pragnąc chronić żonę przed wszystkim, co złe. Zwierzęta stłoczone tuż przy żłobie, wpatrzone z czcią w maleńkiego człowieka, który właśnie przyszedł na świat z pięknym darem dla wszystkich ludzi: z darem miłości. Wszystkie postacie miały w sobie ogromne pokłady zwykłej ludzkiej dobroci.

Bo od tego właśnie wszystko się zaczęło – olśniło zniecka Michalinę, która automatycznie położyła dłoń na swoim brzuchu. – Na ziemię przyszła miłość w ludzkiej postaci i to my mamy nieść ją dalej. A Boże Narodzenie ma nam o tym przypominać. Że być stuprocentowym człowiekiem, to

znaczy kochać, trwać i dawać od siebie tyle, ile tylko jest się w stanie. I wtedy nasz świat będzie lepszy. Małe miłość staje się naszą ogromną siłą.

– Ta szopka pojawia się tutaj co roku od kilku lat – usłyszała głos Konstantego i natychmiast oderwała rękę od brzucha i schowała ją za siebie. – Figury wyrzeźbił mieszkaniec Malowniczego, lokalny artysta, pan Klaudiusz. A malowała je pani Brygida. Też mieszkanka naszego miasteczka. I też artystka. Jakby tak się nad tym zastanović, to w Malowniczem jest sporo takich artystycznych dusz. Tak jakby to miasteczko je przyciągało. Zresztą biorąc pod uwagę legendę, o której wspominała mama, nie należy się dziwić. Mówi się, że tym miejscem opiekuje się anioł. – Kotula przygarnął dziewczynę do siebie.

– No tak, słyszałam, że jest jakiś obraz tego anioła... – wtrąciła, przytulając się do niego.

– Znając życie, tak jak co roku wystawiany jest w domu kultury. Albo na parterze ratusza... Chciałabyś zobaczyć?

– Pewnie, wiesz, nigdy dość anielskich podobizn. A skąd w ogóle takie przypuszczenie, że anioł ma coś wspólnego z Malowniczem?

– Podobno zawsze tak było. Na długo przed tym, jak Dolny Śląsk stał się częścią Polski. Podobno anioł zjawia się tu raz na jakiś czas. I dba o to, żeby w miasteczku dobrze się działo. Nie każdego roku przychodzi. Ponoć gdy zjawia się przed Wigilią, jego wizyta jest zapowiedzią szczęścia. Czasem coś sprzedaje i wtedy koniecznie należy to od niego kupić. Innym razem rozdaje bombki, pierniki... Przestrzega ludzi przed niebezpieczeństwem. Wygląda zwyczajnie, ot, starszy pan w granatowej czapce wciśniętej na oczy. Jedynie niektórym udaje się go zobaczyć ze skrzydłami. Ale wiesz, to tylko legenda – dorzucił i otworzył przed Michaliną ogromne, ciężkie drzwi prowadzące do ratusza.

– W każdej legendzie tkwi ziarno prawdy – odpowiedziała, mrużąc oczy i usiłując przyzwyczaić się do panującego we wnętrzu półmroku.

– Poczekaj. – Konstanty wyciągnął rękę w stronę ściany. – Gdzieś tu powinien być włącznik światła – mruknął i w tym samym momencie natrafił na niego palcami i przycisnął.

Hol zalała fala jasności. Michalina kilka razy zamrugała i spojrzała na ścianę przed sobą. Wisiał tam obraz oprawiony w ozdobną ramę. Dziewczyna w osłupieniu patrzyła na namalowanego mężczyznę w granatowej czapce w kratę, w połatanej koszuli, spod której wyrastały przepiękne świetliste skrzydła.

– Ja go znam – wyszeptała w końcu, cały czas nie mogąc oderwać oczu od obrazu. – Ja go naprawdę znam! To on dokarmił mnie drożdżówkami... I to on powiedział, że dobre rzeczy przychodzą wtedy, gdy człowiek się ich najmniej spodziewa, i że cały szkopuł polega na tym, żeby ich nie przegapić. To był on... Ziemski anioł!

– Wiesz co, cokolwiek widziałas, to jednak radziłbym ci o tym nie rozpowiadać na prawo i lewo – szepnął jej do ucha Konstanty. – Mieszkańcy Malowniczego nie przyjęliby z radością informacji, że

ich malowniczy anioł włóczy się po ulicach Warszawy. Ale jeżeli on rzeczywiście się ukazał, to znaczy, że wszystko idzie po mojej myśli... I prowadzi nas do szczęścia – zakończył i pociągnął dziewczynę do wyjścia.

Potem brnąć w rozdeptanym śniegu i nie wspominając ani słowem o malowniczym aniele, zrobili potrzebne zakupy. Zafascynowana Michalina obserwowała, jak Konstanty wszędzie przystaje, wita się ze znajomymi, przedstawia ją niektórym.

Ciekawe, jakie to uczucie być tak związanym z jednym, konkretnym miejscem? – pytała się w duchu. – Jak to jest znać ludzi od dziecka, wiedzieć o nich nieomal wszystko? I mieć świadomość, że oni też wszystko o mnie wiedzą. Czy bym tak umiała? Wmieszkać się w to miejsce, chodzić codziennie na rynek, pozwolić obcym ludziom milimetr po milimetrze zaglądać w moje życie? Konstantemu chyba to nie przeszkadzało. Ale z drugiej strony on nie miał tego na co dzień. W końcu na stałe mieszkał w Warszawie.

– Zobacz, dzisiaj tam nie idziemy, bo mama już wszystko kupiła, ale tam – wskazał ręką przed siebie – jest mięsny. Królestwo Kraśniakowej. Kraśniakowa to najlepsza linia informacyjna w miasteczku. Zna wszystkie nowinki i plotki. A tam jest „Kuferek Leontyny”. Taki sklepik ze starociami, pięknymi przedmiotami. Jego właścicielka ma humory i nie każdemu sprzedaje swój towar. Mówi, że niekiedy trzeba poczekać na tego, komu dany przedmiot jest przeznaczony...

– Wiesz co, jak cię tak słucham, to wcale się nie dziwię, że to właśnie tym miejscem zaopiekował się anioł. Cała twoja opowieść to magia w czystej postaci.

– Coś ty, jeżeli już, to jest to proza małomiasteczkowego życia – roześmiał się Konstanty. – A teraz chodź, na moment uciekniemy od tego zgiełku, dekoracji i tłumu. Zobacz, tam w górę pnie się uliczka, przy której nie ma sklepów, ale za to są wiekowe kamienice, jest cisza i leży śnieg. A gdy podejdziemy dostatecznie wysoko, z jednego z podwórek rozciąga się przepiękny widok na góry. Chciałbym ci go pokazać... – dodał i delikatnie pociągnął dziewczynę za sobą.

Gdy dotarli do wspomnianego przez Konstantego miejsca, Michalina znieruchomiała i patrzyła oniemiała z zachwytu. Widziała rzekę skutą lodem i górujące nad nią wzgórza, widziała ośnieżone szczyty, porośnięte ciemną szczecina lasu, i domy otulone śnieżnymi czapami. Było tak pięknie, że od tego piękna aż bolało ją w środku.

– To jest miejsce, do którego tęsknię, gdy zbyt długo tu nie przyjeżdżam. – Poczula, jak jego ramiona otulają ją mocnym uściskiem. – I to jest miejsce, do którego nigdy wcześniej nie przywiozłem żadnej kobiety.

Pusty rynek. Nad dachami

Gwiazda. Świeci każdy dom.

W zamyśleniu, uliczkami,

Idę, tuląc świętość świąt.

Wielobarwne w oknach błyski

I zabawek kusi czar.

Radość dzieci, śpiew kołyski,

Trwa kruchego szczęścia dar.

– wyszeptał jej prosto do ucha. – To ciebie chcę tulić jak świętość świąt, ty jesteś moim kruchym szczęściem. I chcę, żebyś o tym wiedziała, i nigdy przenigdy nie dam ci zapomnieć. Ani o sobie, ani o tym, że jesteś dla mnie najważniejsza – pochylił się nad nią i poszukał jej ust.

Pocałunek był pełen obietnic i czułości. I Michalina pomyślała, że oddałaby wszystko, żeby móc zatrzymać czas i żeby święta trwały wiecznie.

W gwarze przygotowań, w ciepłym blasku ognia płonącego na kominku nastał grudzień, dzień dwudziesty czwarty. Jedyne dni, które tak naprawdę rodzi się późnym wieczorem i które kołyszą jasno świecące gwiazdy.

DWUDZIESTY CZWARTY GRUDNIA



Michalina w tym pozornie całkiem obcym domu po raz pierwszy od długich miesięcy czuła się jak u siebie. I z zaskoczeniem zauważyła, że nie wszystko musi być idealne, by nadal było pięknie. I tak przeżyła przypalenie wigilijnej kapusty z grzybami, które zostało skwitowane ogólnym westchnieniem: „No proszę, jak co roku!”. Choinka o mało co nie wyłożyła się na środek pokoju, bo pan Leszek z Konstantym źle obsadzili ją w stojaku, a podstępne drzewko raczyło ujawnić to dopiero, gdy w połowie było już udekorowane bombkami. Wszyscy obecni w pokoju, w tym Nela, rzucili się ją ratować. I byli skuteczni. A przy tym nikt na nikogo nie krzychał, nikt nie wybuchał złością. Coś, co kompletnie nie przeszłoby w domu, gdzie gospodynią była Wandeczka. Tam awantura zapewne goniłaby awanturę. Ale te myśli Michalina odsunęła od siebie jak najdalej. Zajęła się rozwieszaniem choinkowych ozdób. Starych migoczących sopli, kryształowych aniołków, lśniących od brokatu muchomorów. Na początku usiłowała rozmieszczać bombki z artystyczną precyzją, tak by pięknie się prezentowały, ale w którymś momencie podeszła do niej mama Kotuli.

– Daj spokój, to i tak nie ma sensu – wyszeptała jej do ucha. – Wieszaj, gdzie popadnie. Zaraz zobaczysz, o co mi chodzi – dodała i pogładziła pieszczotliwie Michalinę po jasnych włosach.

I rzeczywiście – nie upłynęło nawet pięć minut, a Konstanty zniknął z salonu. Wrócił, niosąc przed sobą trzy duże pudła wypełnione najróżniejszymi ręcznie robionymi zabawkami. Niektóre z nich były krzywe i nieco niekompletne.

– No to teraz moje ulubione – wysapał, wspinając się na wysoki taboret. – To są ozdoby, które robiliśmy wspólnie z moją babcią i dziadkiem, niektóre z mamą i z tatą, a część sam ściboliłem, gdy mama bezlitośnie wyrzucała mnie z kuchni – powiedział, obwieszając choinkę papierowymi łańcuchami, kaczuszkami z wydmuszek jaj i kokardkami ze słomy.

– Wyrzucałam cię, bo nie można cię było spuścić z oczu! Wyobraź sobie – zwróciła się do Michaliny – kiedyś zeżarł mi wszystkie bakalie do keksu. A keks to moje popisowe ciasto! Nie dziw się więc, że usiłowałam ci znaleźć inne zajęcie!

– Cóż, po tylu latach muszę, żono, coś ci wyznać – odchrząknął nieco zmieszany pan Leszek. – Bo

tymi bakaliarniami to tak naprawdę zająłem się ja... Ale tylko dlatego, że one tak do mnie sugestywnie mówiły!

– No nie! Sami zdrajcy wokół mnie! – roześmiała się pani Irena. – A ja przez cały czas myślałam, że to domowy łakomczuszek Konstanty! Mężu, jak mogłeś pozwolić na to, żebym przez te wszystkie lata katowała tym twojego własnego syna?

– To był nasz mały męski sekret. Nie martw się, odwdzieczyłem się naszemu synowi nie raz, ale czego oczy nie widzą... Sama rozumiesz, to ojcowsko-synowskie tajemnice – dodał, patrząc, jak uśmiechnięty Konstanty wiesza kolejne ozdoby.

I po chwili dla Michaliny stało się jasne, co chciała jej przekazać pani Irena. Rzeczywiście staranne rozwieszenie bombek i łańcuchów nie miało najmniejszego znaczenia, bo pod bagażem sentymentalnych cacuszek przyniesionych przez Kotulę choinka zaczęła przypominać ogromny, dość niekształtny stos.

– Tak jest co roku – powiedziała z uśmiechem pani Irena. – Kiedyś się na to złościłam, teraz jednak za nic nie chciałabym, żeby to drzewko wyglądało inaczej. Nie przypomina tych z czasopism, ale jest nasze własne – dodała i pobiegła do kuchni, gdzie Nela właśnie krzykliwie oznajmiała, że pierogi trzeba już wyławiać, a ona nie może znaleźć łyżki cedzakowej.

I właśnie wtedy w kieszeni spodni Michaliny rozdzwonił się telefon. Nie musiała patrzeć na wyświetlacz, wiedziała, kto dzwoni, bo tylko jednej osobie podała swój numer.

– Halo? Chwileczkę, tylko wyjdę w mniej głośnie miejsce – rzuciła do słuchawki. Sięgnęła po wiszący na oparciu fotela szal, owinęła się nim i wymknęła się na ganek.

– Córeczko, jesteś tam? – dopytywał się drżący ze wzruszenia głos jej ojca.

– Tak, jestem...

– Bo widzisz, ja też jestem. Przyjechałem pod ten adres, który podała mi ta twoja znajoma, pani Petronela. Ale tutaj ciemno i głucho. Jakby nikogo nie było...

– Bo nie ma. Nikogo, tato, nie ma. Wyjechałyśmy na święta – powiedziała krótko.

– Córeczko, a ja tak bardzo chciałem cię przytulić i przeprosić. I bardzo, bardzo chciałem podzielić się z tobą opłatkiem. Twoja mama mówiła, że gdy go przełamujemy, to tak jakbyśmy dzielili się sercem na pół. Zupełnie nie wiem, dlaczego pozwoliłem sobie o tym zapomnieć. I chciałem dzisiaj... – Głos mu się załamał.

– A ja nie wiem, czy jestem na to gotowa, tato... Jeszcze nie. Najpierw musimy porozmawiać i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Z jednej strony żałuję, że mnie tam nie ma, ale z drugiej to może i dobrze. Obojgu nam potrzeba czasu, żeby nabrać dystansu. I na nowo sobie zaufać. Ale cieszę się, że się do mnie odezwałeś. Uściśnij ode mnie Wojtusia. Powinien już dotrzeć prezent ode mnie dla niego. Wysłałam pocztą. Mówię ci to na wszelki wypadek, gdyby się gdzieś zawieruszył. – Odchrząknęła znacząco.

Oboje wiedzieli, że chodzi o Wandę.

– No tak... Zawiodłem na całej linii...

– Zawiodłeś – przytaknęła twardo. – Ale jest Wigilia. Czas wybaczenia. I ja ci, tato, wybaczam, nie wiem jednak, czy kiedykolwiek zapomnę. Odezwę się, jak wrócę, a tymczasem życzę ci wesołych świąt. – Jej głos złagodniał.

– Przepraszam cię, córko – wyszeptał. – Wesołych świąt i do usłyszenia. I obiecaj, że zadzwonisz.

– Obiecuję. Do usłyszenia – powiedziała. Nacisnęła czerwoną słuchawkę i wzięła głęboki oddech.

Dużo ją kosztowała ta rozmowa. Ale dobrze, że się odbyła. Pierwszy krok został zrobiony. Wigilia przestała być tylko słowem, a stała się czymś prawdziwym i realnym. Dziewczyna wybaczyła i zostawiła otwarte drzwi. I w dużej części od ojca zależało, czy z nich skorzysta.

Dotarło też do Michaliny, że dla niej święta w tym roku rozpoczęły się dużo wcześniej. Trwały od tego momentu, gdy Gabrysia ogrzała ją w swojej kwiaciarni. I gdy coś wielkiego i nieznanego sprawiło, że weszła do kościoła i poprosiła o pomoc. I gdy wpadła na Nelę siedzącą na kościelnych schodach, i gdy spojrzała w oczy Konstantemu.

Przez moment stała jeszcze na ganku otulonym śniegiem i patrzyła w ciemniejące niebo. Za moment zapewne rozbłyśnie na nim pierwsza gwiazda.

Ciekawe, co mi wskaże i dokąd każe pójść – pomyślała Michalina, wzdrygając się z zimna. W tej samej chwili jej córeczka poruszyła się z niezwykłą siłą. Cud nowego życia dawał o sobie znać.

Michalina stanęła w progu salonu. W wejściu od strony ganku. Wszyscy inni byli po drugiej stronie, tam gdzie salon łączył z kuchnią mały korytarzyk. Dziewczyna specjalnie tu się przemknęła, żeby przez moment pobyć sama ze sobą. I popatrzeć na pokój, który wyglądał odświeżenie i pięknie. Oświetlony był tylko choinkowymi lampkami, rzucającymi cień na stół nakryty białym obrusem, pod którym szeleściło sianko. Na stole stały świece, biały talerzyk z wtapiającym się w niego opłatkiem. Z odtwarzacza płyt płynęły dźwięki kolęd. Cała rodzina Konstantego (przyjechała jeszcze siostra jego mamy z mężem, dziećmi i wnukami) plus Nela kręcili się po kuchni, donosili na stół potrawy, sztuce i szklanki. Wszyscy byli rozgadani, roześmiani i szczęśliwi. Pod choinką piętrzyła się góra prezentów, podkładanych ukradkiem przez dorosłych. Paczek cały czas przybywało. Michalina też dorzuciła tam od siebie małe co nieco. Dobrze, że przezornie zabrała wszystkie bombki, które namalowała z myślą o świętach w domu Neli. Teraz były jak znalazł. Tylko jedną zapakowała, ale nie położyła jej pod drzewkiem. Wsunęła ją do obszernej kieszeni długiego swetra, którym się otuliła. Jeszcze nie miała stuprocentowej pewności, czy może ją wręczyć osobie, której chciała ją podarować. Tymczasem stała i patrzyła. Na szczęście malujące się na twarzach obecnych, na roześmiane dzieci, na Nelę, która z zarumienionymi policzkami kursowała z kuchni do salonu i z powrotem. Na to, jak pan Leszek obejmuje swoją żonę i jak czule coś do niej szepcze. I jak ona całuje go w policzek. I poczuła, jak oczy jej wilgotnieją.

– Też czasami tu staję i patrzę, i nadziwić się nie mogę, że jestem częścią tego wszystkiego – rozległ się nagle tuż za nią szept Konstantego. – I też mam wtedy mokre oczy. I nie wiem, komu dziękować za to wielkie szczęście, które mnie spotkało – dodał i oplótł swoimi ramionami jej ramiona. – A teraz, zanim się zupełnie rozkleimy, chodźmy do stołu. Mama kazała już powoli się zbierać – dodał, przesuwając ustami po jej włosach.

A potem, potem było pięknie jak nigdy dotąd. Gdy łamała się opłatkiem z Nelą, z rodzicami Kotuli i z nim samym, dokładnie wiedziała, co jej mama miała na myśli, gdy mówiła, że to jest tak, jakby rozłamywała własne serce. Ona też czuła, jak kawałek po kawałku oddaje je temu wieczorowi, tej rodzinie, i jak w zamian dostaje to samo. Cząsteczki wielu serc wracały do niej z życzeniami wszystkiego, co najlepsze i najpiękniejsze. Gdy stanęła naprzeciw Konstantego, nie mogła nic powiedzieć, za to w jej oczach znów pojawiły się łzy. Jednak tym razem nie próbowała ich ukryć.

– Żeby od tej pory każda łza, która pojawi się w twoich oczach, była wyłącznie wyrazem szczęścia i wzruszenia – wyszeptał, obcierając jej policzki kciukiem. – Niech nam się szczęści, Chaśka, i niech ta Wigilia będzie pierwszą z wielu, które spędzimy razem – dodał, podając jej swój kawałek opłatka i sięgając po biały płatek kurczowo trzymany przez nią w palcach. Miała wrażenie, że oto w tej

sekundzie dostaje w prezencie coś wielkiego, zamkniętego w białej drobinie. Na co kompletnie nie zasługuje. A potem wszyscy usiedli do stołu i zaśpiewali wspólnie *Bóg się rodzi* i *Przybieżeli do Betlejem pasterze*. Później zaś Michalina ukradkiem wymknęła się na zewnątrz. Żeby ostudzić emocje i uspokoić serce. Nie widziała, że tuż za nią podążył Konstanty.

Zanim do niej podszedł, przez moment stał w drzwiach ganku i przyglądał się jej drobnej postaci. Wiedział, że teraz wszystko zależy od tego, jak potoczy się ta rozmowa. Od tego, jak on to rozegra. Ale tym razem nie chciał w nic grać ani uciekać się do podstępów. Chciał być szczery i w zamian dostać szczerość. Wziął głęboki oddech i powoli podszedł do Michaliny.

– Zobacz, jak jest pięknie – powiedział, stając tuż za nią. – Świat wygląda jak wyjęty prosto z baśni. Ten śnieg, który się magicznie skrzy, korony drzew otulone białymi czapami, sople, które wyglądają jak gigantyczne lizaki... W Wigilię to wszystko nabiera innego wymiaru i człowiekowi aż nie chce się wierzyć, że za kilka dni będzie sarkał i narzekał na zimno i mróz...

– Bo Wigilia właśnie taka ma być. Magiczna, ciepła, dająca nadzieję – powiedziała cicho. – Masz wspaniałą rodzinę, Kotula. Ten śnieg i to wszystko, czym tutaj się zachwycamy, nie byłoby nic warte bez twoich rodziców, bez ich dobroci. Siedząc z wami przy stole, nawet ja pomyślałam, że być może jeszcze nie wszystko dla mnie skończone. Na moment odzyskałam wiarę i nadzieję...

– Wiara i nadzieja... Brakuje tylko miłości – wyszeptał, obejmując jej szczupłe ramiona. – A ja bym bardzo chciał, żeby w naszym życiu jej nie zabrakło, Chaśka. I właściwie nawet nic specjalnego nie muszę w tym względzie robić. Bo ona już się pojawiła. Tego wieczoru, gdy zobaczyłem cię w kościele, coś w moim sercu drgnęło. Najpierw lekko, a potem z każdym dniem drżało coraz mocniej i mocniej. I teraz to ty jesteś za nie odpowiedzialna. Za to moje serce... Już na początku naszej znajomości zrozumiałem, że nie przypadkiem stanęłaś na mojej drodze. Stałaś się dla mnie mglistą obietnicą lepszej przyszłości. Nagle okazało się, że mam o kim myśleć, dla kogo się starać i żyć. Dziś, gdy usiedliśmy przy wigilijnym stole i przełamaliśmy się opłatkiem, zobaczyłem, że coś się zmieniło. Mgła zniknęła. Obietnica zaczyna się spełniać... Nie wiedzieć kiedy tak się ze mną porobiło, że już nie wyobrażam sobie mojego świata bez ciebie. Byłaś moim osobistym zbłąkanym wędrowcem i to na ciebie przez tyle lat czekało to puste krzesło... – Odetchnął głęboko i cicho się roześmiał. – Coś kiepsko mi to idzie... Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że to pierwsze takie wyznanie w moim życiu. Składałem różne obietnice, mówiłem czułe słówka, ale... Mniejsza z tym. Gdybyś się do tej pory nie zorientowała, Chaśka, w ten pokrętny i okrężny sposób usiłuję powiedzieć ci, że cię pokocham...

W tym momencie dziewczyna gwałtownie obróciła się twarzą do niego i położyła mu palec na ustach.

– Nie kończ – nakazała mu szeptem. – Nie wolno ci tego powiedzieć! Nie mnie! – Na moment zamilkła i przymknęła oczy, żeby powstrzymać napływające łzy.

Poczuła na swoim palcu dotyk jego gorących warg i przez chwilę wyobrażała sobie, jakby to było

pięknie, gdyby teraz mogła się po prostu do niego przytulić. Nic nie mówić, tylko czuć na policzkach dotyk jego ciepłej, puchowej kurtki. Dać się zamknąć w mocnych ramionach i posłuchać, jak bije to serce, które właśnie chciał jej ofiarować. Nie pragnęła niczego więcej. Tymczasem za moment będzie musiała wyznać mu, że pomylił się co do niej. Że nie może jej kochać, bo nie wie o niej wszystkiego, a gdy się dowie, na pewno nie będzie chciał jej znać. Poczuła, że jej oczy napęniają się łzami, a w ustach pojawił się gorzki smak. Czuła się tak, jakby właśnie ktoś założył jej pętlę na szyję i postawił ją na skraju przepaści, w którą z własnej woli zamierzała skoczyć. Piękna baśń za sekundę się skończy. I żadna gwiazdka ani cud wigilijny nie są w stanie jej uratować.

– Posłuchaj, nie możesz mnie kochać – wyszeptała zdławionym głosem, zdecydowana tu i teraz wyznać mu całą prawdę.

Niech to już się skończy – pomyślała zrezygnowana – chcę mieć to już za sobą.

– Ja nie zasługuję ani na ciebie, ani na taką rodzinę... Nie wiesz o mnie wszystkiego – ciągnęła, wzięwszy głęboki oddech.

– Zasługujesz na wszystko, co najlepsze – przerwał jej niecierpliwie. – Na wszystko!

– Boże, nie dręcz mnie! Przecież ci mówię, że nie wiesz o mnie wszystkiego. Ja nie jestem odpowiedzialna tylko za siebie... Jestem w ... – Tym razem to on nie dał jej dokończyć i zamknął jej usta długim i czułym pocałunkiem.

Dopiero gdy poczuł, że dziewczyna przyłgnęła do niego, delikatnie odsunął ją od siebie i z czułością spojrział w zamglone łzami oczy.

– Chaśka, przecież ja się wami zaopiekuję – powiedział miękko. – Najlepiej, jak tylko będę potrafił.

Przez moment patrzyła na niego wzrokiem przepełnionym niedowierzaniem i zdumieniem.

– Jak to... To ty wiesz? Skąd? I od kiedy?

– Od początku. Przecież powiedziałem ci, że od tamtego dnia, gdy ujrzałem cię w kościele, stałaś się dla mnie kimś wyjątkowym. Nie zobaczyłem cię po raz pierwszy na kościelnych schodach, ale w środku. Klęczałaś w ławce i prosiłaś o to, żebyś miała gdzie spać, co jeść i żebyś nigdy już nie była samotna... Ja naprawdę nie chciałem podsłuchiwać. Wszedłem tam z własną prośbą... Widzisz, ja tak naprawdę jestem adwokatem. Nie udawałem wtedy przed Wandeczką. To mój zawód. I podobno całkiem nieźle sobie radzę, szczególnie biorąc pod uwagę mój młody wiek. Oczywiście jak na adwokata, bo tak ogólnie to jestem dojrzałym facetem. Tamtego dnia wygrałem wielką sprawę, wybroniłem niezłego drania. Takiego, przez którego wiele rodzin znalazło się na bruku. I zamiast odczuwać szczęście i satysfakcję, poczułem się podle. Tak jakbym zawiódł. Wiedziałem, że to szuja, ale sprawa była prestiżowa, zdawałem sobie sprawę, że jeżeli wygram, otworzy to przede mną nowe drzwi. Więc zrobiłem, co mogłem, i wygrałem. A potem nie potrafiłem sobie dać rady z wyrzutami sumienia. Ojciec zawsze mi powtarzał, że to trudny zawód, taki, który będzie mnie zmuszał do

przełykania goryczy... I miał rację. Wtedy nie poszedłem opijać swojego sukcesu, nie chciałem odpoczywać w domu, tylko pchany jakąś niezrozumiałą potrzebą trafiłem do kościoła. Żeby wyrzucić to z siebie i chyba poczuć, że jednak mam szansę na rozgrzeszenie. Choć uwierz, na co dzień nie jestem zbyt religijny... To był impuls. I tam niczym zmaterializowanie moich wszystkich obaw spotkałem, czy raczej usłyszałem, ciebie. I stwierdziłem, że oto dostałem odpowiedź. Chciałaś anioła do wynajęcia i ja zamierzałem nim zostać. Żeby zadośćuczynić. Głupie, wiem. Wcale nie zamierzałem się w tobie zakochiwać ani wiązać się jakoś szczególnie. Po prostu chciałem ci pomóc. A potem zgasło to światło i myślałem, że cię zgubiłem. A resztę... Resztę znasz.

– Ale nadal nie rozumiem, skąd wiesz o dziecku... – wyszeptała.

– Gdy wtedy w korytarzu u Neli zrobiło ci się słabo, wziąłem cię na rękę. I gdy rozpinałem ci kurtkę, zobaczyłem twój zaokrąglony brzuch. A potem dziecko się poruszyło.

– No tak, ona zawsze w twojej obecności wariuje – uśmiechnęła się Michalina, a z oczu popłynęły jej łzy. – Wierci się tak, jakby się chciała do ciebie wyrwać... Ale nie interesuje cię, kim jest jej ojciec i...

– A więc to dziewczynka – ucieszył się i przesunął rękę na brzuch dziewczyny. Po raz pierwszy odważył się to zrobić i poczuł, jak wzruszenie ścisną mu gardło. – Nie rusza się... – mruknął rozczarowany.

– Śpi, miałyśmy dość intensywny dzień...

– Poczekam, może jednak raczy mnie kopnąć. – Nie cofnął ręki, tylko jeszcze mocniej przycisnął ją do jej brzucha. – A co do twojego pytania o ojca małej... Nie ma go, jesteś zupełnie sama, więc albo jest totalnym dupkiem, albo nie jest dla ciebie istotny. Szczerze mówiąc, w tej sytuacji wolałbym, żeby to drugie przypuszczenie było prawdziwe...

– Jest prawdziwe. On nic dla mnie nie znaczy. Właściwie w ogóle go nie znałam... O matko, nie brzmi to zbyt dobrze – mruknęła speszona. – Jakbym chodziła do łóżka z kim popadnie.

– Akurat o to nigdy cię nie posądzałem... Opowiesz mi o tym wszystkim w najbliższym czasie. Bo teraz musimy wracać... Ale zanim wejdziemy do środka... Proszę, mam coś dla ciebie.

Podał jej pudełko zawinięte w błękitny papier. Michalina wzięła je w drżące ze wzruszenia ręce i rozerwała opakowanie. W środku była szklana kula, we wnętrzu której stał miniaturowy dom obsypany śniegiem, przed nim pyszniła się wielka choinka, a pod nią stała obejmująca się ciasno para. Maciupenka kobieta trzymała w ramionach jeszcze mniejsze zawiniątko, z którego wystawała maleńka buźka. Michalina poczuła, że to dla niej za wiele i że za moment rozplacze się tak, że już nic i nikt nie będzie w stanie powstrzymać jej łez. Ale w tym samym momencie dostrzegła, że w otwartych drzwiach prowadzących na ganek stanęła Nela. Łzy same się cofnęły. Konstanty podniósł jej dłoń, w której trzymała szklaną kulę.

– To jesteśmy my, Chaśka. Ja, ty i...

– Klara – przerwała mu, podnosząc głowę i popatrując znad jego ramienia na Nelę. – Moja córka będzie miała na imię Klara – powtórzyła głośno i zobaczyła, jak z oczu staruszki zaczynają płynąć łzy.

A potem Nela podeszła do nich i po prostu ich objęła.

Michalina przytuliła ją mocno. Nie padło ani jedno słowo, a jednak wszystko było jasne. Dziewczyna już od dawna wiedziała, że nazwie swoją córkę imieniem zaginionej siostry Neli. W końcu to ona i jej dziecko były odpowiedzią na prośby staruszki. Skoro była cudem, chciała na to miano w pełni zasłużyć. Po chwili Nela pociągnęła nosem i poklepała Kotulę po ramieniu.

– Wiedziałam. Od pierwszego momentu wiedziałam, że czujesz do niej miętę – powiedziała i ruszyła do domu. – I nie stójcie tu Bóg wie ile, bo zaziębicie mi Klarę – dodała i jak gdyby nigdy nic weszła do środka.

– Nie będzie nam z nią łatwo – mruknął Kotula.

– O, na pewno nie! Nieraz da nam w kość, ale jeżeli mam być szczerą, raczej się z tego cieszę... A teraz jeszcze jedno... – Uśmiechnęła się i sięgnęła do kieszeni swetra, gdzie ukryła swoją paczuszkę. – Ja też mam coś dla ciebie – powiedziała i podała mężczyźnie zawiniątko.

Konstanty rozpakował je i z zachwytem zapatrzył się w bombkę, na której widniał namalowany świetlisty anioł trzymający w rękach tabliczkę z napisem: „Anioł do wynajęcia”.

– To ja – uśmiechnął się, patrząc na bombkowego anioła. Takie same włosy i usta...

– Dokładnie. To ty. Nawet nie wiedziałam, że maluję ciebie, dopóki nie spojrzałam na gotowy obrazek – wyszeptła. – Kotula, a co my teraz zrobimy? Jak wytłumaczymy to wszystko twoim rodzicom?

– Oni wiedzą. Mama zawsze mi powtarzała, że najważniejsze w życiu jest to, żeby być szczęśliwym. Oczywiście dużo jeszcze przed nami, ale jedno wiem na pewno... Ktoś podarował nam piękny początek i nie powinniśmy go zmarnować. A wszystko inne... Jakoś się ułoży – powiedział, przytuliwszy ją mocno.

Gdy wchodzili do domu, Michalina potrząsnęła trzymaną w rękach kulą. Wewnątrz niej na objętą, szczęśliwą parę zaczął sypać śnieg. Gdy obejrzała się za siebie, zobaczyła białe płatki spadające miękko na schody ganku. Już dawno zniknęła w środku, a śnieg padał coraz grubszy, otulając szczelnie dom, w którym wszyscy nadal siedzieli przy wigilijnym stole.

To samo działo się w milionach innych mieszkań i domów. Ten wieczór i nadchodząca noc były naprawdę magiczne. Przepelnione nadzieją, wiarą i miłością. W taką noc przemawiały zwierzęta, anioły zaś zstępowały na ziemię i wtapiały się pomiędzy ludźmi. Niektóre – między nimi te do wynajęcia – zostawały na dłużej. A czasami przekazywały swoją misję tym, którym miało wyjątkowo się poszczęścić. Ludziom o anielskich duszach i pełnych miłości sercach.



Moi kochani już wiecie, że tuż przed Wigilią w domu Neli i Michaliny zaczęło pachnieć świątami. Makowiec, pierniczki, piernik staropolski, rozsiewały wokół siebie aromaty przywodzące na myśl ciepło, miłość i pierwszą gwiazdkę, która co roku przypomina nam o tym co najważniejsze: o miłości do drugiego człowieka. Pomyślałam, że być może ktoś z Was po lekturze *Anioła* skusi się na któryś z przepisów, z których korzystała Nela. I z których ja korzystam co roku. A oto i one:

MAKOWIEC

CIASTO NA 3 STRUCLE

3 szklanki mąki pszennej + 3 łyżki do podsypywania

180 ml letniego mleka

150 g masła, roztopionego i przestudzonego

6 żółtek

45 g świeżych drożdży lub 21 g drożdży suchych

6 łyżek cukru

½ łyżeczki soli

1½ łyżki spirytusu (lub innego alkoholu)

ziarenka z 1 laski wanilii lub 1 łyżeczka pasty waniliowej

- Drożdże suche wymieszać z mąką pszenną (z drożdży świeżych najpierw zrobić rozczyn). Dodać pozostałe składniki i wyrobić ciasto, dodając pod koniec rozpuszczony tłuszcz. Z ciasta ukształtować kulę, przełożyć do większego naczynia, przykryć lnianym ręcznikiem. Odstawić do wyrośnięcia w ciepłe miejsce (na 1–1,5 godziny). Ciasto powinno podwoić objętość.

MASA MAKOWA

500 g maku

170 g jasnego brązowego cukru (można połowę zastąpić miodem, masa będzie bardziej wilgotna)

100 g rodzyneków

50 g orzechów włoskich, posiekanych

3 łyżki miodu

2 łyżeczki aromatu migdałowego

1 łyżeczka cynamonu

1 łyżka masła w temperaturze pokojowej

6 białek

- Mak zalać wrzącą wodą, tak aby go przykryła, odstawić do wystygnięcia, odsączyć z nadmiaru wody, dwukrotnie zmielić w maszynce do mięsa z drobnym sitkiem.
- Do zmielonego maku dodać pozostałe składniki, wymieszać. Na końcu delikatnie wymieszać z ubitymi na sztywno białkami, które pozostały z ciasta.

WYKONANIE

- Ciasto drożdżowe podzielić na 3 części, rozwałkować na prostokątne placki o grubości około 3 mm, nałożyć masę makową, zostawiając wolne około 2 cm od brzegu. Zwinąć (jak roladę), a końce makowców podłożyć pod spód. Każdy z makowców przełożyć na osobny arkusz posmarowanego olejem papieru do pieczenia, zawinąć w niego dwukrotnie, pozostawiając około 1 cm luzu pomiędzy ciastem a papierem.
- Nie jest konieczne pozostawianie uformowanych makowców do ponownego wyrośnięcia, ale można je odłożyć na 15 minut w ciepłe miejsce.
- Piec w nagrzanym piekarniku 30–40 min w temperaturze 180°.

PIERNIK STAROPOLSKI

500 g miodu pszczelego

2 szklanki cukru

kostka masła

1 kg mąki

$\frac{1}{3}$ szklanki przegotowanego mleka

3 jajka

3 płaskie łyżeczki sody oczyszczonej

$\frac{1}{2}$ łyżeczki soli

2 torebki przyprawy korzennej do pierników

2 łyżki posiekanych orzechów włoskich

2 łyżki drobno posiekanej kandyzowanej skórki

pomarańczowej

3–4 drobno posiekane śliwki suszone

łyżka posiekanych migdałów

powidła śliwkowe do przekładania

- Miód, masło i cukier podgrzewać na małym ogniu, do momentu aż zawrze. Sodę rozpuścić w mleku. Do przestudzonej masy dodać mąkę, jajka, mleko z sodą i przyprawę korzenną, cały czas wyrabiając. Następnie dodać bakalie i wyrabiać dalej. Starannie wyrobione ciasto przełożyć do kamionkowej lub szklanej miski, umieścić w chłodnym miejscu na kilka tygodni. Po tym okresie podzielić ciasto na trzy części, rozwałkować i ułożyć na wysmarowanej tłuszczem blasze. Piec w rozgrzanym do 180°C piekarniku. Po ostygnięciu ciasta lekko podgrzać powidła i przełożyć nimi placki. Zawinąć w papier do pieczenia i zostawić na dwa, trzy dni. (Z tego wniosek, że piernik pieczemy wcześniej, niż będziemy konsumować)

PIERNICZKI

300 g mąki

150 g cukru

½ szklanki miodu

2 całe jajka

3 żółtka

łyżeczka przypraw do piernika

½ łyżeczki sody

- Jajka, żółtka i cukier ubijać do białości. Następnie stopniowo dodawać mąkę, cały czas ucierając; wlać rozpuszczony miód. Wymieszać i dodać przyprawę do piernika oraz sodę. Dokładnie wyrobić ciasto, przełożyć do miski i wstawić na noc do lodówki. Następnego dnia rozwałkować na posypanej mąką stolnicy i wykrajać pierniczki. Zostawić na godzinę, dwie. Blachę wyłożyć papierem do pieczenia, ułożyć ciasteczka i piec około 20–30 minut w 180°C, do momentu, aż lekko się zrumienią.

STRUCLE Z MAKIEM (NA 8 SZTUK)

CIASTO

1kg mąki
10 dag drożdży
2 szklanki mleka
1 szklanka cukru
5 żółtek
1 kostka masła
sól
cukier waniliowy
aromat migdałowy

MASA MAKOWA

1 kg maku
½ kostki masła
8 łyżek miodu
1 szklanka łuskanych orzechów
10 dag rodzynek i smażonej skórki pomarańczowej
aromat migdałowy lub cukier waniliowy
3 białka
2 białka do smarowania ciasta

- Przesiany i opłukany mak zalać wrzącą wodą i gotować, aż da się rozetrzeć w palcach, osączyć na sicie, zmielić trzykrotnie.

Przygotować ciasto:

- Wszystkie składniki powinny być w temperaturze pokojowej.
- Mąkę przesiać, drożdże rozpuścić w niewielkiej ilości ciepłego mleka, dodać łyżeczkę cukru, łyżeczkę mąki, wymieszać, pozostawić w cieple do wyrośnięcia. Oddzielić żółtka od białek. Żółtka utrzeć z cukrem do białości. Do naczynia z mąką dodać zaczyn z drożdży, utarte żółtka, trochę ciepłego mleka i dokładnie wyrobić ciasto. Nie powinno być zbyt rzadkie. Kiedy ciasto przestanie lepić się do rąk, dodać rozpuszczone ciepłe masło, odrobinę soli, aromaty i jeszcze chwilę wyrabiać. Przykryć i odstawić w ciepłe miejsce do wyrośnięcia.

Przygotować masę makową:

- W szerokim rondlu rozpuścić masło, dodać mak, cukier, miód, zmielone orzechy, sparzone rodzyнки, posiekaną skórę pomarańczową i mieszając, smażyć przez 10–15 minut. Wystudzić. Ubić pianę z białek, dodać do przestudzonej masy,

delikatnie wymieszać. Przygotować 8 arkuszy papieru do pieczenia. Wyrośnięte ciasto podzielić na 8 części. Każdą część ciasta rozwałkować na kwadrat około 25x25 cm, posmarować białkiem, ułożyć równomiernie farsz, pozostawiając 2 cm po bokach, zwinąć. Przenieść na papier i zawinąć w ten sposób, aby zostało trochę wolnego miejsca. Owinięte w papier strucle zostawić do wyrośnięcia. Gdy papier wypełni się ciastem, wstawić do gorącego piekarnika (200–220°C i piec około 30–40 minut. Upieczone strucle powinny być pięknie zarumienione.

KUTIA

2 szklanki pszenicy

2 szklanki maku

orzechy, migdały, rodzynki (ilość według uznania)

miód

- Pszenicę moczymy 12–20 godzin, zmieniając od czasu do czasu wodę. Gotujemy 3–4 godziny, po czym w przykrytym garnku otulamy ją kołdrą, pierzyną, poduszkami, kocem – wedle uznania. Następnego dnia (pszenicę moczymy dwa dni przed podaniem potrawy) mielimy lub ucieramy mak, siekamy orzechy, migdały, rodzynki. Rozpuszczamy w wodzie miód i wszystko mieszamy.
- Oryginalna wschodnia kutia nie zawiera śmietany, którą podobno dodaje się gdzieś w Polsce.

Gdyby Nela zostawała na Wigilię w domu na pewno przygotowałyby również zupę rybną i śledzie w sosie curry. A zrobiłaby to zgodnie z taką oto instrukcją:

ŚLEDZIE W SOSIE CURRY

8 filetów śledziowych

1 szklanka jogurtu naturalnego

6 łyżek majonezu

2 cebule

2 łyżki rodzynek

sok z połowy cytryny

2 łyżeczki cukru

7 g curry

- Filety śledziowe porządnie wymoczyć w zimnej wodzie. Cebulę drobno posiekać, przelać wrzątkiem, ostudzić. Rodzynki zalać gorącą wodą i moczyć przez około 5 minut. Jogurt wymieszać z majonezem i curry. Wlać sok z cytryny, wsypać cukier i wymieszać. Następnie dodać osączone rodzynki i cebulę i ponownie wymieszać. Filety pokroić na kawałki, zalać przygotowanym sosem, odstawić na minimum 24 godziny w chłodnym miejscu.

Smacznego!!!!

SMAKOWITA ZUPA RYBNA

60 dag ziemniaków

2 średnie pory

8 szklanek bulionu warzywnego

szklanka mleka

½ szklanki śmietany kremówki

filet z dorsza (20 dag)

10 dag plastrów wędzonego łososia

2 łyżki masła

gałka muszkatołowa

koperek

sól, pieprz

- Ziemniaki obrać, opłukać, pokroić w małą kostkę. Pory oczyścić, odciąć zieloną część, a białe przekroić wzdłuż i pokroić w krążki. Łososia pokroić na paski. Pory zeszklić na rozgrzanym maśle. Dodać ziemniaki, podsmażyć. Wlać gorący bulion i gotować 20–30 minut. 10 minut przed końcem gotowania dodać dorsza. Wlać mleko, przyprawić gałką, solą i pieprzem. Zupę zmiksować na krem. Podawać gorącą z kleksem śmietany, paseczkami łososia i piórkami koperku.

To oficjalna wersja przepisu. Ja gotuję trochę inaczej, moim zdaniem zupa jest smaczniejsza, ale ponoć o smakach i gustach się nie dyskutuje więc wybór należy do was:) Oto co ja robię:

- Przede wszystkim zwiększam ilość składników, tylko pora podsmażam, ziemniaki z miejsca lądują w garze z rosółem, łososia nie kupuję w plastrach tylko sałatkowego i wrzucam pod koniec gotowania do zupy i daję mu się chwilę pogotować, zupy nie miksuję tylko podaję taką ze wszystkim pływającym, no i doprawiam ją dodatkowo sokiem z cytryny. Śmietanę, jak mam, to daję, jak nie, to nie, zupie to nie szkodzi i tak jest pyszna:)

Przepisy na ciasta pochodzą ze strony www.mojewypieki.com. I wszystko wychodzi pysznie, ręczę głową :-) Za przepis na kutię serdecznie dziękuję Pani Agnieszce Sawicz.